

Praca zbiorowa pod redakcją
Edwarda Bienia i Krystyny Patrzyka
Współpraca: Anna Kulik



STUDNIA BEZ DNA

cz. II

Wspomnienia
Polskich Przesiedleńców
z Kresów 1939-1946

Dzierżoniów 2014

Studnia bez dna

Opowiadania z Kresów II RP

cz. II

Praca zbiorowa pod redakcją
Edwarda Bienia i Krystyny Patrzyka
Współpraca: Anna Kulik

Dzierżoniów 2014

Copyright © by

All rights reserved

Wszelkie prawa zastrzeżone

Opracowanie tekstów i zdjęć: Edward Bień

Opracowanie tekstów: Krystyna Patrzykąt

Koordynacja: Florian Kuriata

Skład: Michał Stawicki

Wydawca:

„EDYTOR” Drukarnia - Wydawnictwo

Tomasz Ligieza

58 - 200 Dzierżoniów, ul. Ząbkowicka 52

ISBN: 978-83-89818-63-8

Druk i oprawa:



58 - 200 Dzierżoniów,

ul. Ząbkowicka 52

Wydanie I

Dzierżoniów 2014

Przedmowa Stanisław Srokowski

Kresowianie w czasie drugiej wojny światowej stali się ofiarami trzech aktów ludobójstwa. Pierwszy wiąże się z napaścią sowiecką z 17 września 1939 r. na Polskę, z torturowaniem, zabijaniem lub wywożeniem Polaków na Sybir. Drugi, z atakiem Niemców z 22. czerwca 1941 r. na sowiecką Rosję. I trzeci, ze straszliwą rzezią, jaką nam zgotowali Ukraińcy z OUN i UPA. I to trzecie ludobójstwo było najokrutniejsze, trwało nieprzerwanie od września 1939 r. do końca 1945 r., a nawet później, czyli ponad 6 lat. Zwykle podaje się, nawet w polskiej historiografii, że początki masowych mordów obserwuje się na Wołyniu w 1943 r. Nie jest to prawda. Pierwsze masowe zbrodnie zostały dokonane już we wrześniu 1939 r. w trzech powiatach województwa tarnopolskiego (Brzeżany, Buczacz i Podhajce), a pierwszą wsią, w której niemal w całości została wymordowana polska ludność, była wieś Sławentyn, w podhajeckim powiecie, w której zginęło 50 osób. We wrześniu i październiku 1939 r. w wymienionych wyżej powiatach Ukraińcy zaatakowali ok. 20 miejscowości. Zginęło wówczas kilkaset osób.

Później fala masowych mordów zmniejszyła się. Dopiero od lutego 1943 r. objęła Wołyń, gdzie gwałtownie wzrosła. Od początku 1943 r. do końca tego roku zostało zamordowanych ok. 60 tys. Polaków, ale też wielu Żydów, Czechów i samych Ukraińców, którzy nie godzili się na zabijanie polskich sąsiadów. Równocześnie trwały rzezie na Podolu i Pokuciu, najbardziej krwawy przebieg w tym regionie miały w 1944 i 1945 r. Ofiarami całej akcji ludobójczej, jak dowodzą historycy, padło ponad 200 tys. Polaków. Ale to nie koniec badań. Analizy wciąż trwają. Niewykluczone, że ofiar było znacznie więcej. Tyle w dużym skrócie informacji porządkujących topografię kresowej zbrodni.

A teraz przejdźmy do godnej najwyższego szacunku inicjatywy wydawniczej środowisk kresowych z Dzierżoniowa. Od kilku lat widzimy wzrost aktywności organizacyjnej i twórczej przywódców Kresowian w tym regionie. Obserwowaliśmy z uwagą budowę pomników poświęconych ofiarom zbrodni ludobójczej, uczestniczyliśmy w spotkaniach, konferencjach popularnonaukowych i debatach związanych z tragedią ludności wyrzuconej ze swojej macierzystej ziemi. Podziwialiśmy krajobrazy dawnych ziem polskich na wystawach fotograficznych, które oglądały duże rzesze

mieszkańców Dzierżoniowa i okolic. To wszystko składa się na rolę i znaczenie Kresowian w aktywowaniu postaw społecznych i przeobrażaniu współczesnej rzeczywistości, w której znajdują dla siebie miejsca zarówno starsze pokolenia jak i nowsze, w działaniu na rzecz lokalnej wspólnoty.

I oto mamy nowe przedsięwzięcie, drugi już tom wspomnień wygnańców z ziem kresowych. Niezwykle cenna i pożyteczna inicjatywa. Ocala ona pamięć czasu zagłady, przypomina dawne życie, stosunki między Polakami a innymi etnicznymi kulturami, obyczaje, tradycje, postawy i zachowania ludzkie i wreszcie okrutne zbrodnie. Przywołuje konkretne tragedie, nazwiska, miejsca kaźni, sposoby ratowania rodzin, dzieci i starców, w końcu wygnanie i zakorzenianie w nowej rzeczywistości. To ciąg historii, który obejmuje najważniejsze fakty z życia i umierania, pracy i wypoczynku, burzliwych dziejów i chwil radości, planowania i marzeń. Tak, jak układały się poszczególne losy ludzkie, tak samo układały się losy zbiorowości, całych wsi i regionów. Najeźdźcy, terroryści i mordercy znęcali się nad Polakami, z jednej strony w najbardziej brutalny i prymitywny sposób, a z drugiej w najbardziej wyrafinowany i cyniczny, stosując wiele różnorodnych technik zabijania i męczenia ofiar, byle by poczuły one na sobie ciężar ręki oprawców.

Mordercami byli zarówno Niemcy, Rosjanie, jak i Ukraińcy. Dowody na to znajdujemy właśnie we wspomnieniach autorów tych porażających świadectw. Obejmują one zarówno zbrodnie dokonywane na Wołyniu, jak i w innych regionach kraju. Dotyczą bicia, okaleczania i znęcania się nad Polakami, Żydami, czy innymi nacjami, a także pokazują wywózki na ciężkie roboty do Rzeszy oraz wrywanie z domów i gnanie na Sybir. Są to wstrząsające zapisy, choćby takie, jak zawarte w poniższym fragmencie, gdzie się splata ból, cierpienie i strach z marzeniami o pogodnych, rodzinnych świętach na dalekim Wchodzie. Pochylmy się nad nimi:

„Przed Bożym Narodzeniem poszłam – pisze Janina Złotnicka, z domu Górniak, która przeszła piekło syberyjskiej zsyłki – z chłopcami z sąsiedztwa do lasu po choinkę. Mróz 35 stopni, przy każdym kroku zapadałam się w śnieg powyżej pasa. Dzięki chłopakom przywlekłam 4 m. świerka, a w tajdze wydawał się taki malutki. Zrobiliśmy łańcuch z gazety i gwiazdkę z okładki zeszytu. Mama upiekła placek na płycie zamiast opłatka. Tatuś i Marysia przyszli, uprosili o ten dzień, bo tu świętuje się Nowy Rok, 1 Maja i Dzień Rewolucji. Dzieliliśmy się tym plackiem, jedliśmy zupę z chlebem

i piliśmy herbatę z liści malin bez cukru. Ze łzami próbowaliśmy śpiewać kolędy. Jak dobrze było być choć jeden dzień razem”.

Świętowanie przeplata się z goryczą, troską i żalem.

„Z babcią było coraz gorzej – pisze dalej autorka. – 10 marca 1941 r. umarła. Marysia i tatuś przyszli, ale tata był przeziębiony. Pomogli nam Polacy. Jeden z nich zerwał kilka gontów z dachu domku i zrobił trumnę. Ziemia była zamrznięta. Trzy dni palili ogromne kłody, żeby ją rozmrozić, wykopać wąską jamę i dostać się do niezamrzniętej części. W tym samym czasie zmarła jeszcze jedna kobieta, więc pochowano je razem.”

Z kolei Janina Myszakowska, córka Piotra i Marianny, z domu Sulikowska, z Wołynia, opowiada, jak przebiegały mordy, co ludzie przeżywali i jak bardzo się męczyli:

„Jednego przywiązano za nogi do konia i tak bronowano nim po polu aż zgonął. A drugiemu wycięto dużą dziurę w piersi i wyrwano serce. Stały więc trzy trumny, jedna przy drugiej, w Ome-lance u Cypriana Horoszkiewicza. Na drugi dzień przyjechał mój stryjeczny brat, Michał Sulikowski, który przywiózł czarne chorągwie. Ruszyła więc procesja do Huty Stepańskiej”

Albo inny obraz:

„Na bagnach siedzieliśmy cały dzień. Bagno było siedliskiem pijawek, które atakowały nasze nogi, czepiały się po trzy razem i kiedy napiły się trochę krwi, spadały, a na to miejsce czepiały się następne. Nasze nogi były w stanie oplakany. Pod koniec dnia mama i synowa mojej ciotki udały się do wioski poszukać garnka. Wykopały ziemniaki, rozpały ognisko i gotowały je. Dym unosił się wysoko i był widoczny z daleka. Zobaczyło go trzech mężczyzn, którzy szli z Huty Stepańskiej do Huty odkopać schowane rzeczy. Widząc dym, podeszli do nas. Zabrali nas ze sobą. Bardzo się dziwili, że tak blisko wioski ukraińskiej siedzieliśmy cały dzień. Najpierw zaprowadzili nas w groch, abyśmy najedli się do syta, bo sił już nie mieliśmy iść dalej. Potem na jakąś spaloną wieś, ale tam widok był straszny. Psy wyły, koty szły za nami, a smród z rozkładających się ciał był ogromny. Zwłoki leżały wszędzie. Dodatkowo czuło się swąd spalonych w domach ludzi”.

Taki był dzień powszedni. Strach, przemoc, niepokój i brak snu.

W takiej atmosferze ludzie żyli tygodniami i miesiącami. Ale spotykamy też wizerunki łagodniejsze, odnoszące się – jak wspominaliśmy – do obyczajów i tradycji. Oto jeden z nich, zapisany przez Annę Małgorzatę Budzińską:

„Na wsi był jeden Ruski, matka była Polką. Synowie byli w cerkwi chrzczone, dziewczęta były w kościele. W jednej rodzinie to byli bracia, siostry, ale te byli Ukraińcy, a te Polacy. Był Ukrainiec Bondarczuk, jego siostra wyszła za mąż za Zacharewicza, za Polaka, dzieci były chrzczone w kościele i dzieci były już Polakami. Była taka mieszanina. Po ukraińsku, po polsku gadali. Tam, gdzie była polska wioska, nie było cerkwi. Cerkwie były tam, gdzie były ukraińskie wioski: Buszcza, Nowomalin, Noworodczyce. Szli do kościoła, pomodlili się, wracali i szli do cerkwi i też się pomodlili. Co niedzielę była zabawa. Nabożeństwo było w Noworodczycach, po nim już pod wieczór harmoszka grała. Było i u nas, w Chiniówce dużo muzykantów. Najmanowicz miał muzykalną rodzinę, tańczyli, śpiewali, harmoszka była, bęben był, skrzypce były, gitara, klarnet. Chłopacy chodzili po kilkanaście kilometrów i organizowali zabawy. Na Chiniówce było z pięciu muzykantów. Najwięcej zabawy było u Wojciechowskiego, dom mieli duży z podłogą, u innych były klepiska. On był Polak, a ona była Ukrainka. Pokochali się i pożenili. Chłopaki były u ojca w wierze, dziewczynki u matki. Jeden syn Paweł pojechał w Amerykę, drugi syn Piotr ożenił się z Marią Tylicką z Posywy. U nas tam nie było, czy to Ukrainiec, czy to Polak, nie pytali się, żenili się”.

Pragnę zwrócić uwagę na autentyczny gwarowy język. Dodaje on wiarygodności opowiadaniom. Nie wolno go zmieniać. To, co byśmy nazwali ułomnościami w języku literackim, tutaj spełnia warunki dokumentu lingwistycznego, zapisu kolokwialnej prawdy. Chciałoby się słuchać brzmienia tych pięknych i poruszających fraz, stanąć przed bohaterką i prosić by mówiła, bo w tej mowie kryje się niepowtarzalny skarb. Dzięki temu świadectwu ocalamy nie tylko ważne fakty historyczne, ale i mowę tamtego czasu. Bo jest to język mowy, jakby w żywej postaci.

Niektórzy autorzy przekazują nam szerszą perspektywę wydarzeń kresowych. W interesującym fragmencie Edwarda Bienia widzimy pokusę socjologicznego i gospodarczego zobrazowania rzeczywistości i zaprezentowania dróg rozwoju przemysłu naftowego. Niezwykle cenny wkład w pokazywaniu kresowej Polski, jako przewodnika w wybranych dziedzinach życia ekonomicznego. Czytamy:

„W Boryslawiu w dwudziestych latach XIX w., poszukując złoża ropy naftowej odkryto złoża ozokerytu, czyli wosku ziemnego. Jest to związek węgla i wodoru, pochodny ropy naftowej,

o temperaturze topnienia około 55°C, w kolorze żółtym do czarnego. Ozokeryt miał szerokie zastosowanie w przemyśle farmaceutycznym, spożywczym, elektronicznym, przy wyrobie świec, past, smarów, kalki i wielu innych dziedzinach. W latach pięćdziesiątych XIX w. kopalnie wosku ziemnego przynosiły olbrzymie i szybkie zyski, kilkakrotnie większe od wydobycia ropy naftowej. Wieść o możliwości szybkiego i wielkiego bogacenia się ściągała amatorów z różnych stron kraju i z zagranicy. Kupowano pola, parcele, małe poletka, w zależności od tego, na ile stać było kupującego. Ceny gruntów stale rosły, żądano nawet do 60% z zysku z urobku górniczego, a zyski i tak były spore. Wydobycie 1 cetnara ropy, czyli 56 kg kosztowało 2 zł reńskie, a płacono za ropę 3,5 do 5 zł reńskich. Natomiast koszt eksploatacji wosku był podobny, ale cena wosku była trzy razy wyższa od ceny ropy. Na budowę szybu do wydobycia wosku nie trzeba było wielkich pieniędzy, wystarczyło nad wykopem postawić kołowrót i kopać studnię, ściany rozpierając deskami. Takie szyby kopano na głębokość 30 do 60 m. Kopacz zarabiał 1,5 zł reńskich dziennie, a ten, który wyciągał urobek – do 60 centów, natomiast nawiewający powietrze kopiącemu – 40 centów. Właściciele nabytych parcel starali się wykorzystać je maksymalnie. Bardzo gęsto kopano szybiki. Często były oddalone od siebie zaledwie o trzy metry. Kończąc dniówkę zakrywano szyb deskami. W następnym dniu czerpano wiadrami ropę, która napłynęła przez noc i kopano dalej wosk ziemny czyli ozokeryt. Bywały przypadki, że wosk lub ropa w czasie kopania zaczynały napływać bardzo szybko pod własnym ciśnieniem, zagrażając życiu kopiącego, którego w wielkim pośpiechu wyciągano w ostatniej chwili”.

Dzięki takim wypowiedziom wiemy znacznie więcej o sobie, o potencjale gospodarczym Kresów i inicjatywności tamtejszych środowisk naukowych.

Polecam lekturę tej książki, jako bezcennego źródła informacji o życiu na Kresach oraz o tragedii ludobójstwa, o której powinniśmy mówić we wszystkich domach, szkołach i na uniwersytetach i przekazywać tę wiedzę z pokolenia na pokolenia, by takie zbrodnie nigdy więcej się nie powtórzyły.

Stanisław Srokowski - poeta, prozaik, dramaturg
i autor wielu powieści o tematyce kresowej
www.srokowski.art.pl

OD AUTORÓW

W pierwszej części opowieści pt. „Studnia bez dna” nie zamieściliśmy wstępu, który w tej pozycji jest bardzo ważny. Tytuł książki nie jest przypadkowy. Wspomnienia ludzkich losów spisane na dalszych stronach książki to zaledwie drobny fragment przeżyć wielu rodzin kresowych. To właśnie owa „studnia bez dna”.

Przez kilkadziesiąt lat istnienia PRL-u tematy wywózek na Sybir, mordów dokonanych na Polakach przez bandy ukraińskich i litewskich nacjonalistów oraz rosyjskich najeźdźców, stanowiły tabu. W tych opowiadaniach opisane zostały też tragedie innych nacji, np. Żydów i Ukraińców. Trzeba jednak zaznaczyć, że Żydzi bardzo dokładnie opisali swe straty, natomiast w Polsce do dziś nie ma klimatu, aby te dzieje opowiedzieć publicznie.

Zapoznałam się z wieloma reportażami radiowymi oraz telewizyjnymi o masakrach Żydów. Wciąż wydawane są książki zawierające pretensje wobec Polaków, którzy będąc kilkudziesięciomilionowym narodem, pozwolili na zagładę polskich Żydów. Zapomina się, że wielu Polaków z narażeniem życia własnych rodzin, czasem też ginąc, przechowywali Żydów. Mam na to przykłady zdarzeń we własnej rodzinie. Jan Tomasz Gross pisze, że Polacy rozkopywali mogiły i ograbiali żydowskie szczątki, a przecież ogólnie wiadomo, iż to Niemcy najpierw ograbiali Żydów, a później ich likwidowali.

Bywało, że Ukraińcy, którzy ośmielili się pomagać i przechowywać Polaków przed banderowcami, również ginęli z ich rąk. I to też miało miejsce w mojej rodzinie. Fakty powyższe opisane są w pierwszym wydaniu „Studni bez dna”. Znam człowieka, który jest świadkiem ocalenia jego rodziny przez znajomych Ukraińców, zamordowanych za to przez bandę. Ta sama rodzina wywieziona do Rzeszy i źle traktowana w drodze, przeżyła dzięki opiece niemieckiego grafu.

Historia jest bardzo pogmatwana. A wiadomo, że w każdej nacji są ludzie i dranie. Dlatego uważam, że aby ukazać prawdę o tym, co się działo na Kresach, należy spisać dostępne jeszcze przeżycia nāocnych świadków tamtych dni. Tym bardziej, że świadkowie ci odchodzą i jest to ostatni moment, aby choć trochę z tamtego świata ocalić od zapomnienia.

Spotkałam się z ludźmi, którzy bardzo dobrze pamiętają te tragedie, ale do dziś nie mogą o nich opowiadać, oraz takimi, któ-

rzy ciągle jeszcze boją się mówić o swych przeżyciach związanych z Sybirem, a także wyzwolonym w latach 1939-45 nacjonalizmem ukraińskim.

Analizując powojenne losy osób, które przeżyły traumatyczne wydarzenia zauważyłam, jak bardzo wpłynęły one na ich całe późniejsze życie.

Krystyna Patrzykąt

Wojenna tułaczka po ZSRR

Krystyna Łukasik z domu Kalka w chwili, gdy opowiadała historię swej rodziny, czyli w 2010 r., miała 88 lat.



Moja rodzina pochodzi z Poznania. Po pierwszej wojnie nie było pracy, więc przenieśliśmy się na wieś do Strenkowa Mieczykowskiego, wówczas powiat Ostrów Mazowiecka, w województwie warszawskim. Miejscowość ta była oddalona trzy kilometry od rzeki Bug. Mieszkaliśmy tam 15 lat. W 1939 r., gdy zaczęła się wojna, miałam 17 lat. Jak wiadomo, tereny Wschodniej Polski zajęli Rusczy.

Mój ojciec i wuj, a nawet młodszy brat działali w AK. Wreszcie ojciec z wujem zdecydowali się wyjechać do Niemiec. My i ciotka z siódmką małych dzieci zostaliśmy. W 1941 r. naszą rodzinę i ciotkę zaczęli nachodzić Rusczy, pytając mamę i ciotkę, gdzie są ich mężowie. Przez to, że otrzymywali wciąż te same odpowiedzi, że nie wiemy, postanowili nas wywieźć na Sybir.

Był czerwcowy dzień, piątek. Rosjanie kazali nam się zbierać. Mój brat Edek, który skończył szkołę był na wakacjach u ciotki w innej miejscowości, więc nie został wywieziony. Drugi brat, 10-letni był gdzieś na wsi, ale odszukano go i przyprowadzono. Gdy wkładaliśmy nasze rzeczy na wóz, chciałam wyjść za potrzebą do sławojki za domem, ale żołnierze, którzy nas pilnowali, nie pozwolili mi, więc musiałam załatwić się przy wszystkich.

Na jedną furmankę zapakowali obie nasze rodziny, czyli mamę i nas troje oraz ciotkę z jej siedmiorgiem dzieci. Tym wozem przewieziono nas do miasta Czyżewo. Tam, zwiezionych z różnych stron Polaków, wpakowano do pociągu towarowego. Do każdego bydłowego wagonu z małymi okienkami wtłoczono po 50 osób. Byłam wtedy 19-letnią dziewczyną. Miałam narzeczonego Staszka. Dowiedział się, że nas wywieźli. Przyjechał do Czyżewa na rowery. Nie mogłam wyjść, płakaliśmy, a na pożegnanie pomachał mi chusteczką do nosa. Nigdy się już nie spotkaliśmy.

Był upał. W wagonie tłok. Nie było toalety. Mężczyźni wybili dziurę w podłodze i tak się załatwialiśmy. Brakowało wody. Ludzie

umierali. Zmarła też w drodze roczna córeczka mojej ciotki. Jak już wspomniałam, zabrali nas w piątek, a w niedzielę zaczęła się wojna niemiecko-rosyjska. Taki pech.

O tym, że Niemcy wypowiedzieli Rosji wojnę, dowiedzieliśmy się w drodze. Do domu wrócił ojciec i brat Edek, ale my już byliśmy w tej fatalnej podróży. Nasz pociąg często odstawiano na boczne tory, bo na zachód jechały transporty wojskowe, tzw. eszelony, które miały pierwszeństwo. Wieźli nas do granicy, do Mińska. W Mińsku staliśmy kilka dni. Zwykli Rosjanie bardzo nam współczuli. Podchodzili do wagonów, bardzo płakali, podawali nam wodę, ale żołnierze, którzy nas eskortowali, bili ich i odganiaли.

Jechaliśmy sześć tygodni. Do snu każdy okrywał się czym mógł. Mama z domu zabrała jedną małą pierzynkę, trochę ładnych ubrań swoich i moich oraz złote obrączki. Później bardzo się nam te rzeczy przydały, bo wymienialiśmy je na pożywienie. Mama złotą obrączkę wymieniła na wiadro kartofli.

Dowieźli nas wreszcie do miasta Kotła. Tam nasz pociąg stał długo. Wreszcie kazali nam przesiąść się na statek, na którym też długo mieszkaliśmy. Później rzeką Wyczegdą płynęliśmy dziesięć dni do rzeki Dwiny, do Archangielska. Oglądaliśmy piękne widoki. My, młodzi i dzieci, zachwycaliśmy się nimi. Lasy, rzeka, podróż statkiem - wszystko to było dla nas ciekawe i atrakcyjne. Nie wiedzieliśmy, co nas czeka. Po drodze widywaliśmy ludzi, którzy krzyczeli do nas: „Polacy!” i płakali.

Dopłynęliśmy do miejscowości Syktywkar. Było to w oblasti¹ Komi, 160 km od Laponii. Tamtejsi ludzie, rudzi i brzydcy, mówili bardzo trudnym językiem. Tam znów długo staliśmy, nawet już nie pamiętam jak długo. Wreszcie dowieźli nas do miejsca przeznaczenia, znaleźliśmy się w tajdze, 300 km od miasta.

Stanęliśmy przed bramą. Okazało się, że był to obóz skazańców. Przed nami mieszkali tam więźniowie, którzy pobudowali drewniane domy i wykonali prymitywne sprzęty, stoły, łóżka itp. Obóz był podzielony na sektory. Nasze dwie rodziny były w tym obozie pierwsze. Później dowieźli Litwinów i Niemców. Pomieszczenia były zapluskwione. Początkowo spałam na stole. Mama i ciotka gotowały wodę i tym wrzątkiem niszczyły pluskwy.

Przyszła zima. Było okropnie! Nie mieliśmy ciepłej odzieży, bardzo marziśmy. Dorośli musieli pracować. Ja umiałam szyć, więc chodziłam do krawcowej, u której szyłyśmy walonki. Dosta-

łam te ciepłe filcowe buty i przestały mi marznąć nogi. Mieszkaliśmy tam dwa lata.

Po przeniesieniu nas do kolejnej miejscowości, ja, mama i ciotka oraz moja rówieśnica kuzynka, pracowałyśmy w świniańni. Był tam zootechnik, Kirgiz, który latał za nami i z każdą chciał się żenić. Tam też brat Janek poszedł do szkoły. Uczył się bardzo dobrze w tej ruskiej szkole, a w nagrodę dostawał walonki.

Mieszkaliśmy w obozie, w barakach. Dyrektorką tego obozu była pani Czołowska, Białorusinka, której mąż był pilotem na wojnie. Ich syn Gena w szkole kiepsko się uczył, więc nasz Janek mu pomagał w nauce. Za to dyrektorka przeniosła nas do porządnego domu i dała pokój. Później doradziła nam, byśmy uciekali jak najdalej od tej miejscowości, a można było przenosić się do dowolnego miejsca w zasięgu 100 km w tej oblasti. Załatwiła nam pracę w dużym ogrodnictwie. Popłynęliśmy statkiem do jakiegoś rolniczego miasta. Praca tam polegała na plewieniu pól warzywnych. Wreszcie można było zjeść jakieś warzywa.

Stamtąd, po krótkim pobycie, znów przenieśliśmy się do jakiegoś kolchozu, ale nazw tych miejscowości już nie pamiętam. A jeszcze później odbyliśmy ostatnią wędrówkę piechotą przez lasy do miasta Uskołomie. W tym mieście ciekawostką były chodniki wykonane z desek. Zamieszkaliśmy u Komki w jednym pokoju. Ja pracowałam w szwalni. Z kilkoma innymi dziewczynami w tym artelu² szyłam chustki i inne rzeczy. Naszym brygadzystą był Żyd Lowa.

Po jakimś czasie dyrektor wysłał mnie i jeszcze jedną dziewczynę do miejscowości oddalonej o 60 km od Uskołoma. Tam uczyliśmy Komkę szycia. Dyrektorem zakładu w tym nowym miejscu był Rosjanin, a jego żona Komka pracowała w sądzie.

Był już 1943 r. Matka za mną tęskniła, ale przyjechać nie mogła. Raz tylko odwiedził mnie brat. Był u mnie jakiś czas, dożywiłam go, bo rósł i ciągle był głodny. W domu, gdzie mieszkaliśmy, mieszkaly też Rosjanki, które pomagały nam, dawały jedzenie. Zналиśmy też zesłaną z Warszawy rodzinę bogatych Żydów, którzy w Warszawie mieli jakąś wytwórnię żelaza. Do miejscowości, w której właśnie mieszkalam, przyjechał syn tej rodziny. Był wyniszczony, niedożywiony i niezaradny. Pomagałyśmy mu, ale nie przeżył. Byłam na jego pogrzebie.

W czasie, gdy Sikorski ze Stalinem zawarli jakiś układ, zaczęto nas lepiej traktować. Dostaliśmy ubrania, chyba z UNRR-y³ i tłuszcz, którego dotychczas nie widzieliśmy. Mama zawiadomiła mnie, żeby się zbierać, bo wyjeżdżamy. Był marzec. Mieliśmy płynąć rzeką, ale nie udało się, bo rzeka zamarzła, a transport tam był tylko wodny, więc czekaliśmy. Zachorowałam na zapalenie spojówek. Trafiłam do szpitala po poradę, gdzie poznałam tę historię. W Uskołomie w szpitalu pracowało małżeństwo lekarzy. Byli to Żydzi z Francji, którzy przyjechali w odwiedziny do rodziny w Czyżewie, skąd Ruscy wywieźli ich na Sybir.

Mój kuzyn Zdichu, przebywający na zesłance z nami, został powołany do wojska. A my wreszcie w lecie 1944 r. doczekaliśmy się wyjazdu. Myśleliśmy, że wracamy do domu, ale wywieźli nas na Kaukaz. Tam była piękna przyroda, piękne okolice, piękni ludzie. Znaleźliśmy się w stancy w miejscowości Michajłówka.

Część drogi przebyliśmy podwodami, czyli na furmankach, na których znajdował się cały nasz dobytek. Miałam bardzo ładną teczkę z wężowej skóry, a w niej moje dokumenty. Teczke dostałam od tego młodego Żyda w Uskołomie, który później zmarł. Gdy wysiedliśmy, aby zgłosić nasz przyjazd w urzędzie, furman który nas wioził, odjechał – uciekł razem z naszym dobytkiem, z tą torbą i moimi dokumentami.

Musiałam iść z koleżanką na milicję, zgłosić ten fakt, bo trzeba było wyrobić nowe dokumenty. Kwaterę dostałyśmy u jakichś dziadków. Milicjant wziął mnie na rozmowę, koleżance powiedział, że mnie odprowadzi. A jak zostaliśmy sami, chciał mnie zgwałcić, ale zaczęłam bardzo płakać i dał mi spokój. Po powrocie opowiedziałam to naszym gospodarzom, którzy chcieli złożyć skargę na tego milicjanta, ale ja cała szczęśliwa, że dobrze się to skończyło, zrezygnowałam ze ścigania go. Tamtejszym mieszkańcom Polki bardzo się podobały. Moja kuzynka i ja miałyśmy propozycje małżeństwa. Niektóre z dziewcząt wychodziły tam za mąż. Kilka nawet tam zostało. Była z nami koleżanka z Czyżewa, bardzo ładna dziewczyna – Irena. Zakochał się w niej aktor, dyrektor teatru. Pobrali się i mieli dziecko. Niestety, zmarło. W tej sytuacji ona wróciła z nami do Polski, on nie zdecydował się na wyjazd.

Na Kaukazie, tam gdzie byliśmy, jest bardzo żyzna ziemia. Uprawia się tam warzywa, arbuzy i pszenicę. Było tam bardzo gorąco. Tam również byliśmy zgrupowani. Teren, który zamieszkiwali-

śmy, był podzielony chyba na VIII tzw. „oddzielni”. Nasza rodzina przebywała w VII, a ciotki w VIII oddzielnii. Ludzie masowo chorowali na malarię. Z nami mieszkała moja koleżanka, której rodzice zmarli, matka – właśnie na malarię. Ja też przeszłam tę chorobę, a moja mama chorowała z przepracowania. Z wojny zaczęli wracać ranni ludzie. W Michajłówce byliśmy do końca wojny.

W marcu 1946 r. wróciliśmy do Polski, na Dolny Śląsk. Naprzód do Wałbrzycha. Stamtąd nas rozwozili do różnych miejscowości. My trafiliśmy do Bystrzycy. Wysłałam list do rodziny, która cały czas przebywała w mieście, z którego zabrali nas Ruscy. Tam był też nasz ojciec. Ojciec pochodzący z Poznania, bardzo dobrze znał język niemiecki. Niemcy proponowali mu, by podpisał folkslistę, a w zamian wypuszczą syna Edka z obozu jenieckiego. Ale ojciec powiedział, że jest Polakiem i nie podpisał. Za to zabrano go na sześć tygodni do kopania okopów. Brat po naszej wywóźce wrócił do domu tak, jak ojciec.

Nie znaliśmy ich losów, a oni nie wiedzieli, co dzieje się z nami. Do naszej miejscowości i w okolice uciekali ludzie z Warszawy. Jeden z warszawiaków dogadał się z moim, wówczas 16-letnim bratem, że pójdą do Warszawy do jego domu i zabiorą, co się da. Niestety, złapali ich Niemcy, brat nie miał dokumentów, więc trafił do obozu jako partyzant. Przez 3,5 roku siedział na Pawiaku, w Majdanku, później w Buchenwaldzie oraz w miejscowości Dora i w Sachsenhausen. W liście podałam mu adres i pytałam, czy żyje ktoś z naszej rodziny. Ojciec i brat byli już razem. Gdy ojciec dostał list, zaraz tu do nas przyjechał i szukał nas w Bystrzycy. Radość ze spotkania rodziny, po tych wszystkich strasznych doświadczeniach, była nie do opisania.

W Bystrzycy był PUR⁴, który przydzielił nas na wieś o nazwie Marianówka. Mieszkała tam rodzina Ciszewskich z Sosnowca. Dwaj bracia Ciszewscy byli szabrownikami. Rabowali domy i wywozili rzeczy skradzione na handel. Jak przyjechał mój brat Edek, wziął sobie jednego z braci do lasu i wytłumaczył mu, że ma skończyć z tym procederem. I poskutkowało.

Kresy spływające krwią

Kazimierz Ozga, świadek tragedii, jaka miała miejsce w jego rodzinie i w rodzinach zamieszkujących województwo stanisławowskie w czasie wojny.

Urodziłem się w 1934 r. w Karolówce, parafia Bukaczowce, leżącej na szlaku kolejowym Lwów–Stanisławów. Miejscowość Karolówka położona była w sąsiedztwie Żurów, z którego wywozili się byli premier i minister skarbu (reformator) Stanisław Grabski. W Żurowie urodziła się też moja babcia Katarzyna Ostrowska, która miała dziewięcioro dzieci. Jednym z nich była moja mama Stefania.

W tej wsi żyli zgodnie Polacy, Rusini i Żydzi. Każda z tych nacji mogła tu realizować swoje potrzeby duchowe, gdyż w miejscowości były: okazały kościół rzymsko-katolicki, cerkiew i synagoga. Mój dziadek ze strony ojca, Jan Ozga, nabył tam ziemię w ramach parcelacji majątku Grabskiego i osiedlił się w Koralowce (kolonia Berestawy) nad rzeką Świrz wpadającą niedaleko do Dniestru.



Ojciec Kazimierza Ozgi.

Syn dziadka, Wojciech, ożenił się ze Stefanią Ostrowską z Żurowa (moją matką) i wybudował dom, wraz z zabudowaniami gospodarczymi, w którym mieszkaliśmy aż do wojny. Niedługo jednak cieszyliśmy się naszym domem, bowiem po wybuchu II wojny światowej, po wkroczeniu Rosjan na terytorium Polski, zaczęły się prześladowania ze strony Sowietów, a później Ukraińców. Organizowano kołchozy, a opornych wywożono na Sybir. W tym czasie Ukraińcy sprzyjali Rosjanom i donosili na Polaków. Sporządzali listy bogatych rodzin i inteligencji. Tylko w jedną zimową noc w 1940 r. NKWD wtargnęło do około 20 rodzin i przymusowo, pod bronią, wywiozło na stację kolejową do Bukaczowic. Tam załadowano ich wraz z innymi rodzinami do przygotowanych wagonów towarowych i powieziono w nieznane – na Sybir.

Antagonizm Ukraińców wobec Polaków stopniowo narastał pod wpływem polityki ukraińskich nacjonalistów. Likwidowano polskie szkoły, przez co musiałem razem z bratem kilkakrotnie zmieniać szkołę. Do nowych szkół musieliśmy chodzić po kilka kilometrów. Często chodziliśmy na skróty przez rzekę, łąki i zarośla, gdyż młodzi Ukraińcy, wychowywani w duchu nacjonalistycznym, utrudniali nam przejścia drogą, wyzywając od „Lachów”, rzucając w nas kamieniami, goniąc na koniach i bijąc batogami. Były to powody, dla których musieliśmy rezygnować z nauki.

Po wkroczeniu w 1941 r. wojsk niemieckich na tereny wschodnie, będące do tego czasu pod okupacją rosyjską, znów nasiliły się ataki Ukraińców na Polaków. Skończyły się wspólne wieczorynki, spotkania świąteczne i okolicznościowe. W rodzinach mieszanych,



*Aniela Ostrowska ciocia
autora. Zamordowana z matką
przez Ukraińców w lesie pod
Żurowem.*

polsko-ukraińskich następował kryzys. Ludzie milczeli, unikali rozmów. W roku 1943 w naszym rejonie zaczęły się pojawiać najpierw pojedyncze porwania, a potem napady, zabójstwa i podpalenia pojedynczych domostw Polaków. Dotknęło to także naszą rodzinę. Najpierw porwano mego wujka Ludwika Ostrowskiego z Żurowa, s. Katarzyny, który wyszedł z domu i już nigdy nie wrócił. Prawdopodobnie zamordowali go banderowcy w lesie żurowskim. Później zamordowali moją babcię i ciotkę Anielę.

Coraz częściej dochodziły do nas wieści o masowych mordach na Wołyniu i podpalaniu całych polskich wsi. Również w naszym woj. stanisławowskim spalono Ludwikówkę, a potem Karolówkę. Co wieczór widać było łuny ognia z różnych stron, które przesuwały się coraz bliżej naszych zabudowań.

Gdy w naszej wsi zamordowano pierwszą osobę – sąsiada Jakuba Kozdębę, który wracał wieczorem do domu – wszystkich mieszkańców ogarnął lęk i nikt już wieczorami nie wychodził z domu. Byliśmy bezbronni i bezradni, pozbawieni ochrony władz, bowiem w policji służyli skorumpowani Ukraińcy. Żyliśmy w cią-

głym strachu i stresie. Moja rodzina, będąc zagrożona napadem przez banderowców, w każdą noc ukrywała się. Często spaliliśmy na strychu z zamaskowanym włazem i otworem w dachu do ucieczki. Było to ryzykowne i niebezpieczne w razie podpalenia domu. Dlatego też kryliśmy się również w polu poza domem, w gęstwinie grochu, kukurydzy, zbożu bądź w stodole u sąsiada Ukraińca.

Gdy o planowanym napadzie ostrzegł nas uczciwy Ukrainiec Iwan Leń, którego syn należał prawdopodobnie do bandy UPA, wtedy rodzice natychmiast podjęli decyzję o ucieczce do pobliskiej dużej wsi polskiej Łukowiec, zabierając ze sobą tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Cały dorobek życia rodziców – nowy dom, zabudowania gospodarcze oraz całe mienie – rozgrabili i zagarnęli Ukraińcy.

Łudność Łukowca Starego i Nowego, broniąc się przed banderowcami, zorganizowała Samoobronę wspieraną przez stryjski oddział AK w sile 600 żołnierzy, tworząc Bazę „Topór”. Do Samoobrony przynależeli prawie wszyscy pełnosprawni mieszkańcy, zarówno mężczyźni jak i kobiety, w tym mój ojciec i cała jego rodzina zamieszkała w Łukowcu. Komendantem Samoobrony na Łukowcu był ppłk. Edward Polak – mieszkaniec Łukowca.



Partyzanci AK członkowie Samoobrony Łukowca w latach 1943-45

Próby ataku przez UPA na tak chronioną wieś były bezskuteczne i kończyły się niepowodzeniem. Toteż schroniło się tu około 10.000 osób, mieszkańców z okolicznych wsi i małych miasteczek. W jednym domu zamieszkiwały dwie, trzy, a nawet cztery rodziny. Wszyscy żyli w zgodzie, bo połączyła ich wola przeżycia i wspólna obrona przed banderowcami.

Niebawem, po naszej ucieczce z rodzinnej wsi, Ukraińcy zaczęli podpalać domy pozostałych tam polskich rodzin, zmuszając je do ucieczki. Najpierw podpalili domy na obrzeżach wsi, a później, już w 1944 r., otoczyli całą wieś Karolówkę (800 mieszkańców) i podpalili ją, a do uciekających strzelali i mordowali tych, którzy nie zdążyli uciec. Po Karolówce nie zostało śladu. Pogorzeliśko zaorano, a potem porosło trawą i chaszczami. Nawet mały murowany kościółek stojący dalej od domostw, przy tutejszym cmentarzu, został rozebrany. Cmentarz zdewastowano, a przez lata zarósł krzakami i burzanami. Na resztkach zdewastowanego cmentarza pozostało kilka porozbijanych pomników.

„Ognisko Bukaczowczan”, do którego należy kilku mieszkańców byłej Karolówki w tym i ja, dla upamiętnienia tego miejsca w 2005 r. ustawiło duży żelazny krzyż z tabliczką informującą, że był tu polski cmentarz Karolówki i stał kościół. Na tym cmentarzu spoczywają moi dziadkowie – Jan i Jadwiga Ozigowie.

Muszę wspomnieć, że „Ognisko Bukaczowczan” w ostatnich latach pomogło odremontować zrujnowany kościół parafialny w pobliskich Bukaczowcach, oczyściło i zinwentaryzowało duży polski cmentarz (około 600 grobów), wydało też piękny kolorowy album cmentarza z najciekawszymi historycznymi pomnikami i grobowcami z opisem oraz szczegółowym planem. Jest to godny przykład upamiętniania polskości na Kresach i pielęgnowania zabytków.

Wracając do wspomnień z roku 1944, pamiętam, że część polskich rodzin, a szczególnie małżeństw mieszanych polsko-ukraińskich miała nadzieję, że nie będą dotknięte podobną tragedią i jak najdłużej pozostawało w swoich domach. Tak było z moją ciotką Polką Anielą Ostrowską, która wyszła za Ukraińca Aleksandra Zabłockiego, znanego szewca. Mieli oni 3-letniego syna Władysława, a ciotka była w zaawansowanej ciąży. Okazało się jednak, że mąż Ukrainiec dostał polecenie od UPA, by zlikwidował żonę Polkę, na co nie chciał się zgodzić. Zagrożony egzekucją musiał się sam ukrywać.

Moja babcia Katarzyna Ostrowska, chroniąca się na Łukowcu, poszła na zgliszcza spalonego domu, z którego wcześniej uciekla. Chciała zabrać resztki żywności ukryte w kopcu z ziemniakami. Przy okazji wstąpiła do swej ciężarnej córki Anieli zamieszkałej w pobliżu. Doszło do tragedii. Na sygnał Ukrainki Mochnackiej, której narzeczony był w bandzie, dwóch uzbrojonych banderowców w biały dzień wtargnęło do mieszkania ciotki Anieli związali obu kobietom ręce i siłą zaciągnęli je pod las. Głośny płacz, lament i błaganie o darowanie życia, chociaż ciężarnej córce nie wzruszyło bandytów. Pod lasem dokonali makabrycznego mordu, znęcając się nad ofiarami wymyślnymi torturami, a na koniec odcinając im głowy. Ciała zakopali płytko, gdyż po pewnym czasie z ziemi wystawały nogi.

Dawna znajoma Ukrainka Maria J., wówczas kilkunastoletnia dziewczyna, podsłuchawszy rozmowy starszych, udała się po kryjomu na to miejsce. Gdy odgarnęła trochę ziemi, aby rozpoznać po włosach swoją sąsiadkę, zobaczyła zmasakrowane zwłoki, ale bez głów. Tego widoku do dziś nie może zapomnieć. Opowiedziała mi to podczas mojej wizyty na Ukrainie w 2006 r.

Przed śmiercią z rąk bandytów cudem uratowała się 4-osobowa rodzina Huczków z Żurowa, która zwlekała z ucieczką. Gdy dowiedzieli się, że 18-osobowa, znana im rodzina polska Jabłkowskich została w jedną noc wymordowana, od starca do niemowlęcia, zaczęli szykować się do ucieczki. Bali się jednak, że mogą być zaatakowani na drodze i zostali w domu. A w nocy, gdy spali, do ich domu wtargnęli banderowcy, by ich wymordować. Jeden z nich przyłożył nóż do gardła matki Tekli Huczek, która spała razem z dziećmi. Dzieci zaczęły głośno płakać, a mąż Ukrainiec stanął w ich obronie i powiedział, że jak chcą „rizat”, to wszystkich. Bandyci zwątpili i udali się po radę do komendanta. Gdy wrócili, zastali mieszkanie puste, bo rodzina ukryła się w ogrodzie. A o świcie różnymi drogami i ścieżkami, dla zmylenia bandytów udali się do pobliskiego miasteczka Bukaczowce, skąd przy okazji razem z wojskiem dotarli do Łukowca. Później razem z innymi polskimi rodzinami w 1945 r. zostali deportowani na Ziemię Zachodnie.

Bandy ukraińskie mordujące Polaków często nie zostawiały śladów. Prawda wychodziła na jaw dopiero po wielu latach. W Żurowie koło stacji kolejowej młodzi Ukraińcy pod wpływem opowiadań babci, odkopali zasypane polskie studnie, z których

Polacy przed ostatnią wojną korzystali i była w nich dobra woda. W studniach znaleźli wiele ludzkich szkieletów. Były to prawdopodobnie szczątki wymordowanej w jedną noc rodziny Jabłkowskich, o której opowiedziałem wyżej. Po tym odkryciu studnię na powrót zasypano i zamaskowano krzakami. Informujący o tym zdarzeniu prawdopodobnie nie wiedzieli o zbrodniczych czynach ich bliskich, gdyż sprawcy po wojnie uciekli do Kanady, poumierali, bądź też Rosjanie wywieźli ich na Sybir. Naocznym świadkiem tego zdarzenia był kolejarz J. Cuper, który miał służbę na stacji. Przekazał mi tę informację w czasie mego pobytu na Kresach.

Cudownego ocalenia od śmierci z rąk banderowców doznała moja stryjenka Julia Ozga z Karolówki. Poszła na pogorzelisko swego domu by poszukać resztek niespalonych rzeczy. Banderowcy schwytali ją i prowadzili płaczącą przez całą wieś na miejsce egzekucji. Działo się to w dzień na oczach sąsiadów Ukraińców, którzy patrzyli na to w milczeniu. W lesie z bunkra wyszedł dowódca banderowców, aby dać rozkaz stracenia, ale rozpoznał w ofierze znajomą z młodości. Kobieta lamentowała, całowała go po rękach i butach, więc wydał rozkaz, aby odprowadzili ją tą samą drogą, którą przysła. w bezpieczne miejsce.

Przypadek zrządził, że po 62 latach spotkałem starszego człowieka, Ukraińca Mychajła J. z Czerniowa, który odprowadzał Julię. Z satysfakcją opowiadał mi to zdarzenie ze szczegółami. O tym, jak stryjenka była ubrana: „Miała na sobie krótką czarną kurteczkę i długi szal na szyi, była wystraszona, blada i drżąca. Do ostatniej chwili nie wierzyła, że będzie wypuszczona żywa na bezpieczną drogę prowadzącą do Łukowca, gdzie schroniła się rodzina.” Mychajło nie wyrządził jej krzywdy, jak twierdził, mimo że Julia bardzo mu się podobała. Wypełnił dobroczynne polecenie banderowca.

Niewiele brakowało, a i ja dostałbym się w ręce banderowców. Wybrałem się z moim starszym kuzynem Tadeuszem Ostrowskim z Łukowca w odwiedziny do jego stryja w Żurowie. Przy okazji odwiedziliśmy miejsce po moim rodzinnym domu, znajdujące się nieopodal. Dom nasz nie był spalony ze względu na bezpieczeństwo sąsiada Ukraińca, a pewnie i dlatego, że był nowy. Rozebrał go Ukrainiec Dorońko, a z pozyskanych materiałów wybudował sobie nowy dom w innym miejscu. Widok był przerażający. Obok zgłiszczy innych domów pusty plac z rozrzuconymi kamieniami z fundamentów i gołą betonową studnią. Wystraszeni i przeraże-

ni tym widokiem szybko wracaliśmy do domu, przechodząc drogą obok lasu naprzeciw wsi Wandolina. Wkrótce po naszym przejściu, w tym miejscu rozegrała się tragedia. Tą drogą wracała furmanka z Karolówki z czterema młodymi mężczyznami, wiozących resztki odzyskanego mienia ze swych spalonych domów. Zostali napadnięci przez banderowców i brutalnie zamordowani. Powieszono ich na lejcach od ich zaprzęgów, na stojących przy drodze drzewach. Odnaleziono powieszonych wieczorem. Fakt ten został udokumentowany na zdjęciu z 1944 r.

Ukraińska Powstańcza Armia, jak siebie nazywali bandyci, mordowała nie tylko ludność polską, żydowską czy ormiańską, ale też i Ukraińców, którzy pomagali prześladowanym. odmawiali współpracy banderowcom i nie chcieli wstąpić do UPA. Świadectwem jest Pomnik – Obelisk postawiony za czasów władzy sowieckiej w Żurowie ku czci pomordowanych Ukraińców przez ukraińskich nacjonalistów. Na płytach bocznych pomnika znajdują się nazwiska ofiar – Ukraińców z okolicznych wiosek, którzy zginęli z rąk swoich pobratymców. Upamiętnienie tego faktu nie jest na rękę ukraińskim nacjonalistom, toteż pomnik zarasta trawą i nikt o niego nie dba. Stawia się natomiast nowe kopce i krzyże oraz tablice pochwalne i pomniki ku czci banderowców zwanych obecnie bohaterami Ukrainy.

Ukraińscy nacjonałiści spod znaku UPA, prócz mordowania, palenia domów i całych polskich wiosek, niszczyli też kościoły i cmentarze polskie, np. murowany kościółek i cmentarz w Karolówce oraz duży okazały kościół parafialny pod wezwaniem św. Stanisława w Żurowie, po których nie ma już śladu.

Po zakończeniu wojny w 1945 r. i zmianie granic nastąpiły przymusowe wypędzenie ludności w ramach tzw. repatriacji. Deportowano nas z Kresów Wschodnich na Ziemie Odzyskane. Z Łucka, stacji kolejowej Chodorów, wywieziono siedem transportów. W wagonach towarowych po trzy rodziny w jednym wagonie. W czasie tej podróży mieliśmy kilkudniową przerwę w Toszku na Śląsku, związaną ze zmianą wagonów z szeroko- na wąskotorowe. Późną jesienią koczowaliśmy przez kilka dni pod gołym niebem, czekając na nowe wagony.

Nasz transport nr 3 po miesiącu dotarł do Wołowa Śl., gdzie wyładowano nas z wagonów na peron, a ojcowie rodzin udali się w teren, na poszukiwanie wolnych mieszkań lub gospodarstw. Inne

transporty z Łukowca skierowano do Środy Śl., Lubina, Legnicy a także do Zgorzelca, Szczecina i Nowogrodu. Natomiast do opuszczonych przez Polaków domów na Kresach przesiedlono z Polski z terenów Bieszczad, Sanoka, Gorlic itp. ludność narodowości ruskiej – Łemków, która do dzisiaj tam zamieszkuje.

Rodziny polskie rozrzucone po całym Dolnym Śląsku i Pomorzu szukają się do tej pory. Odnajdują się dzięki Internetowi i piśmom kresowym, takim jak „Zeszyty Łukowieckie”, „Głos Podolan”, „Na Rubieży” itp. Najtrudniej było odnaleźć swoje rodziny żołnierzom Wojska Polskiego po zakończeniu wojny i demobilizacji. Moi wujkowie Michał Ostrowski i Tadeusz Cizio chcieli wrócić do swych domów na Kresach, jednak zostali zawróceni z granicy. Poinformowano ich, że tam już nie ma Polski, a rodziny mają szukać na Ziemiach Odzyskanych. Michałowi po kilku miesiącach tułaczki i poszukiwań udało się odnaleźć rodzinę, tj. siostrę i brata w Grodzanowie, pow. Wołów. Natomiast Tadeusz Cizio zamieszkał w Białej Podlaskiej i poszukiwał rodziny przez 10 lat. Odnalazł ją przez Czerwony Krzyż. O zamordowaniu ich matki Katarzyny Ostrowskiej przez banderowców na Kresach obaj dowiedzieli się od rodziny.

Syn Tadeusza Cizio – Stanisław do dziś poszukuje swych bliskich, odnajdując groby swych wujków i innych krewnych na cmentarzach: we Wrocławiu, Żmigrodzie, Legnickim Polu, Złotoryi i Stobnie. Ja zaś po 60 latach jeżdżę w rodzinne strony na Kresach, gdzie czas się zatrzymał. Odwiedzam tam groby bliskich, żyjących znajomych, niosąc pomoc, wiarę i pamięć. Odnajduję tam i utrwalam pozostałe ślady polskości.

Nawet klasztor nie był schronieniem

Halina Krakowiak, córka Stefanii i Ludwika Dybów. Urodziła się w 1933 r. w Wiśniowcu, woj. Wołyń.

Mamusia moja nie pracowała zawodowo, zajmowała się domem i dziećmi. Było nas troje – ja i moi dwaj bracia. Jan urodzony w 1929 r. i Eugeniusz urodzony w 1931 r. Ojciec pracował na poczcie. Mieszkaliśmy w Wiśniowcu u Ukraińców.

Sierpniowej nocy w 1939 r. zabrali tatusia. Ja, 6-letnie dziecko, z płaczem boso i z wielkim krzykiem wybiegałam za nim. Obie z mamusią bardzo rozpaczaliśmy. Bracia spali tak twardo, że tego nie słyszeli. Po dwóch dniach tatuś został zwolniony a później zmobilizowany do wojska. Jako rezerwistę odprowadziliśmy go do autobusu, którym udał się do Lublina. Zostaliśmy sami.

Pewnego dnia przyszedł do nas Ukrainiec po kamyki do zapalniczki. Popatrzył na nas i powiedział: „biedne dzieci.” Mamusia zapytała go, dlaczego tak mówi. Nie odczuwaliśmy biedy, tylko brak tatusia. Mamusia domyśliła się, że coś się za tym kryje. Powiedziała do niego, że coś wie i nie wypuści go aż powie. Wtedy wyjaśnił, że tatuś zginął w czasie działań wojennych w Lublinie. To był dla nas wielki cios. Nie mogliśmy uwierzyć, że nie żyje i do nas już nie wróci.



Halina Krakowiak po prawej.

Przed wojną tatuś grywał w karty z księżmi i braćmi z klasztoru Karmelitów Bosych. Ksiądz zaproponował nam i innym rodzinom, byśmy wyprowadzili się od Ukraińców i zamieszkali w klasztorze. I tak się stało. Gdy mamusia podjęła pracę w aptece, dostaliśmy tam mieszkanie, a kiedy Ukraińcy zaczęli mordować Polaków, chodziliśmy spać do klasztoru. W tym czasie coraz więcej Polaków chroniło się przed bandami na noc w kościele, gdzie spali na podłodze. Natomiast przed kościołem stała straż, która sprawdzała, kto wchodzi. Z okolicznych wsi przychodziło coraz więcej

ludzi i spało też u nas w mieszkaniu na podłodze. Mamusia i jeszcze troje Polaków pojechali do Krzemieńca z prośbą o broń do obrony. Dostali pięć karabinów dla całego miasta. Tymczasem miejscowi dożywiali przybyszów.

Pewnego razu dwaj bracia pojechali z Niemcami na wieś, żeby przywieźć żywność, bo już jej bardzo brakowało w mieście. Dowiedzieli się, że ich siostra i kuzynka przez tydzień żywiły się tylko zbożem. Schowały się w stodole w zbożu po tym, jak mamę pod ich nieobecność zamordowano podczas dojenia krowy. A ich ojciec i kolejne dwie siostry uciekły ze wsi przed bandami. Najbliższy sąsiad, który uchodził za przyjaciela rodziny i był im winien duże pieniądze, wołał do banderowców: „To Polacy, zabijcie ich!”

W 1939 r., gdy rozpoczęła się wojna, zakonnicy z klasztoru wyjechali. Został tylko jeden ksiądz. Ten ksiądz bardzo nam pomagał. Dawał nam owoce z sadu i uczył nas. W tym czasie moja mamusia przez trzy miesiące przechowywała w pokoju za szafą 18-letnią dziewczynę. W tajemnicy przed nami – dziećmi. Dziewczyna była córką osadnika, którego rodzinę Ruscy wywieźli na Sybir. O wywózcę rodziny dowiedziała się wracając z Krzemieńca. Dziewczyna była piękna. Wszędzie jej szukali, ale mamusia przy pomocy innych ludzi wywozła ją w bezpieczne miejsce i ocalała.

Pewnego dnia rano usłyszeliśmy strzały od strony Krzemieńca. Zastanawialiśmy się, co się stało. Po jakimś czasie przywieziono trzy samochody trupów. Ja z bratem i mamusią szukaliśmy wśród nich brata, który też miał wracać tym samochodem. Okazało się później, że w ostatniej chwili wyskoczył z samochodu i ocalał. Ludzie na tym samochodzie byli okropnie zmasakrowani. Mieli odrąbane głowy, odcięte uszy, wylupione oczy i odrąbane nogi. Wszyscy byli nadzy. To był okropny widok. Zginęło tam 25 studentów wracających z Krzemieńca. Staliśmy tam, patrząc z rozpaczą na tę zbrodnię. Płacz, żal i niemoc. Każdy z nas miał tam kogoś bliskiego albo znał wielu z zamordowanych.

Innego dnia Niemcy wtargnęli do klasztoru i kazali nam go opuścić w ciągu paru godzin. Wtedy zamieszkaliśmy w aptece z aptekarzem i jego żoną. Kiedyś w nocy o godz. 23.00 banda napadła na aptekę. Wcześniej wyłączyli światło. Wyważyli drzwi od strony Rynku. Wtedy wszyscy schowaliśmy się na strychu. Strych był duży, wchodziło się po schodach, mieliśmy tam worek soli, której byśmy użyli dla obrony przed napastnikami. Zrabowali wszystko

z apteki i naszych mieszkań. Obok była fabryka walonek, którą też wyszabrowali. Banderowcy jechali furmankami, więc było ich słychać. Robili duży hałas, nie kryli się podczas akcji. Dzień wcześniej do zamku przybyli Niemcy, ale nikt nie przyszedł nam z pomocą. Podobno na następny dzień wyjechali na front. Z opowieści pani Głębieckiej, która później mieszkała w Szczecinie i pana Szamańskiego, po wojnie mieszkającego w Stargardzie, wiemy, że w klasztorze zostało 750 osób oraz ksiądz i zakonnik. Ci ludzie nie mieli co jeść, więc Ukraińcy stukali do drzwi klasztoru, by im otworzyli. Twierdzili, że nic im nie robią. Kiedy ksiądz otworzył, połali go benzyną i żywcem spalili. Resztę ludzi zamordowali w okrutny sposób. Widziała to babka, która schowała się w psiej budzie. W czasie mszy we wsi koło Wiśniowa 12-letniego chłopca nabili na kół i przecięli piłą krzycząc: „Koniec Lachom, bo tak nas męczyli.”

Po zejściu ze strychu mamusia dostała ataku wątroby. Okazało się, że zabrano nam z domu wszystko oprócz mebli. Wtedy mamusia zdecydowała, że wyjeżdżamy do Bochni. Przed wyjazdem nasz znajomy Ukrainiec Żyła przyprowadził do nas swoją żonę Polkę i dziecko. Prosił żeby mama się nimi zaopiekowała i zabrała ich na zachód, bo banda kazała mu ich zamordować. Oczywiście tak zrobiliśmy.

Jechaliśmy w bydlęcych wagonach przez tydzień. Nie można było brać żadnych bagaży. Przyjechaliśmy do miejscowości Brody a stamtąd już normalnie mogliśmy jechać dalej. Z Wiśniowa wyjechaliśmy, a raczej uciekliśmy, bo nie dali nam zezwolenia na wyjazd. Przyjechaliśmy do Bochni. Gdy mieszkaliśmy w Bochni, do pani Żyły przyszedł list od jej męża. Pisał, aby ułożyła sobie życie bez niego. Pani Żyła przyszła do mamusi po radę. Rada była taka: „Jak go kochasz, to z niego nie rezygnuj.” Kiedy nadarzyła się okazja, pani Żyła pojechała i przywiozła męża. Nie poznaliśmy go. Tam został przystojny mężczyzna, a tu przyjechał bez oka, z dużą szramą na głowie i obciętą ręką.

Zamieszkaliśmy we wsi Brzeźnica, w domu krytym słomą, bez podłogi. Tam mieszkaliśmy półtora roku, a w 1945 r. przyjechaliśmy do Świdnicy. Mamusia, jako wdowa po wojskowym i repatriantka, dostała w Świdnicy mieszkanie. Najpierw założyła sklep spożywczy, później pracowała jako ekspedientka. Po tych wszystkich przeżyciach i walce o byt dla dzieci zmarła na serce.

Na roboty do Niemiec

Leokadia Wiślicka, z domu Piutczyc, córka Marii i Józefa ur. 4 października 1937 r. w miejscowości Święcice, pow. Wołkowysk, woj. Białystok.



Leokadia Wiślicka

Moi rodzice mieli swój las. W czasie wojny było dużo partyzantów. W trudnych czasach przez miesiąc cała nasza rodzina – rodzice, ja, siostra i bracia – spaliśmy na polach lub w stodole. Jak się nie zgłosiło Niemcom, że byli partyzanci, to rozstrzelali całą rodzinę. A jak się zgłosiło Niemcom, to partyzanci wybijali rodzinę. Dlatego rodzice woleli ukrywać się, by zachować rodzinę.

Pewnej nocy padał deszcz. Spaliśmy w stodole. Banda Ukraińców nas znalazła. Chcieli nas zabić, bo się ukrywaliśmy. Moja matka ledwie ich uprosiła, by tego nie robili. Powiedziała, że się ukrywamy przed Niemcami. Za karę Niemcy całą naszą rodzinę wywieźli na roboty do Rzeszy. Był to rok 1943.

Nie miałam jeszcze 6 lat. Niemcy zabrali nam wszystko, cały majątek. Wieźli nas pociągiem bydlęcym z obstawą przez trzy tygodnie. W Niemczech pracowaliśmy w majątku Kahn Elise w miejscowości Kurshen, pow. Tilsit. Od lipca 1944 r. do marca 1945 r. byłam zatrudniona przy pasaniu owiec. Gdy zbliżał się front, wywieziono całą rodzinę do obozu jenieckiego w miejscowości Altkarbe, a potem do obozu Stargard Szczeciński i Arndswalde.

W obozie szczecińskim Niemcy zabierali chłopców od 12 lat do kopania okopów. Obóz znajdował się w lesie. Chłopcy uciekli z miejsca pracy w głąb lasu. Wśród nich był mój brat. Zobaczyłam, że Niemcy idą w ich stronę. Pobiegłam i dałam chłopcom znać. Pobiegli więc głębiej. Niemcy bali się partyzantów i zawrócili.

W obozie byliśmy za drutami pod wysokim napięciem. Niemcy dawali nam jeść raz dziennie. Były to racje składające się z: 1 kg chleba, czterech ziemniaków w łupinach i 10 dkg mięsa z konia- na sześć osób. Znaleźliśmy się w okrążeniu. Było nas 700 osób – Po-

laków. Jak ktoś wyszedł po wodę, to go rozstrzeliwano. Brat ukradł cztery ziemniaki, Za to Niemiec postawił go na mrozie na cztery godziny. Matka wyniosła mu ubranie, więc ją też postawiono na mrozie. Ja, siostra i brat zachorowaliśmy na odrę. Pamiętam, że nie chciało nam się jeść, ale byliśmy bardzo spragnieni.

Front w tej miejscowości trwał trzy tygodnie. Po jego zakończeniu wojsko rosyjskie weszło i zaczęło szukać dziewcząt i kobiet. Polacy nie chcieli ich oddać. Zaczęła się bijatyka a później strzelanina. Zginęło wielu polskich żołnierzy. Mojemu ojcu Ruscy zabrali kurtkę. Grozili, że jak nie odda, to go rozstrzelają.

Jeszcze przed wyjazdem do Niemiec przyjąłem pierwszą komunię, a nie miałam 6 lat. Gdy wróciliśmy w 1945 r., poszłam do drugiej klasy, bo umiałam czytać i pisać. Po trzech miesiącach w marcu przeniesiono mnie do trzeciej klasy. Bóg mnie wspierał i dobrze się uczyłam. Po ukończeniu szkoły powszechnej pracowałam i uczyłam się dalej. W pracy mnie doceniano i odznaczano. Ale nie mogłam wygrać sprawy za utratę dzieciństwa. Walczyłam o to 10 lat, aż wygrałam i dostałam odszkodowanie. Nie tak wysokie, jakie otrzymali Żydzi. Powinno być w markach, ale zamieniono je na złotych.

Teraz należę do organizacji Dzieci Wojny, zostałam odznaczona Złotym i Błękitnym Krzyżem, Brązowym Medalem i innymi. Cieszę się, że obecnie jestem doceniana.

Jajka za skarpetki

Zenobia Wardak, z domu Jędrowska, urodziła się w Dzierzbiniu w 1933 r. Dzierzbín to mała wieś, wówczas w powiecie kałiskim.

Moja mama Natalia Janasik wyszła za mąż za Walentego Jędrowskiego. Tam mieszkała moja rodzina ze strony matki – babcia i wujek Janasik. Wujek miał tam ogrodnictwo. Rodzina matki, siostra Sabina i dwaj wujowie, Wincenty i Teodor, mieszkali w Łodzi.

Mój ojciec wyjechał na Kresy, gdzie pracował jako leśniczy we wsi Moszcza, pow. Równe. W 1937 r. mama ze mną wyjechała z Łodzi, w której jakiś czas mieszkaliśmy i pojechaliśmy do Moszcza. Pamiętam, że ojciec wyjechał po nas na stację kolejową w Moszczynie wozem konnym. Zamieszkaliśmy w leśniczówce. Tam urodziło się dwoje mego młodszego rodzeństwa – Józek i Miecia. Moszcza była długą wsią, w której za skrzyżowaniem stał krzyż. Mieszkali

w niej Polacy i Ukraińcy. Od lat żyli w zgodzie. Były też mieszane małżeństwa. Pamiętam wiele nazwisk mieszkańców tej wsi. Obok leśniczówki mieszkał Puś, dalej Żołędziewscy, którzy mieli dużą gospodarkę, Zawistowscy, Kowalikowie, za skrzyżowaniem Maćkowscy, a naprzeciw nich Kula. We wsi było nadleśnictwo, przedszkole i szkoła. Przedszkole mieściło się u państwa Neclów. Do szkoły chodziliśmy razem z dziećmi ukraińskimi i mieliśmy wspólne lekcje z języka polskiego i ukraińskiego.



Rodzina Jędrowskich, rodzice Natalia i Walenty z dziećmi: Zenobią, Zdzisławem i Józefem 1938 r.

Gdy UPA zaczęła morderczą działalność, sąsiad Ukrainiec wyprowadził swą żonę Polkę w zimie do lasu, przywiązał ją do drzewa i tam zamarzła.

Na końcu wsi mieszkał Ukrainiec z długą siwą brodą. Nazywał się Domianiuk. Miał sklep. Jego dwóch synów należało do bandy. Zasłyszał jak planowali mordy we wsi i powiadomił tych ludzi, a oni uciekli do Kostopola. Synkowie domyślili się, że to ojciec uprzedził Polaków przed napaścią, zabrali więc ojca do lasu, gdzie na bagnach banda miała siedzibę. Ukrzyżowali ojca na stole, przybijając go gwoździami. Przy drugim stole ucztowali ze swymi towarzyszami. W trakcie pijatyki podchodzili do nieszczęśnika i żywemu odcinali po kawałku ciała. I tak go zamęczyli.

A dzięki Domianiukowi ocaleli Żmijewscy. Stasia Daszyńska, która z nimi mieszkała, została w domu. Gdy przyszła banda, ukryta za deskami widziała, jak szukali gospodarzy, strzelali na chybił trafił. Bała się, że ją znajdą albo zginie od przypadkowej kuli, ale ocalała. Bandyci zabrali Żmijewskim z domu wszystko, co im się przydało oraz bydło i trzodę. W tym czasie mój ojciec był na wojnie, dlatego tak jak inni nie zawsze nocowaliśmy w domu. Po prostu baliśmy się. Uważaliśmy, że razem z rodziną, w której są dorośli, będzie bezpieczniej. Z mamą chodziliśmy często spać właśnie do naszych sąsiadów Żmijewskich. Tej feralnej nocy spaliliśmy w domu i dlatego przeżyliśmy.

Gdy weszli Ruscy, to bogatszych Polaków wywieźli na Sybir. Wywiezieni zostali Neclowie, a także Kowalikowie, z którymi mieszkaliśmy w tym samym domu. Pozostałym we wsi mieszkańcom Rosjanie urządzili zabawę noworoczną. Dzieciom rozdawali cukierki, a dorosłych raczyli wódką. Dostawaliśmy też kostki kawy z cukrem i to jadaliśmy jak cukierki. Pamiętam, że nie wolno było śpiewać kołęd.

Mój mąż Władysław mieszkał wtedy w Łucku i też opowiadał o takiej zabawie noworocznej zorganizowanej im przez Ruskich. Wyglądało to tak: dzieci w kole podały sobie ręce i zaśpiewały „Wśród nocnej ciszy”, a wtedy Rosjanka prowadząca zabawę powiedziała: „Po tisy, po tisy. Katiuszu spajom”.

Pamiętam ruskich żołnierzy, nazywali ich „pitiuszki”, bo nosili czapki z czubami, które wiązali pod brodą.

W 1940 r. rzezie banderowców nasilały się, więc w sierpniu uciekliśmy - jak wiele innych rodzin - do Kostopola. Tam zamiesz-

kaliśmy w domku po Ukraińcu, który przeniósł się gdzieś na wieś. Koło tego domu był barak, a dalej las. Gdy do Kostopola weszli Niemcy, to w baraku trzymali broń, a za barak wozami wozili ludzi – chyba Żydów – i w lesie ich rozstrzeliwali i zasypywali. Dorośli chodzili tam i opowiadali, że ziemia w tym miejscu była zakrwawiona i jeszcze się ruszała, więc zasypywali rannych a może jeszcze żywych. Miałam wtedy kilka lat i mama nie pozwoliła mi tam biegać.

Kobiety chodziły z Kostopola do Moszczy, do swych gospodarstw po warzywa, ziemniaki itp. Ale zdarzało się, że Ukraińcy w biały dzień zasadzali się na drogach, by uniemożliwić zabieranie Polakom ich plonów. Kula z Moszczy przyjechał raz do Kostopola na żandarmerię i zameldował Niemcom, że banderowcy siedzą na drodze. Wtedy Niemcy ich pogonili.

Ale zdarzyło się, że poszły kiedyś do Moszczy Zawistowska i Prus. Zatrzymali je Ukraińcy. Białorusinkę Prusiową puścili, a Zawistowską zabili, bo była Polką. Zawistowska zostawiła dwanaścioro dzieci.

Mamie udało się przyprowadzić krowę, którą pasłam aż do czasu, gdy spadł śnieg. A kiedy krowę zabili, to za pół tuszy dostaliśmy worek ziemniaków. Jako dziecko pracowałam jak mogłam. Przędłam wełnę i robiłam skarpetki, a za nie dostawałam jajka.

Gdy front się odwrócił i na nasze ziemie znów przyszli Ruscy, to ich żołnierze byli obdarci, a zamiast butów mieli kawałki opon przywiązane sznurkami. Karabiny też mieli na sznurkach.

Do Prabut na Mazurach przyjechaliśmy w czerwcu 1945 r. pierwszym transportem. Z Kresów jechaliśmy około miesiąca lorą (odkrytym wagonem) do Bugu, na którym była już granica. Tam przesiedliśmy się do krytych wagonów i jechaliśmy dalej. Dano nam karty ewakuacyjne, za które później dostaliśmy mieszkanie.

Początkowo w Prabutach był wójt, piekarz i policjant. Jako pierwsi mieszkańcy mogliśmy wybierać domy i mieszkania. Tym transportem przyjechali do Prabut również inni mieszkańcy Moszczy, np. rodzina Zawistowskich, Stasia Daszyńska, Makowscy, Chodorowscy oraz powracający z Sybiru Kowalikowie.

Życie dopisało zaskakujący epilog powrotów z Kresów. Po śmierci Stalina przyjechali do Prabut kolejni repatrianci. Wśród nich przyjechał z Ukrainy „Polak”, który przywiózł dwa samochody osobowe marki Wołga. W Prabutach były sanatoria, postanowił

więc wykorzystać je jako taksówki. Pojechał do Ławy, aby dopełnić formalności. Podał swe dokumenty urzędnicze, a ona chwilę na nie popatrzyła i powiedziała, że musi coś skonsultować z kierownikiem. I w biurze obok oświadczyła, że trzyma w ręku dokumenty swojego męża, z którymi przyszedł jego morderca Ukraińiec. Tak bandytę po latach dosięgła sprawiedliwość.

Pop judził przeciwko Polakom

Józef Bednarz i Jan Dochniak – kuzynowie. Urodzili się i mieszkali do czasów powojennych na Kresach we wsi Chmieleńska, pow. Skala, woj. Tarnopol. Wieś miała ponad 300 mieszkańców, w tym pięć rodzin żydowskich, 1/3 stanowili Ukraińcy, a resztę Polacy.



Józef Bednarz

Ojciec Józefa, Michał Bednarz ożenił się z Katarzyną Dochniak i mieszkali u Bednarzów. Było to wygodne dla dziadka, bo ojciec harował, a dziadek grał w karty. Dom dziadka był kryty blachą, a stajnia i stodoła słomianą strzechą. Mama była bardzo dobrą krawcową. W pewnym momencie ojciec postanowił się usamodzielnąć. Pożyczył od Żyda 50 dolarów, trochę pieniędzy rodzice mieli zaoszczędzonych, i pojechał do Kanady na zarobek. W Kanadzie ojciec był cztery

lata. Bardzo ciężko tam pracował. Dwa miesiące w cementowni, ale zrezygnował z tej pracy, bo bał się zachorować na pylicę. Później pojechał budować linię kolejową. Przypadkiem poznał inżyniera pracującego przy budowie linii. Pracował tam długi czas, początkowo przy ciężkich pracach, a następnie pomagał temu inżynierowi robić pomiary. Jeszcze później pracował przy budowie elektrowni na rzece. Praca tam była ciężka, ale dobrze zarabiał.

Ja urodziłem się w listopadzie 1926 r. Gdy ojciec wyjeżdżał, miałem dwa lata. Za pieniądze zarobione przez ojca w Kanadzie

rodzice kupili od Muchy gospodarstwo w Chmieliskach. Razem z ziemią, którą dostała mama od swoich rodziców, było 12 morgów, trochę bydła, trzoda i parę koni. W 1938 r. rodzice zastanawiali się czy budować nowy dom czy dokupić ziemi, ale pojawiły się pogłoski, że będzie wojna. Ojciec miał siostrę, która wyszła za mąż za Rydza z Romanowej wsi. Wyjechali w poznańskie i zamieszkali koło Rawicza, ale żyli tam biednie, bo ziemia była tam piaszczysta. Rydzowie mieli sześcioro dzieci. Jeden z moich ciotecznych braci, Władysław Rydz, był bardzo zdolny. Namalował Śmigłego Rydza i wysłał mu ten portret z prośbą, by przyjęli go do szkoły wojskowej i tak się stało. Dostał się do szkoły kadetów w Rawiczu, a na drugi rok przenieśli go do Lwowa. Władek chciał przyjechać do nas na święta, więc napisał do mego ojca, który pojechał po niego, ale go nie puścili. Wtedy przyjechał wuj, razem z ojcem pojechali do Lwowa i Władka przywieźli. Wiem, że on później pisał do tej szkoły, ale nikt mu nie odpisywał. Okazało się, że Ruscy szkołę zlikwidowali i wywieźli wszystkich do Donbasu. W ten sposób Władek cudownie ocalał.

Pamiętam wieś, w której mieszkaliśmy i ludzi, którzy tam żyli. W naszym sąsiedztwie mieszkali Lisowiaci. We wsi był majątek Lokersów. Lokers był sędzią we Lwowie, a gospodarstwo prowadziła jego żona. Gospodarstwo prosperowało bardzo dobrze. Było w nim 20 koni. Zboża nie mieściły się w stodołach, więc były układane w stogi. Robotnicy u Lokersowej dobrze zarabiali. Dostawali pieniądze i drewno na opał, bo przy dworze był las. Pracownik ze dworu przywoził z Bogdanówki pocztę dla mieszkańców Chmielisk.

W naszej wsi była szkoła, do której chodzili Polacy, Ukraińcy i Żydzi. Mieliśmy wspólne lekcje, uczyliśmy się też razem języka ukraińskiego, dlatego znam ten język. Rok uczyłem się też po rosyjsku. Do starej szkoły chodziłem ze cztery lata. Tuż przed wojną zbudowano nową szkołę 7-klasową. To był ładny budynek z warszawskimi oknami. Do nowej szkoły chodziłem trzy lata. W roku śmierci Piłsudskiego zmarł też mój dziadek. Na pogrzebie dziadka chłopcy dzwonili tak, jak w dniu pogrzebu Piłsudskiego.

We wrześniu 1939 r. miałem 13 lat. 17 września w niedzielę przed południem siedziałem z chłopakami na dworze, ale zaczął padać deszcz, więc rozeszliśmy się do domów. Po obiedzie Ruscy przeszli przez naszą wieś. Mieli drelichowe ubrania, kara-

biny na rzemykach i na sznurkach. Ksiądz zawsze odprawiał msze w Chmieliskach i Moczanówce, ale tego dnia odprawił tylko u nas, do Moczanówki nie pojechał, bo się bał.

Ziemie u nas były dobre, ludzie zamożni, ładnie ubrani. Ruscy idąc patrzyli i jeden powiedział do swego kolegi; „Smatrj, kakaja tu w Polsce bieda? A u nas skazali szto tu bieda.” Ruscy wywieźli z Chmielisk na Sybir Mileńczuka i Pawła Gładysza. Mileńczuk tam przepadł. Jego syn Bronisław ocalał, bo uciekł i wyjechał do Anglii. Żona i córka pozostały w Chmieliskach. Córka wyszła za męża i po wojnie tam pozostała.

Jan Dochniak urodzony 20 lutego 1926 r. opowiadał, że w Chmieliskach był kościół i cerkiew. Pop i ksiądz jeździli na jednym wozie. Ale gdy popa zmienili, przyszedł taki, który rok za politykę siedział w Berezie Kartuskiej. Ten buntował Ukraińców i judził przeciw Polakom. Napadali nas siedem razy. Zamordowali Hajdamachów, ojca i syna przy pracy w polu. Wcześniej młody Hajdamacha strzelił w lesie dwa razy. Usłyszeli to Ukraińcy i szukali tego, co strzelał. Przyszedł na pole Ruski lub Ukrainiec w ruskim mundurze. Zastał na polu rodzinę Hajdamachów, zapytał „kakaja nacja” – Polacy, więc ich zastrzelił. Hajdamachowa odpowiedziała,



Jan i Genowefa Dochniak

że jest Ukrainką, więc ją zostawił przy życiu. Hajdamachowa opowiedziała wszystko po powrocie do wsi, a ja pobieglem zawiadomić ludzi o zdarzeniu. Zebrali się mężczyźni i postanowili czuwać.

Do naszego wujka też strzelił ukraiński policjant. Zranił go w pachwinę. Od tego czasu we wsi zorganizowano samoobronę. Stanisław Dochniak wcześniej był w wojsku, przejął komendę, zaatakowali Ukraińców i przegnali ich.

W lesie stało ruskie wojsko, więc poszliśmy tam pewnego ranka, aby nazbierać amunicji. Zobaczyliśmy banderowców. Pierwszy szedł Władzio Śliwa, został zauważony, więc podniósł białą chusteczkę, a nam dał z tyłu ręką znak, byśmy uciekali. Uciekliśmy. Jemu też udało się zbiec.

Wieś zebrała pieniądze i zakupiono broń – trzy karabiny maszynowe, a jeden karabin maszynowy dostaliśmy od Ruskich. Trzy razy robiliśmy zasadzki na Ukraińców. Dzięki temu dali nam spokój. W czerwcu, gdy przyszli Niemcy, Ukraińcy rozzuchwalili się jeszcze bardziej. Niemcy nawet naszą wieś zbombardowali. Ruscy uciekali, a Ukrainiec Semcio zebrał 11 chłopaków, zatrzymali ruski samochód i wzięli ich do niewoli. Zamknęli Ruskich u Muchy w stodole, ale potem ich wypuścili.

Z mojego domu widziałem, jak tydzień przed wejściem Ruskich we wrześniu 1939 r., Ukraińcy coś wnosili do Domu Ludowego. Był to Ukraiński Dom Ludowy z czytelnią, który znajdował się koło cerkwi. Później dowiedzieliśmy się, że tam gromadzili broń. W tej okolicy było więcej Ukraińców niż Polaków. Przed wejściem Ruskich uciekł pop. Miał 30 morgów pola i pełną stodołę. Ruscy zabrali siano, a w stodole znaleźli broń i amunicję. Przyszli z tym do ojca, że to może nasze, ale ojciec odpowiedział, że nie.

Opuściliśmy Wschód w 1946 r. W transporcie było 21 rodzin. Z nami jechał Władek Rydz, który u nas mieszkał. Transportowali nas pociągiem towarowym. Przed Rzeszowem pociąg się zatrzymał. Padało i bardzo wtedy zmokłem. Zawieźli nas za Kołobrzeg i za Trzebiatowem byliśmy pięć dni. Później przez rok mieszkaliśmy na przedmieściu Trzebiatowa. Otrzymaliśmy pół domku. Stamtąd przyjechaliśmy do Piławy Dolnej, gdzie była reszta naszej rodziny – Świątkiewiczze i Dochniaki. Część rodziny osiadła też w pobliskim Owieśnie.

Tragedia Aleksandrówki

Barbara Zarówna, z domu Sztandara, córka Władysława i Stefanii. Mieszkanka Aleksandrówki na Wołyniu.

Już od wczesnej wiosny 1942 roku krążyły we wsi pogłoski, że Ukraińcy mordują Polaków. Często przez wieś wędrowali „bieżeńcy” (uciekinierzy), którzy opowiadali o pogromach Żydów i Polaków. Aleksandrówka to miejscowość w gminie Kisorycze, parafia Rokitno, pow. Sarny na Wołyniu.

Tragiczna rzeczywistość zbliżyła się, kiedy Ukraińcy napadli na dom Franciszka Hanusiewicza w Aleksandrówce. Było to w połowie marca 1942 roku. Grupa sześciu Ukraińców napadła na stojący na uboczu dom. Córce Franciszka udało się uciec, a zaalarmowani mieszkańcy Aleksandrówki pośpieszyli z pomocą napadniętym. Franciszek ocalał.

Także w marcu 1942 roku po eksterminacji Żydów w Rokitnie Ukraińcy napadli na dom Hieronima Grafowskiego, który dał schronienie znajomym Żydom zbiegłym z getta. Spalono dom i zagrodę, zamordowano rodzinę gospodarza i rozstrzelano czteroosobową rodzinę Żyda Berezowskiego.

Mieszkańcy Aleksandrówki ze strachu przed napaścią na noc uciekali z domów, chronili się w pobliskich lasach i zagajnikach. Młodzi mężczyźni zostawali na noc we wsi, aby pilnować dobytku. Tworzyli Samoobronę Wiejską. Kowal – mój ojciec Władysław Sztandara zrobił kilkadziesiąt lemieszów i młotków, które zawieszone przed domami miały służyć do wszczęcia alarmu na wypadek napaści. Pomocnik ojca Ukrainiec Hryć w swoisty sposób starał się go ostrzec mówiąc: „aj Ładyk, Ładyk, bude wam Lachy, bude”. Ojciec nie potraktował tego poważnie.

Przed krytycznym dniem wspomnianego wyżej Franciszka Hanusiewicza ostrzegł sąsiad Sergiej Bryczka – mieszkaniec Aleksandrówki. Z 21 na 22 maja 1943 roku samoobrona pełniła całą noc wartę. O świcie sądząc, że w dzień już nie grozi, warta zeszała z posterunków i poszła spać. Wieś jeszcze spała spokojnym snem. Zaczajone w zbożu i krzakach trzy grupy banderowców z Wasylem Bryczką z Borowego, Semenem Karukiem z Karpiówki i Iwanem Wołoszynem z Kisorycz na czele, uzbrojeni w broń palną, siekiery,

widły, noże i inne narzędzia wykorzystali bezbronność wsi. Okrążyli ją, podpalili ze wszystkich stron i zaczęli rzeź.

Zamordowano 40 osób. 50 rannym i ocalałym udało się zbiec do Rokitna, Sarn i pobliskich lasów. Parę osób, których liczby nie ustalono, spłonęło żywcem. Ośmiu mieszkańców Aleksandrówki zostało zabitych parę dni później. Poszli do wsi, do swoich spalonych domów poszukać żywności.

W Aleksandrówce ocalały tylko cztery domy, w tym nasz, ale i te były nadpalone i splądrowane.

Oto w przybliżeniu lista pomordowanych: rodzina Grafowskich, cztery osoby z rodziny Berezowskich, Antoni Hanusiewicz, dziecko Bronisława Hanusiewicza, Franciszek Hanusiewicz, Jan Hanusiewicz s. Franciszka, Jan Hanusiewicz, Antonina Hanusiewicz żona Jana, Michał Hanusiewicz, żona Rafała Hanusiewicza, sześcioro dzieci Rafała Hanusiewicza, Helena Hanusiewicz, dziecko Heleny, Tomasz Hanusiewicz, żona Tomasza z dziećmi, Mierzejewska, syn Mierzejewskiej, dwaj bracia Piskorsce, Henryka Garbowska (będąca w ciąży), Michał Sokołowski, Halina Sztandara (9 lat), ośmiu mieszkańców Aleksandrówki zabitych, jak szli do swoich domostw po żywność, Tomasz Kubicki, dziecko Tomasza Kubickiego, kilka osób spalono żywcem w ich domach. Wieś płonęła kilka dni.



Halina Sztandara córka Władysława i Stefani. Urodzona 40.07.1934 r w Antolinie. Zamordowana 22.05.1943 r. przez UPA

Wśród zamordowanych znalazła się Halina Sztandara (9 lat), moja siostra. Moja matka Stefania z dwojgiem dzieci w przeddzień masakry poszła do Rokitna i dzięki temu ocalała. Halinka została z ojcem w domu. Ojciec pełnił całą noc wartę. Na noc zaprowadził ją do sąsiadów – Grabowskich. Halinka uciekła z nimi do lasu. W pewnym momencie przypomniała sobie, że „tatuś pewnie śpi.” Wróciła do domu. Zbudziła ojca i razem ruszyli do ucieczki. Banderowcy ostrzelali uciekających. Rozrywająca kula trafiła ją w plecy, a ojca w ramię. Oboje upadli w bruzdę kartofli. Bandyci zatrzymali się i zapalili papierosy.

Ojciec kątem oka zobaczył, że jest szansa ratunku. Podniósł Halinkę i chciał uciekać, ale wnętrzości dziecka były w piachu. Położył ją. Dla dziecka nie było ratunku. Ukraińcy zaczęli biec w ich kierunku i strzelać. Ojciec kilkoma skokami znalazł się w życie. Bandyci dopadli Halinkę, która jeszcze żyła. Wbili w jej ciało 17 bagnetów. „Tatusiu! Tatusiu!” – ten krzyk ojciec miał w uszach do końca życia. W naszym domu nigdy odtąd nie śpiewało się piosenki „Sokoły” ze względu na fragment: „ona jedna tam została”.

Ojciec uratował się. Pod wieczór przyszedł do kuzynki, do Rokitna. Był ranny, zakrwawiony i półprzytomny. Przeżył taki szok, że kilka dni nic nie mówił.

Aleksandrówka jeszcze płonęła, kiedy Niemcy zezwolili ocalałym na pochowanie ciał pomordowanych. W asyście oddziału Niemców i ukraińskich policjantów ludzie udali się do Aleksandrówki po zwłoki. Zastali tam straszliwy widok – zwłoki pocięte piłą, odrąbane głowy ułożone na bochenkach chleba, roztrzaskane o drzewa niemowlęta, zakłuci bagnetami, zabici z broni palnej i powieszzeni, szczątki ciał popalone i trudne do identyfikacji. Ciała układano na drabiniaste wozy, jak gałęzie. Ten straszny kondukt wjechał do Rokitna, a za nim pozostała struga krwi ciekąca z wozów. Na końcu konduktu szła oślepiała z bólu i rozpacz, niosąca na rękach zwisające ciało swojej córki Halinki. moja matka Stefania. Po obu stronach drogi stał przerażony niemy tłum patrzący na tragiczny widok. Wśród nich stałam i ja i patrzyłam na to oczami czteroletniego przerażonego dziecka.

Zabitych złożono w szkolnych klasach do zrobionych z nieheblowanych desek trumien. Desek dostarczył tartak w Rokitnie. Układano zwłoki do trumien, w czym kto był ubrany. Ludzie z Rokita przynieśli ubrania, ale bardziej były one potrzebne żywym. Moją siostrę mama ubrała w białą sukienkę w różowe kwiatki, na główkę włożyła wianuszek ze stokrotek, a na nóżki moje, za małe na nią, białe skarpetki. Tylko dlaczego przez całe życie widzę te nóżki w moich za małych na nią skarpetkach?

Nazajutrz odbył się pogrzeb. Wykopano ogromną jamę pod rozłożystym dębem obok kapliczki na katolickim cmentarzu w Rokitnie. Do dębu przybito poprzeczkę, na której nieudolnie napisano, kto spoczywa w mogile. Ta poprzeczka w połączeniu z dębem stanowiła oryginalny krzyż. Policja szybko rozpendziła tłum żałobników.

W nocy rozpętało się piekło. To polsko-sowiecka partyzantka broniła miasteczka przed Ukraińcami. Strzelanina, krzyk, łuny rakiet, pożary i wybuchy trwały całą noc.

Rano Niemcy w asyście ukraińskich policjantów sprawdzili każdy dom. Wcześniej na drzwiach każdego mieszkania wywieszono spisy mieszkańców. Zebrano wszystkich uciekinierów, nie tylko z Aleksandrówki, i spędzono do szkoły. Wszystkich traktowano jak bandytów i partyzantów. Wystawiono im prowizoryczne dokumenty określające tożsamość. Dzieciom - metryki urodzenia. Następnie dokonano selekcji. Młodych, silnych, zdrowych załadowano do wagonów i wysłano na przymusowe roboty do Niemiec. Ranni, chorzy, kobiety, dzieci i starcy załadowani zostali do bydłowych wagonów i skierowani do pracującego pełną parą obozu koncentracyjnego na Majdanku. Nasza rodzina znalazła się właśnie w tym transporcie.

Na postoju w Sarnach nasz wagon stanął naprzeciw ciekącego kranu. Wejścia do wagonu pilnował rozkraczony, uzbrojony ukraiński żandarm. Niepostrzeżenie koło nóg żandarma wyszłam na peron. Chciało mi się pić. Pociąg ruszył, drzwi zatrzasknięto. Na peronie zostałam sama. Głodne, brudne, obdarte dziecko. W tym momencie skończyło się moje dzieciństwo. Biegłam za pociągiem płakałam, upadłam, rozbiłam kolana. Pociąg odjechał. Weszłam na tory i zaczęłam iść w kierunku, w którym odjechał pociąg. I stał się cud! Zobaczył mnie Kazimierz Kulikowski, kolejarz, który kontrolował urządzenia elektrotechniczne na stacji. Zwykłym ludzkim odruchem skoczył na tory i zabrał mnie. Rozpoznałam w nim swojego wujka. Wyjaśniłam, kim jestem i co się stało z rodziną. Kiedy dowiedział się, dokąd odjechał transport, wszystko stało się dla niego jasne. Zabrał mnie do swojego domu w Antonówce.

Kazimierz Kulikowski był już od jakiegoś czasu związany z ruchem oporu i oddziałami partyzanckimi. Niemcy zaczęli go już obserwować. Aby uniknąć aresztowania wstąpił do oddziałów partyzanckich. Zabrał ze sobą żonę Wiktorię i mnie - Barbarę. Dla mnie zaczęła się partyzancka dola dziecka oddziału w Zgrupowaniu Polskich Partyzantów na Wołyniu w oddziale „Muchy” – Mikołaja Kūnickiego.

Dla mojej rodziny rozpoczęła się gehenna obozowa w Majdanku, a potem roboty przymusowe w Niemczech w Gugelwitz koło Milicza. To już są oddzielne rozdziały naszej historii wojennej.

Wojenne dzieciństwo

Maria Kralka, z domu Kaperda urodziła się 13 grudnia 1927 r. we wsi Boków, pow. Podhajce, woj. Tarnopol. Tam mieszkała z mamą Teofanią, nazwisko panieńskie Ferenc i bratem Stanisławem, który był dwa lata od niej starszy. Ojciec Jan Kaperda zmarł, gdy miała dwa lata. Obowiązek wychowania dzieci spadł na mamę, która sama prowadziła gospodarstwo.

Trudno jest pisać o dzieciństwie, które trwało bardzo krótko. Miałam 12 lat, gdy wybuchła wojna. Wtedy nie rozumiałam, co się dzieje, ale dowiedziałam się, że muszę bać się drugiego człowieka. Tak jak wielu kresowym dzieciom, przyszło mi ciężko pracować i walczyć o przeżycie.

Boków był siedzibą gminy i parafii, większość mieszkańców stanowili Rusini i Ukraińcy. Wybuch wojny w 1939 roku nie kojarzy mi się z niczym szczególnym, ale straszną noc z 17 na 18 września na zawsze zapamiętam, bowiem tej nocy bojówkarze Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów OUN napadli na naszą wieś i bestialsko zamordowali kilkunastu Polaków. Miało to miejsce przed wejściem wojsk sowieckich.

W Bokowie wybuchł pożar, ludzie biegli i krzyczeli. Palily się zabudowania rodzin ojca. Rodzina mego ojca to górale pochodzący z Czarnego Dunajca. Mama wraz z nami musiała uciekać. Zapukała do domu swojej ukraińskiej koleżanki, aby nam pomogła i gdzieś ukryła, ale ona odmówiła. Uciekaliśmy dalej i nagle zobaczyliśmy uchyloną bramę u znajomego Ukraińca, którego lubiliśmy. U niego ukryliśmy się w stodole, zagrzebani w słomie. Razem z bratem bardzo baliśmy się, modliliśmy się prosząc Boga, aby nikt nas tu nie znalazł i nie zamordował. Chcieliśmy żyć! Ukraińscy bandyci szukali Polaków po stodołach i przebijali widłami.

Rano przyszedł do stodoły gospodarz Ukrainiec i powiedział nam, że już możemy wyjść z ukrycia. Na tę wiadomość zemdlalam po raz pierwszy w życiu. Od tej tragicznej nocy często traciłam przytomność, przysparzając tym samym kłopotu mamie. Mama bała się wracać do domu i chowaliśmy się w każdą noc. We wrześniu 1939 r. weszły wojska sowieckie, a ukraińscy nacjonaliści przycichli, ale donosili na Polaków. Wskazywali tych, którzy mieli broń lub należeli do przedwojennych organizacji, nawet gdy to nie była prawda.

We wrześniu 1940 r. Rosjanie zaczęli wywozić Polaków na Sybir. Z rodziny mego ojca wywieziono ciocię Ankę i jej syna Stanisława. Oboje zmarli na Syberii. Mąż cioci Jan Budz oraz dwoje ich dzieci Stefania i Jasiek po wojnie przyjechali na tereny obecnej Polski.

Po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej w czerwcu 1941 r. na polskie Kresy Wschodnie weszły wojska niemieckie. Wtedy znów swoje działania uaktywnili ukraińscy nacjonaliści. Czekali na utworzenie państwa ukraińskiego, czyli „samostijnju Ukrainu”. Niemcy natomiast rozpoczęli realizację swoich planów. Zmienił się okupant i zmienił się kierunek wywózki Polaków. Teraz młodych ludzi wywożono na przymusowe roboty do Rzeszy. Pewnego dnia zabrano mnie, mimo że nie byłam pełnoletnia. Brata nie było w domu, więc udało mu się zostać.

W Stanisławowie wsadzono nas do pociągu towarowego i wraz z innymi dziećmi jechałam dwa tygodnie w nieznane, nie wiedząc, co mnie czeka. Ta podróż była dla mnie wiecznością. Nagle wyrwana z rodzinnego domu, jeszcze dziecko, znalazłam się pełna lęków wśród obcych. Tego się nie da opisać. Tym razem za sprawą Niemców przeżyłam szok psychiczny.

Dojechaliśmy do Transshajn. Umieszczono nas u siostr zakonnych Kranken Haus Adelholzen, gdzie pracowałam codziennie od



Od prawej Maria Kralka, Niemka Maria Witteii, Ukrainka Gienka. Adelholzen 1942 r.

godziny 7.00 do 19.00. W pomieszczeniach tego żeńskiego zakonu przebywali żołnierze armii niemieckiej, którzy tu odpoczywali a później jechali na front. W 1944 roku, gdy podrosłam, zabrano mnie do gospodarstwa, w którym bardzo ciężko pracowałam w lesie i na polu. Kosilałam, jeździłam wołami i wykonywałam różne inne prace gospodarskie. Często zastanawiałam się, jak długo to wytrzymam. Praca fizyczna ponad moje siły i brak wiadomości od rodziny pogłębiały moją samotność. Traciłam nadzieję na zmiany i na powrót do Polski. O tym, że ukraińscy faszyci w czasie okupacji niemieckiej na Kresach Wschodnich znów rozpoczęli rzeź na Polakach, nic nie wiedziałam. Na szczęście moja mama i brat przeżyli. Co działo się w mojej rodzinnej wsi i z moimi krewnymi, dowiedziałam się już po wojnie od moich najbliższych.

Gdy w nocy z 17 na 18 lutego 1944 r. miał miejsce napad na wieś Boków, znajomy Ukraińiec ostrzegł mamę. Powiedział, że banderowcy szykują napad na Polaków i poradził jej, aby natychmiast wyjechała do Stanisławowa. Dzięki temu uratowała życie. Niestety, do napadu doszło i banderowcy przy pomocy miejscowych Ukraińców wymordowali około 60 bezbronných Polaków. Ograbiono wszystkie polskie zagrody, część spalono. Ci, którym udało się uciec, schronili się w Podhajcach.



*Po prawej Maria Kralka
obok Ukrainka Sienka Hotlam - 1943 r.*

W 1945 r., wraz z końcem wojny kończyła się też moja niewola na ziemi niemieckiej. Wyzwolili nas Amerykanie. Nie chciałam iść do obozu, mieszkalam w szkole, w której pracowałam. Razem ze mną było tam sześćdziesięcioro Polaków i ksiądz. Każde z nas miało już jakieś plany. Myśleliśmy o przyszłości i swoim miejscu w nowym życiu. Niestety, Niemcy donosili Amerykanom na Polaków, często wymyślali jakieś kłamliwe historie, a Amerykanie im wierzyli. I w wyniku tych donosów pewnego dnia uzbrojeni Amerykanie razem z Niemcami otoczyli budynek szkoły i polecili nam się spakować w ciągu 20 minut. Zostaliśmy załadowani do pociągu

towarowego i wysłani do Polski. Tym razem też jechaliśmy około dwóch tygodni. Po powrocie do kraju byłam zagubiona. Granice się zmieniły. Nie wiedziałam, gdzie są moi bliscy. Chciałam jechać do Nowego Targu do rodzin ojca, ale w tamtym kierunku pociągi nie kursowały. Rozpoczęłam poszukiwania mojej rodziny.

Dowiedziałam się, że dwie siostry mojej mamy nie żyją. Anielę Ferenc z Bokowa zamordowali w 1940 r. dwaj znajomi Ukraińcy Iwan Haro i Józef Stebelski. Marcelę Ziemiańską z Komorochy, a także jej wnuków sześciolatniego Zdzisława i czteroletniego Ryszarda również bestialsko zamordowała banda ukraińskich nacjonalistów. Tamtej tragicznej nocy cudem uratowała się reszta rodziny. W grupie napastników rozpoznano jeżdżących na białych koniach syna i córkę ukraińskiego popa z Komoroch, który nazywał się Hołebej. Szwagier mamy, Bronisław Salski z Komorochy, poszedł do popa, by zapytać czy ma uciekać przed bandą. Pop odpowiedział mu, że nie ma się czego bać. Jednak nocą bandyci przyszli. Mieli podpalić dom, ale zorientowali się, że ktoś w nim jest, więc wrzucili do mieszkania granat. Bronisław ten granat odrzucił przez okno. Syn Rysiu został zabity w łóżku. Bronisław złapał futro i w tym futrze uciekał, ale upadł. Bandyci myśleli, że jest zabity. Mały siedmioletni syn mojej drugiej cioci, Karol Ferency, wszystko to widział, bo schował się pod łóżkiem. Obok Salskich mieszkała matka Salskiego oraz siostra Zielińska z dwiema kilkunastoletnimi córkami i synem. W jej domu kwaterowało dwóch Niemców i dwóch Ukraińców, którzy też zostali zabici, mimo że się bronili. Siostrzeniec Salskiego uciekł przez okno w czasie napadu Ukraińców na dom i schował się w gnojówce. Widział, jak matce wyrwali zęby, a jego siostry gwałcili i obcinali im piersi. I tylko on jeden ocalał.

Bronia, moja kuzynka, uciekła z dwójką dzieci do Puczumłaniec do innej naszej kuzynki. Tam wpadli Ukraińcy, powiedzieli, że ma szczęście od Boga, bo udało się jej uciec, ale do ósmej rano ma jej tu nie być. Szukali jej męża. Gdy Bronia wróciła do domu, zastała tam w łóżku zabitego granatem czteroletniego synka Rysia.

Tragicznie zginęła też z rąk ukraińskich oprawców, mieszkająca we wsi Podczumłańce, siostrzenica mamy 23-letnia Kasia. W 1944 r. na stacji w Poczumłańcach zebrało się około 40 Polaków z Komorochy i okolic. Czekali na pociąg do Stanisławowa. Na tę stację wpadli upowcy, ograbili ich, wyciągając im nawet złote zęby, a po skończonej rzezi cała poczekalnia była we krwi.

Był pewien Ukraińiec, który pomagał mojej rodzinie. Ostrzegał przed napadami moją matkę. Nazywał się Czopecj, a dziadek, jego teść, Kustecki.

Bardzo przeżyłam te straszne wieści, bo kochałam tych ludzi. Zwłaszcza ciocię Marcelę, która pomagała mamie, a mnie wychowała. Trudno o tym zapomnieć.

W 1946 r. zamieszkałam w Dzierżoniowie i 30 lat pracowałam w Zakładach Radiowych Diora. Moja mama wyjechała z Kresów jako repatriantka i zamieszkała w woj. poznańskim. Gdy mnie odnalazła, przyjechała do Dzierżoniowa. Brat Stanisław został zmobilizowany do wojska polskiego w 1944 r. Za kontakty z działaczami Armii Krajowej ówczesne władze osadziły go w więzieniu, gdzie przebywał do czerwca 1946 r. Po zwolnieniu brat z mamą zamieszkał w Bielawie, a mając 63 lata zmarł na zawał serca.

Ja w wieku 18 lat w 1946 r. wyszłam za mąż za Józefa Kralkę. Urodziłam troje dzieci - Czesława, Józefa i Krystynę. W 1970 r. zmarł nasz syn Czesław, a w 1987 r. zmarł mój mąż. Opiekowałam się chorą teściową i jej nieletnią córką. Po śmierci teściowej wzięłam do siebie moją mamę, którą opiekowałam się przez 10 lat, do jej śmierci. Zmarła w 1976 r. mając 80 lat. Podczas rodzinnych spotkań zawsze wspominaliśmy złe czasy, w jakich przyszło nam żyć, walczyć i ginąć kresowym Polakom.

Pomimo moich ciężkich przeżyć doczekałam się wspaniałych wnuków i prawnuków. Wnuk Robert jest doktorem na Uniwersytecie Warszawskim. Wnuk Marcin ukończył Wyższą Szkołę Zarządzania i Finansów we Wrocławiu, a wnuczka Magda jest absolwentką Uniwersytetu Warszawskiego. Cieszę się, że mieli możliwość kształcenia się i realizowania. Tym bardziej, że ja takiej możliwości nie miałam.

Obecnie jestem chorą emerytką. Nie jest prawdą, że w miarę upływu czasu pamięć zaciera przykre wspomnienia. W moim przypadku coraz częściej wraca echo tamtych dni. Chyba nigdy nie uwolnię się od koszmaru mego wojennego dzieciństwa. Chciałabym, aby moim dzieciom, wnukom i prawnukom los oszczędził przeżyć, jakie niesie wojna. Żadna idea nie usprawiedliwia mordowania drugiego człowieka, a taką metodę przyjęli ukraińscy nacjonaliści uzbrojeni przez Niemców.

Stracone dzieciństwo

Irena Tersa urodziła się 30 marca 1930 r. w Rudni Bobrowskiej, pow. Kostopol, siedem kilometrów od granicy dawnego ZSRR. Do wybuchu wojny w 1939 r. ukończyła dwie klasy szkoły powszechnej.

W tym okresie ukraińskie bandy rządziły się swoimi prawami: kradzieże, bicie, zabieranie i wymuszanie wszystkiego, co było w pobliżu. Część ludzi ze wsi zostało wywiezionych przez Sowietów na Sybir. Pozostali musieli pracować w lesie przy wywózce drewna.

W lipcu 1941 r. przez trzy tygodnie wojsko rosyjskie uciekało przed Niemcami. Gdy weszli Niemcy utworzyli milicję ukraińską, która działała przeciw Polakom. W 1942 r., gdy zbierałam jagody w lesie, zostałam złapana przez spadochroniarzy. Jak się później okazało, byli to rosyjscy oficerowie. Zażądali ode mnie współpracy grożąc, że jak odmówię, zabiją moją mamę. Byłam 12-letnim dzieckiem, nie miałam wyjścia, musiałam się zgodzić. Mieszkałam z rodzicami 10 km od najbliższej wsi. W naszej okolicy działały oddziały partyzanckie – Miedwiediew i dwie grupy znane jako Wujek.

Pamiętam, że 30 marca 1943 r. to był poniedziałek. Rosjanie się wycofali, a we wtorek rano zostaliśmy napadnięci przez Niemców i Ukraińców. Strzelali do nas jak do kaczek. Niedaleko był wąż, nim uciekaliśmy do lasu - nieubrani, w kapciach, które po drodze się podarły. Samoloty latały nam nad głowami, więc tuliliśmy się do pni drzew. Las płonął, a Ukraińcy zabijali uciekinierów.

W Wigilię Bożego Narodzenia w 1943 r. usłyszeliśmy odgłosy walki koło zniszczonego mostu. Baliśmy się bardzo i mimo że byłam chora na tyfus, uciekliśmy w głąb lasu. Okazało się jednak, że to nadchodziło wojsko rosyjskie, które było nam przyjazne. Bardzo wszyscy cieszyliśmy się ze zmiany na froncie. Wtedy postanowiliśmy pobudować domy w lesie z myślą, że kiedyś wrócimy do wsi. Niestety, radość nie trwała długo, bo przed Bożym Narodzeniem w 1944 r. napadli nas Ukraińcy. Na szczęście wcześniej dostaliśmy broń od wojska rosyjskiego, więc nie poddaliśmy się bez walki. Ale i tak zmuszeni byliśmy uciekać do najbliższej wsi, gdzie mieszkaliśmy do 1945 r.

6 maja 1945 r. zostaliśmy przez wojsko rosyjskie wywiezieni furmankami do miasta Berezo, a stamtąd kolejką wąskotorową do stacji Mokwin. Na tej stacji przebywaliśmy dwa tygodnie pod gołym niebem i czekaliśmy na transport zbiorczy. Pamiętam jak podjechał pociąg z odpadkami kolorowych tkanin. W ciągu niecałej godziny wagon był pusty, a my wreszcie mogliśmy sobie zrobić jakieś ubrania. Swoje łachy zostawiliśmy Ukraińcom na pamiątkę. Mimo głodu i deszczu było mi dobrze, bo nie musiałam się już bać, że nas zabiją.

Po dwóch tygodniach załadowali nas do wagonów towarowych. W naszym wagonie było jeszcze siedem rodzin, a każda liczyła po sześć lub siedem osób. Pamiętam krzyki i rozpacz rodziców, gdy dowiedzieli się, że nie wracamy do domu, ale jedziemy w nieznaną. Każdy zostawiał tam swoich bliskich na cmentarzach oraz cały dobytek w rodzinnych stronach.

W połowie lipca dotarliśmy do stacji Brochów koło Wrocławia. Tam znów koczowaliśmy

w wagonach na bocznym peronie przez trzy tygodnie. Po trzech tygodniach ludzie, którzy mieli swoje konie, zaczęli wyjeżdżać i szukać sobie miejsca do życia na własną rękę. Ja z mamą postanowiłyśmy iść pieszo za tymi furmankami i też poszukać jakiegoś miejsca do zamieszkania. Tato został z moją siostrą, która miała bardzo skaleczoną nogę.

Ktoś zabrał na wóz dwóch moich małych braci 7- i 9-letniego oraz bagaż, który składał się z woreczka soli. Soli nie widzieliśmy przez całą wojnę i nie wiem, jak ją rodzice zdobyli. Ponadto mieliśmy maszynę do szycia, którą jeden Ukraińiec schował pod mostek, kiedy Niemcy wynosili nasz dobytek z domu, a potem go podpalili. Po 10 kilometrach tej podróży konie zaczęły ustawać, więc zaczęto zrzucać bagaże. Dzieci pojechały na wozie. My też byłyśmy zmęczone. Nieść bagażu nie mogłyśmy, a zostawić mama nie chciała. U mieszkających tam Niemców poprosiła o jakiś wózek. Dostałyśmy dwukołowy, każde koło miało inną wielkość i dalej szłyśmy



Szkoła w Rudnicy Bobrowskiej.

jeszcze dwadzieścia kilometrów. Buty się podarły, trzeba było iść boso, dotarliśmy wreszcie do wsi Kąty Wrocławskie. Tam zobaczyliśmy polską chorągiewkę. Byliśmy bardzo zmęczone i głodne. Po drodze jadłyśmy tylko owoce z przydrożnych drzew. Było już ciemno. Mama zapukała do jakiegoś domu. Drzwi otworzyła nam kobieta. Trafiliśmy do rodziny z woj. tarnopolskiego. Przyjęli nas bardzo serdecznie. Zaraz nas nakarmili i przygotowali spanie, takie jakie od trzech lat nam się nawet nie śniło.

Następnego dnia mama wstała bardzo wcześnie i poszła szukać dzieci. Ja jak się obudziłam, zorientowałam się, że całe stopy mam w bąblach. Mama wróciła przed południem z wiadomością, że moi bracia są w miejscowości odległej o siedem kilometrów. Mama podziękowała za wszystko gospodarzom i ruszyliśmy w drogę. Pomimo bolących stóp, prawie biegłyśmy. Znalazliśmy moich braci. Mama z gospodarzami, którzy już rano wymłócili pszenicę, pojechała do młyna. W młynie Ruski zapytał mamę, dlaczego nie bierze mąki?



II kl. w szkole w Rudnicy Bobrowskiej. W drugim rzędzie trzecia od prawej Irena Tersa.

Odpowiedziała, że nie ma zboża. Wtedy on dał mamie pół worka mąki. Z tej mąki zrobiliśmy kluski. Sąsiadka dała nam mleka i wreszcie zjedliśmy dobry obiad. Niestety, przybiegli Ruscy żołnierze i kazali nam szybko wyjeżdżać, bo w miejscowości panuje tyfus. Nie mieliśmy jak wyjechać, więc mama poszła do urzędu i dostaliśmy żołnierza z bryczką i zostaliśmy odwiezieni do naszych. A tam już wszystkie domy były zajęte przez repatriantów. Wtedy żołnierz, który nas przywiózł, zawałał Niemca i kazał mu znaleźć dla nas miejsce. Niemcy wyczyścili starą chatkę i my się do niej wprowadziliśmy. Mieszkaliśmy tam do 9 listopada. Ja i moi bracia młóciliśmy rzepak patykami, mama z ziaren rzepaku w drugiej wsi tłoczyła olej, a siostra chodziła do Kątów Wrocławskich i wymieniała ten olej na niezbędne rodzinie przedmioty, ubrania, pościel itp.

9 listopada 1945 r. siostra pojechała do Dzierżoniowa i założyła gospodarstwo rolne w Księgienicach, gdzie wszyscy zamiesz-

kaliśmy. To gospodarstwo miało przed nami już pięciu gospodarzy, nikt tam jednak nie chciał mieszkać, bo dom nie miał okien, a budynki były zrujnowane przez artylerię radziecką. Na tym terenie od Strzelina toczyła się straszna bitwa. Na dodatek w tym gospodarstwie przyszło nam mieszkać razem z Niemcami, którzy ocaleli z wojny, a potem powrócili biedni jak my. Mieszkała tam Niemka z mężem, który nie miał jednej nogi i ich córka z trójką dzieci. Jedno 3,5-letnie i ośmiomiesięczne bliźniaki.

Jak już wspominałam, całą wojnę nie chodziłam do szkoły, bo nie było takiej możliwości. Jak przyjechaliśmy do Kątów Wrocławskich, mama zapisała mnie do trzeciej klasy szkoły podstawowej. Miałam już wtedy 15 lat i byłam wyższa od nauczycielki. Uciekłam z tej szkoły i poszłam do krawcowej uczyć się krawiectwa.

We wrześniu 1946 r. pojechałam do Olawy, do szkoły zawodowej dla dorosłych. Tam nas uczyli strzelania, szycia i gotowania. Miałyśmy też kurs dla pielęgniarek na wypadek wojny. Szkoła ta była prowadzona przez L.G.K. we Wrocławiu. Nauka trwała 2,5 roku. Po jej ukończeniu jeszcze jakiś czas uczyłam się u krawcowej. W 1953 r., już jako mężatka, zaczęłam pracę w Gliwicach w Spółdzielni Zjednoczenia. Po pół roku zachorowałam na tarczycę i musiałam zmienić klimat. Z mężem i dzieckiem powróciłam do Kondratowic. Mąż pracował tam jako księgowy, a później jako przewodniczący Rolnej Rady Zakładowej. Ja nie pracowałam, bo urodziłam drugie dziecko.

W 1957 r. otrzymaliśmy w Dzierżoniowie mieszkanie i część budynków gospodarczych. Na tym naszym gospodarstwie zaczęliśmy od pracy łopatą i motyką. Za 200 zł kupiliśmy konia. Mąż poszedł do pracy w Kółkach Rolniczych, a ja pracowałam w kiosku spożywczym, który miałam w agencji i otrzymywałam 3,5% od utargu.

Po śmierci ojca, gdy mama zamieszkała z nami i pomagała nam, poszłam do szkoły wieczorowej. Skończyłam siódmą klasę dla dorosłych, a w czasie wakacji zrobiłam samochodowo-motocyklowe prawo jazdy. Natomiast po wakacjach zostałam uczennicą Liceum Ogólnokształcącego przy ul. Hanki Sawickiej. Po ukończeniu dwóch klas musiałam przerwać naukę, bo zachorowała mama. Moim marzeniem było zdać maturę. Namówiłam męża, żeby razem ze mną zapisał się do Technikum Rolniczego w Nysie. Mąż wcześniej chodził do Technikum w Bielawie, ale go nie skończył, bo

został powołany do wojska. Teraz już oboje pięć lat uczyliśmy się i zdaliśmy maturę.

Zrezygnowałam z pracy w kiosku i zaczęłam pracować jako księgowa w Spółdzielni Mleczarskiej w Dzierżoniowie, a po miesiącu przeniosłam się na stanowisko kasjerki do PKS-u. Tam pracowałam do emerytury, którą uzyskałam w 1991 r. Jako emerytka 3,5 roku uczęszczałam na Uniwersytet Trzeciego Wieku w Bielawie, gdzie uczyłam się języków: niemieckiego i angielskiego. Jestem bogatą osobą, bo mam troje dzieci, czworo wnucząt i dwoje prawnucząt. Jedna córka jest technologiem żywności, druga prezesem banku, a syn ma swoją firmę budowlaną. Jako dorosła osoba bardzo ciężko pracowałam, aby nadrobić te sześć lat mego straconego przez wojnę dzieciństwa.

Z Podola na Dolny Śląsk

W 1945 r. Franciszek Kapłun miał 15 lat, a jego brat Józef 11 lat. Dobrze pamiętają tzw. repatriację Polaków z Kresów Wschodnich. Mieszkali we wsi Białokiernica, pow. Podhajce, woj. tarnopolskie.

Wieś leżała 6 km na wschód od Podhajec i posiadała 428 zagród, w tym 291 stanowiły rodziny polskie, 76 rodziny ukraińskie, 60 rodziny mieszane i jedna rodzina żydowska (właściciel majątku i gorzelni Rotenberg). Sąsiednie wsie to: Nowosiółka, Chałówka, Brongalówka, Popławy i Nahajce. Wieś, w której mieszkaliśmy, miała siedzibę gminy, parafie: rzymsko-katolicką, grecko-katolicką oraz czteroklasową szkołę powszechną.

Nasi rodzice posiadali gospodarstwo rolne ośmiomorgowe. Budynki zostały wybudowane w 1928 r. w ogrodzie dziadka Marcina Kapłuna. Dom był murowany, kryty blachą z czterospadowym dachem. Była też stajnia, stodoła i wiele potrzebnych maszyn rolniczych.

Od niepamiętnych czasów żyli tu Polacy razem z Rusinami -Ukraińcami. 1/3 mieszkańców stanowili Ukraińcy, a 2/3 Polacy, było też dużo małżeństw mieszanych, ale do 1939 r. nie widać było

różnic między mieszkańcami. Był zwyczaj, że gdy Polak żenił się z Rusinką, ślub odbywał się w cerkwi. Córki z takiego małżeństwa były Ukrainkami, a synowie Polakami. Młodzi pobierali się, patrząc czy dziewczyna lub chłopak mają morgi, czy będą mieli z czego żyć, a nie jakiej są narodowości. Dopiero polityka okupantów w czasie II wojny światowej poróżniła nasze narody.

Ukraińskie podziemie spod znaku UON⁶-UPA już w 1943 r. nasiliło akcje przeciw Polakom. UPA zaczęła mordować i palić polskie wioski. Zaczęła się eksterminacja inteligencji polskiej. W Białokiernicy zaczęło się od tego, że wypędzono pod groźbą śmierci siostry zakonne, które przed wojną pracowały jako nauczycielki i wpajały patriotyzm polskim dzieciom. Udały się do zakonu macierzystego w Starej Wsi w Rzeszowskim.

W nocy było widać łuny ognia. Bez przerwy nawoływano Polaków do wyjazdu za Bug. Na budynku siedziby gminy pojawiały się napisy „Za San Lasze, bo tu nasze”. Wiosną 1944 r. Stefan Hryniak, Sweny Mordalka, Maksym i Onufry Mediach, Baganec i kilku innych Ukraińców ze Lwowa spalili Kolonię Dębickich, która znajdowała się za wsią Białokiernica. Dowiedzieliśmy się, że upowcy mordowali Polaków we wsiach: Markowa, Gniłowody, Małowody, Panowie, Horożanka, Toustobaby i wielu innych w województwie tarnopolskim. Ocaleli mieszkańcy uciekli do Podhajec i zamieszkali w pożydowskim getcie.

W biały dzień zabili Rafała Manastyrskiego, który mieszkał na Łęczówce. Pojmali go, gdy wiózł z pola zboże dla swej matki. Uprawdzili i zamordowali ks. Mariana Dżianarskiego z sąsiedniej parafii Bakierów koło Nowosiółki. W Białokiernicy banderowcy zamordowali Jana Wiernika, który mieszkał w domu Franciszka Krosnowskiego. Krosnowscy wyjechali do Starej Wsi koło Leżaj-ska, gdzie brat Franciszka był opatem w zakonie. W domu Krosnowskich, po ich wyjeździe, chciał zamieszkać miejscowy nacjonalista Włodimir Sroka, ale Wiernik nie chciał się usunąć, więc przypłacił to życiem.

Następnie banderowcy zaplanowali uprowadzenie i zamordowanie naszego stryjka Stanisława Kapłuna, ale dzięki kuzynowi Mikołajowi Demczukowi, który kazał mu natychmiast wyjechać, stryj uciekł do Starej Wsi w Rzeszowskim. Wywiózł go na saniach przykrytego słomą na stację kolejową do Podhajec jego chrzestny, Franciszek Rybiński.

Również zimą była próba porwania ks. proboszcza Józefa Szyca, ale nie powiodła się, bo młodzi Polacy i sąsiedzi podnieśli alarm i interwencja greko-katolickiego księdza ocaliła porwanego. Na drugi dzień ks. Józef Szyca udał się do Podhajec, gdzie ks. Dziekan Stanisław Papkiewicz dał mu schronienie. W 1945 r. nasz proboszcz wyjechał na Ziemię Odzyskaną i był przez długie lata proboszczem w Kamiennej Górze.

Zimą w 1945 r. zmarł dziadek Marcin Kapłun. Ks. Józef Szyca przybył z obstawą, aby dziadka pochować. Obstawę stanowili młodzi Polacy z tzw. „Istriebilnych Batalionów”. Po ceremonii pogrzebowej odwieźli księdza do Podhajec.

W początkach 1945 r. wiele rodzin polskich opuszczało swoje domy i gospodarstwa, przenosząc się do Podhajec, gdzie stacjonował garnizon Wojsk Sowieckich. Początkowo chowaliśmy się na



*Rodzice Jan i Katarzyna Kapłun
z Białokrynicy.*

noc latem w zaroślach ogrodowych, w konopiach, kukurydzy czy kartoflach. Jesienią i zimą szukaliśmy schronienia przed bandami w stodole lub stajni. Ale w końcu my też uciekliśmy do Podhajec. Zamieszkaliśmy tam w budynku bez okien i drzwi. Było zimno, po mieszkaniu hulał wiatr, więc ojciec pozabijał okna deskami, a drzwi wsta-

wił i uszczelnił matą. Mieszkał też z nami młody koń. Ogrzewaliśmy się przy piecyku. We dnie my zostawaliśmy w mieście, a ojciec jechał do domu, aby nakarmić krowy i świnie i wracał do nas wieczorem. I tak męczyliśmy się prawie dwa miesiące.

Tymczasem miejscowi banderowcy z dnia na dzień stawali się bardziej bezczelni i brutalni. Już się niczego i nikogo nie bali. W biały dzień zbierali datki na UPA nie tylko od swoich, ale i od Polaków. Pamiętam, jak przyszedł do nas Maksym Mediach i powiedział do Matki: „Ciotko, zbieramy żywność i dary dla UPA, jak chcecie przeżyć wojnę i wyjechać do Polski, to trzeba coś ofiarować”. Ojca nie było w domu. Matka przestraszyła się, wzięła z komory mąkę i krupy i w milczeniu oddała banderowcowi. Ale on zobaczył jeszcze w kącie beczkę z serem i też ją zabrał dla „rezu-

nów” spod znaku UPA. Zapytał jeszcze, czy ma kozuch lub ciepły koc, bo - powiada - w lesie wojsku jest zimno i trzeba im pomóc.

W lutym 1945 r. już po konferencji w Jałcie, gdzie Churchill i Roosevelt sprzedali nas Stalinowi, zatwierdziwszy granicę Curzona, pozbawili, nas Polaków, Kresów. Rozpoczęto przygotowania do tzw. repatriacji ludności polskiej z Podola i Kresów. Jedynym sposobem na przeżycie był wyjazd. W Białokiernicy władze ZSRR powołały Biuro Repatriacyjne, gdzie zapisywało się na wyjazd do Polski. Natomiast do wsi zaczęli przyjeżdżać i osiedlać się Ukraińcy z zachodniej strony Bugu. Nasze gospodarstwo wybrał sobie Łemko z okolic Krynicy Górskiej. Łemki z nami i między sobą rozmawiali po polsku, bo ukraińskiego dobrze nie znali. Ten, który osiadł w naszym domu, znał się na stolarce. Poprosił ojca, by zostawił mu kłoc lipowy. Ojciec nie sprzeciwiał się, podarował mu drewno,



Dom Kapłunów zbudowany w 1930 r.

pokazał mu swoje pole i życzył mu powodzenia. Po zakończeniu wojny UPA chwilowo zaprzestała napadać i mordować Polaków.

Mama zaczęła piec suchary, suszyć ser i mięso na wyjazd. Wyjechaliśmy w 1945 r. Stacja załadunkowa znajdowała się w Kozowie, bo w Podhajcach Niemcy, wycofując się, zerwali szyny kolejowe, zniszczyli stację i mosty. Do stacji w Kozowie, pow. Brzeżany

było 18 km. Na początku sierpnia ojciec zawiózł część dobytku na stację, sklecił szalas, pokrył go słomą i wstawił tam worki ze zbożem i mąką. Te drewniane budy chroniły nas przed deszczem i wiatrem, ale i tak warunki życia na stacji były bardzo ciężkie. Ja jako najstarszy pilnowałem naszego dobytku. Ojciec przywiózł z Białokiernicy swoją matkę Marię ur. w 1880 r., zabrał też swego młodszego brata Kazimierza ur. w 1924 r. i siostrę Józefę Lisiewicz ur. w 1921 r. z małym dzieckiem Szczepciem. Na trzeci dzień ojciec pojechał po naszą mamę Katarzynę z domu Mała ur. w 1909 r., siostrę Helenę z 1933 r. i brata Józia z 1934 r. Józiu opowiadał, że mama trzykrotnie mdlała, wyjeżdżając ze swego obejścia. To była prawdziwa tragedia, bo zostawiając dorobek życia zegnała też na zawsze swą matkę Apolonię, która zdecydowała, że pozostanie tam ze starszą córką Anną, która wyszła za mąż za Ukraińca Pawła Medziucha i mieli pięcioro dzieci.

Mama opowiedziała Józiowi, jak jej siostra Anna, już jako żona spokojnego Ukraińca, przyszła do nas w czasie, gdy bandy mordowały Polaków i powiedziała: „Kataryna, oddaj mi wszystko, co masz, bo ty żyć nie będziesz”. Nasza mama odpowiedziała: „Przecież mam córkę i Heli wszystko zostanie”. Mama miała żal do siostry, bo nie tylko nie doradzała jak się mają chronić przed bandami, ale jeszcze chętnie by wzięła jej dobytek.

Po blisko czterech tygodniach oczekiwania podstawiono wagony kryte i otwarte tzw. lory. Do każdego wagonu krytego ładowano cztery rodziny. Z nami w wagonie jechała babcia Maria z synem Kazimierzem, córka Józefa Lisiewicz z małym dzieckiem i czwarta rodzina Strusiów.

Cały dobytek, który pozwolono nam zabrać, to jedna krowa i jeden koń na rodzinę, kilka worków zboża, mąka, kasza, naczynia kuchenne, pościel, odzież i sprzęt rolniczy. Gotować można było tylko w czasie postoju pociągu, na ogniskach na zewnątrz. Krowy i konie jechały w oddzielnych wagonach. Wraz z bratem pilnowaliśmy ich i karmiliśmy. Natomiast maszyny rolnicze jechały na otwartych lorach.

Ze stacji Kozowa wyjechaliśmy w pierwszej dekadzie września 1945 r. Jechaliśmy przez Lwów, Drohobycz i Chodorowo. Po przekroczeniu polsko-sowieckiej granicy w Przemyślu trasa podróży wiodła przez: Krosno, Jasło, Nowy Sącz, Kraków, Katowice, Opole, Nysę, Jawornik Świdnicki (dziś Jaworzyna Śląska), Legni-

cę, Jawor i Bolków. Nasz transport był pierwszy, część repatriantów stanowili mieszkańcy Białokiernicy, a część z Podhajec. Pociąg poruszał się w ślimaczym tempie. Cała podróż trwała prawie miesiąc. Na węzłowych stacjach długo przetrzymywano nasz skład na bocznicach. Wiadomo, że w podróży nie było możliwości utrzymania należytej higieny. Zaatakowały nas wszy, które najbardziej dały się nam we znaki. W czasie jazdy i na postojach widzieliśmy jak Rosjanie transportowali na wschód bydło, konie, różne maszyny oraz jeńców wojennych. Te pociągi miały pierwszeństwo przejazdu. Gdy w końcu dotarliśmy do Bolkowa koło Jawora, powiedziano nam, że musimy wszystko wyładować, bo to koniec podróży. Po trzech dniach ludność podhajecka osiedliła się w Bolkowie, a białokierni-



Kościół.

czanie rozjechali się po okolicznych wioskach takich jak: Wierchosławice, Wolbromek, Domanów, Mysłów, Kaczorów, Lisienica, Wiatrów, Płonina, Nadgorzewice, Kwietniki, Jastrowiec i inne.

Ojciec znalazł nam dużą gospodarkę w Rochowicach Starych. Mieszkał tam jeszcze ze swoją rodziną bauer Emil Bergier. Był to wzorowy, zamożny gospodarz. W stajni było pełno krów. Miał też wiele świń, cztery konie i dużo ptactwa. Niemiec przed rekwizycją czerwonoarmistów żywy inwentarz przechował w lesie i dlatego nic mu Rosjanie nie zabrali. Tę gospodarkę przydzielił nam sołtys. Ale przed naszym przyjazdem zajął tę gospodarkę kawaler Stanisław Kuldys, wywieziony z kieleckiego na roboty do Niemiec. Zamierał tam mieszkać z rodzicami i czekał na ich przyjazd. Sytuacja

się skomplikowała. Nasi rodzice nie byli zadowoleni, bo nie chcieli mieć współnika. Po miesiącu ojciec dowiedział się, że jest wolna gospodarka w Rochowicach. Tam też był problem, bo wcześniej zajął ją pan Szyszka, ale wyjechał do centralnej Polski i długo nie wracał. Ojciec pojechał do PUR-u w Jaworze, przedstawił kartę ewakuacyjną i sprawę przydziału gospodarki załatwił pomyślnie. Po trzech miesiącach wrócił pan Szyszka, ale musiał odejść, bo nie miał aktu nadania. Nawiasem mówiąc był on fotografem, a nie rolnikiem. Ziemie Odzyskane należały się wysiedleńcom z Kresów Wschodnich, którzy tam musieli zostawić swe domy i gospodarstwa, a nie ludności z centralnej Polski, ale często było inaczej.

Gospodarka była duża, osiemnastohektarowa, stodołę miała krytą słomą. Przez rok mieszkała z nami właścicielka, stara Niemka Bieder z córką Lottą. Była to schorowana wdowa, której synowie nie wrócili z frontu. Dom był duży, pokryty dachówką, w jednej połowie mieszkały Niemki, a w drugiej my. Niemka miała tylko jedną krowę i starego konia, bo kilkanaście sztuk bydła zarekwirowali Sowieci. My przywieźliśmy krowę i klacz ze źrebakiem. Zaczęło się gospodarowanie na Dolnym Śląsku. Pole było górzyste i kamieniste, nie taki czarnoziem, jak na Podolu. W Starych Rochowicach osiedliło się też kilka rodzin z Białokiernicy. Krajanie spotykali się przed kościołem w niedziele i wspominali ciężkie czasy. Matka często po nocach płakała. Nie mogła się przyzwyczaić do nowego środowiska. Tęskniła za swoim, zbudowanym przed wojną domem, za pięknym ogrodem i kwiatami. Początkowo mówili na nas, czyli na tych, którzy przyjechali z Kresów, „Ukraińcy”. Życie w nowym miejscu i w całym regionie zaczęło się powoli stabilizować. Tu nie trzeba było ukrywać się przed banderowcami, wreszcie nocami można było spać spokojnie.

Latem w 1946 r. wysiedlono z Rachowic wszystkich Niemców. Punkt załadunkowy był w Jaworze. Niemcy z całego powiatu szli tam piechotą ciągnąc małe wózki z podręcznym bagażem. Ojciec nasz był na tyle wrażliwy na krzywdę innych, niezmiernie współczuł przesiedleńcom, że nie bacząc na protesty ormowców postanowił odwiedzić gospodynię i jej córkę do punktu zbiorczego w Jaworze. Ormowcy krzywo patrzyli na ten gest ojca, a nawet dogadywali, że za bardzo hołubi Szwabów, ale nie mogli mu tej decyzji zabronić.

Jesienią 1946 r. przybył nowy transport Polaków z Syberii. Kilkanaście rodzin trafiło do Rochowic. Trzeba ich było upchnąć po większych gospodarkach i tak trafił do nas wspólnik. Trzeba było żyć długie lata na jednym podwórku i we wspólnych zabudowaniach. Stopniowo zaczęły się niesnaski, kłótnie i podejrzenia rodzące się z byle czego. Matka ciągle z tego powodu płakała i modliła się o możliwość powrotu do rodzinnej wsi Białokiernicy.

Później, w 1950 r., powstała we wsi Spółdzielnia Produkcyjna. Gospodarzy strachem zagnali do polskiego kołchozu. Bardzo ciężko to przeżyli, bo byli dobrymi gospodarzami, a uważano ich za nieprawowiernych i dyskryminowano ich.

Rodzice potwornie się męczyli na tej spółce, gdzie wszystko było wspólne: dom, stodoła, obora i chlewnia. Na początku myśleli, że wspólnik znajdzie sobie jakąś inną gospodarkę, ale jemu było tak wygodnie i czekał, żeby rodzice się wyprowadzili. Wreszcie matka postawiła na swoim. Miała trochę pieniędzy w banku, uzgodniła z ojcem, że zdadzą gospodarkę państwu za emeryturę. Tak zrobili i kupili we wsi domek. Z wielką radością przenieśli się do niego w 1972 r. Tam przeżyli w spokoju kilkanaście lat. Zmarli w 1991 r.

Rodzice cieszyli się, że ich synowie ukończyli średnie i wyższe uczelnie, uczciwie pracowali w mieście i założyli rodziny. Jednak do końca życia tęsknili za Podolem i swoją ojcowizną, jak wielu mieszkańców Białokiernicy marzyli o powrocie na Podole, gdzie ich dziadkowie mieszkali od wieków.



Od lewej Franciszek i Józef Kapłun

Dwie noce przed ewakuacją Cieszanowa

Weronika Szabatowska 30 kwietnia 1944 r. uczestniczyła w pogrzebie tragicznie zmarłej Marii Bojarskiej, matki bardzo bliskiej koleżanki Teresy. Było to na dwa dni przed ewakuacją i spaleniem Cieszanowa.

Zmarła była żoną magistra farmacji Bolesława Bojarskiego, który w 1939 r. piastował urząd burmistrza Cieszanowa a wcześniej prowadził aptekę Łukasiewiczów, rodziców swojej żony Marii. Aresztowany przez Niemców w październiku 1939 r. wraz z Janem Kopfem, sekretarzem Urzędu Miasta oraz kierownikiem Szkoły Powszechnej w Cieszanowie Kazimierzem Kalicińskim zginął w obozie koncentracyjnym Buchenwald.

Gdy nad mogiłą zmarłej kapłan zaintonował „Salve Regina...”, uwaga obecnych na pogrzebie została zwrócona na ogromne kłęby dymu unoszące się za lasem Żarek. Scenerii tej towarzyszyły salwy strzałów karabinowych. To, co zauważyliśmy, mogło świadczyć tylko o jednym – UPA zaatakowała Freifeld (obecna nazwa tej wsi – Kowalówka), wówczas w większości zamieszkałą przez osadników niemieckich. Wielu z nich było w szeregach AK.

Pogrzeb zakończono. Młodzież, członkowie tutejszej placówki AK rozeszli się i pośpieszyli do wcześniej ustalonych miejsc zbiórek, oczywiście zabierając ze sobą posiadaną broń. Świadomość zagrożenia wzrosła, kiedy do Cieszanowa dotarli uciekinierzy z Kowalówki – Maria Lisowska z dwiema córkami, jeszcze dziećmi. Jej mąż Wilhelm został właśnie zamordowany wraz z kilkunastoma innymi mieszkańcami tej wsi. Jej opowieści o mordach i pożarze, jako pierwszego naocznego świadka, wyraźnie podgrzały i tak już napiętą atmosferę.

W tej sytuacji, w późniejszych godzinach popołudniowych doszło do nieskoordynowanej strzelaniny. Był to odruch odwetu. W tak dramatycznych sytuacjach, w czasie wojny, trudny do opanowania. Zginęło troje ludzi, dwóch Ukraińców i jeden Polak. Polak zginął wskutek nieporozumienia, zapytany po ukraińsku „chto ty?” Odpowiedział: „Ukraińiec”. Pytający był z poza Cieszanowa, nie znał Szymona Zuchowskiego i dlatego strzelił.

W tak napiętej sytuacji, kiedy groźba ataku UPA wydawała się bardzo bliska, komitet cieszanowskiej placówki AK, wydał po-

lecenie, aby ludność polska na noc gromadziła się w większe skupiska, łatwiejsze do obrony z uwagi na szczupłość sił obrońców. Tym bardziej, że w najbliższą noc, to jest z 30 kwietnia na 1 maja, mogli dysponować tylko 30 uzbrojonymi ludźmi, bo 10 wysyłano do Rudy Rużanieckiej. Ta dziesiątka następnej nocy, to jest z 1 na 2 maja, miała przyprowadzić obiecaną pomoc „Krukowi” – por. Franciszkowi Szajowskiemu – przez komitet Obwodu Tomaszowskiego, mjr Drugaka.

Zbliżał się wieczór. Lęk przed napadem sięgał zenitu. Ktoś przypomniał zarządzenie „Kruka”, aby ludność, a zwłaszcza kobiety z małymi dziećmi, schronili się w kościele. Z tej rady skorzystało wielu ludzi. Wśród nich moja mama, moja 5-letnia młodsza siostra Henryka oraz ja - 16-latką, jakoby przydzielona do pomocy mamie. Był już dość późny wieczór, kiedy w grupie weszliśmy do kościoła i tam przeżyliśmy kolejną noc z 1 na 2 maja. Te dwie noce razem z nami przetrwały w kościele żona Mazurkiewicza z Chotolubia z nieletnimi dziećmi, którzy po opuszczeniu rodzinnej wsi zagrożonej napadem UPA (stało się to po opuszczeniu Rudki i wymordowaniu jej mieszkańców) zamieszkali w naszym domu aż do ewakuacji. W kościele było ciemno, zabroniono nam używać jakiegokolwiek światła. Wolno było nam rozmawiać tylko szeptem. Wszystkie drzwi wejściowe, główne i do zakrystii zostały zamknięte i w jakiś sposób zabarykadowane. Było z nami kilku starszych mężczyzn, którzy się tym zajęli.

Nie jestem w stanie określić, ilu ludzi znalazło schronienie w naszym kościele, w czasie tych dwóch nocy przed ewakuacją Polaków z Cieszanowa. Wiem jednak, że było nas dużo. Do kościoła, aby się w nim schronić, wchodziliśmy wieczorem a wychodziliśmy o różnych porach małymi grupami, raczej w dzień. W zasadzie przez te dwie noce spały tylko małe dzieci na kolanach matek. Starsi w najlepszym przypadku drzemali. Było to podświadome czuwanie, bardzo męczące, przeplatane modlitwą o przetrwanie. Wiem, że była mała, kilkusobowa uzbrojona grupa z tutejszej placówki AK, a wśród nich Zdzisław Tomasziewicz, Łucjan Szabatowski i prawdopodobnie ktoś z ugrupowania lubaczowskiego. Oddział w tym czasie miał postój na plebanii. Później dowiedziałam się, że był też wśród nich ks. Wiktor Has-Panecki, który opuszczał miasto razem z ewakuującą się ludnością. Kapłan ten, odważny i pełen hartu ducha, dzielił trudy i przeżycia razem z innymi. Już w Rudzie

Różanieckiej, w czasie jednodniowego postoju 3 maja 1944 r. przy otwartych oknach odprawił mszę dla tłumnie zebranych tam bezdomnych uchodźców, mieszkańców Rudy Różanieckiej.

Tego dnia w godzinach popołudniowych ubezpieczeni przez akowskie oddziały, dotarliśmy do Narola, gdzie nasza rodzina została życzliwie przyjęta przez państwo Pytlińskich mieszkających w Krupcu. Jednak z gościnności tej korzystaliśmy dość krótko, bo do 18 maja 1944 r., kiedy to miejscowości Krupiec i Lipsko zostały bezpośrednio zagrożone. Wtedy decyzją władz konspiracyjnych wszyscy uchodźcy zostali przeniesieni do wiosek położonych na zachód od Narola, do miejscowości Narol Wieś, Pary i innych, uważanych za bardziej bezpieczne. Naszą rodzinę zakwaterowano w Narolu Wsi u państwa Banasiów. Tam doczekaliśmy końca tułaczki i w ostatnich dniach lipca 1944 r. wróciliśmy do Cieszanowa, a raczej do jego ruin i zgliszcz. Jak wiele innych, nasz dom i wszystkie budynki gospodarcze zostały kompletnie spalone, a pozostawione, ukryte w ziemi, mienie zostało zrabowane.

W konspiracji akowskiej nie uczestniczyłam, bo byłam za młoda. Wiedziałam, że aby znaleźć się w szeregach AK, trzeba było spełniać wiele warunków, np. trzeba było mieć ukończone 18 lat. Wiedziałam jednak, że w Cieszanowie istnieje placówka Armii Krajowej, że dzieje się tam coś tajnego. Jako podłotek pomagałam w obserwacji i akcjach alarmowych.

Mieszkaliśmy przy ul. Sobieskiego. Obok był obszerny dom mego kuzyna po mieczu Łucjana Szabatowskiego. Jako lokatorzy mieszkała tam rodzina Tomasikiewiczów. Łucjan i jego siostra Krystyna oraz Zdzisław Tomasikiewicz byli w konspiracji i należeli do tutejszej placówki AK.

W tym domu, według mojej ówczesnej wiedzy, a raczej uzasadnionych domysłów, miały miejsce tajemne spotkania. Gdy to się działo, wysyłano mnie na spacer, pouczając jak mam się zachować w różnych podejrzanych sytuacjach. Takie same zadania pełniła w Narolu Wsi córka Banasiów, Krystyna, moja rówieśnica. Dom Banasiów był miejscem spotkań lokalnych władz konspiracyjnych. Przebywali tam, oprócz komendanta narolskiej placówki, komendant V Susiedzkiego Rejonu AK, dowódcy plutonów, drużyn i inni. Odbywały się tam spotkania konspiracyjne, szkolenia, odprawy itp. W takich sytuacjach Krystyna też była wysyłana na „spacer”, a ja jej towarzyszyłam. Wysyłano nas też na dłuższe „spacery”, np. do Nazil czy Kadłubisk.

Wracając do zbrojnego ubezpieczenia naszego kościoła w czasie, gdy schroniła się w nim liczna grupa kobiet i dzieci, w dniach 30 kwietnia oraz 1 i 2 maja 1944 r., okazało się, że komendant placówki trafnie przewidział możliwość ataku UPA na kościół, bo już w nocy z 3 na 4 maja w czasie palenia Cieszanowa. Upowcy spodziewali się zastać tam ukrytych Polaków. Nie mogąc sforsować zamkniętych drzwi głównych, podłożyli pod nie kupę słomy i podpalili ją. Gdy odeszli, palącą się słomę zobaczyła przypadkowo przechodząca tamtędy kobieta z mieszanej polsko-ukraińskiej rodziny o nazwisku Turczynowska, której z trudem udało się ugasić tę słomę oraz tłąć się już drewniane drzwi. Obecnie po 60 latach, na lewej połowie drzwi kościoła u dołu można zauważyć ślady podpalenia.

Turczynowska mieszkała przy ul. Nowej, między kościołem a synagogą. W ramach akcji „Wisła” znalazła się wraz z rodziną gdzieś w woj. szczecińskim. I tak oto mamy przykład, jak jedni Ukraińcy podpalali a drudzy gasili.



Weronika i Stanisław Szabatowscy.

Spalenie Cieszanowa

Polska ludność okolicznych wiosek schroniła się w Cieszanowie ufając, że będzie tam bezpieczniejsza niż np. w Chotyłubiu, Rudce czy innych mniejszych miejscowościach. 2 maja 1944 r. w wyniku wzrostu zagrożenia atakiem UPA i nie mogąc liczyć na pomoc z zewnątrz, decyzją władz konspiracyjnych, w sposób zorganizowany opuściła Cieszanów.

Najpierw oddział z cieszanowskiej placówki AK odbił jedyną drogę ewakuacji, kontrolowaną przez UPA, a wiodącą przez wioskę Zuków. A po wystawieniu ubezpieczeń, w kierunku przewidywanego ataku sił UPA, ruszył kilkukilometrowy tabor uchodźców. Uchodźcy szli do Rudy Różanieckiej, gdzie była już silna placówka AK, a w okolicznych lasach stacjonowały oddziały tej formacji.

Następnego dnia, a raczej z 3 na 4 maja 1944 r., sotnia „Szuma” Szamańskiego pochodzącego z Lublińca, należąca do kurenia „Żeleźniaka” systematycznie ostrzeliwała pociskami zapalającymi bezbronne miasteczko. Potem te atakujące oddziały wyrosły od strony Lublińca i Gorajca. W ten sposób dokonano się pierwsze dzieło niszczenia i palenia. Rano poszczególne oddziały UPA weszły do dogorywającego miasta. Podpalali jeszcze te budynki polskie, które dotąd się nie spaliły i mordowano tych Polaków, którzy zostali przy



*Ruda Różaniecka - partyzanci z AK, maj 1944 r.
W drugim rzędzie w środku Stanisław Szabatowski.*

życiu. Było ich kilkudziesięciu – tych, którzy się nie ewakuowali, najczęściej z powodu podeszłego wieku, choroby, czy kalectwa. Była to druga, najboleśniejsza część cieszanowskiego dramatu.

W ciągu kolejnych dni dokonano grabieży mienia nieobecnych Polaków w ocalałych budynkach. Szukano wszędzie, również w ziemi, gdzie właściciele ukryli wartościowe przedmioty, których uciekający z braku miejsca na wozach nie mogli zabrać. Nie wszyscy też mieli furmanki, więc musieli swe dobra ukryć. Nie zdarzyło się, aby ktoś z Polaków po powrocie do domu w lipcu czy sierpniu 1944 r. odnalazł to, czego nie strawił ogień lub miała chronić ziemia.

Stanisław Szabatowski

Noc w Cieszanowie z 3 na 4 maja 1944r.

Romana Maciejko, z domu Szajowska, pochodzi z mieszanej polsko-ukraińskiej rodziny, jakich w Cieszanowie i okolicy było wiele. Jak zresztą na każdym etnograficznym pograniczu.

Ten fakt skłonił moich rodziców do pozostania w Cieszanowie. Nie ewakuowali się w dniu 2 maja 1944 r. uważając, że Ukraińcy z racji pochodzenia matki, obrządku greko-katolickiego, z domu Turczynowskiej, i niezaangażowanie w żadne sprawy o zabarwieniu politycznym zagwarantują im bezpieczeństwo ze strony UPA. Prócz tego rodzice obawiali się tułaczki, jaka czekała wszystkich ewakuowanych i uciekinierów.

Jednak 3 maja 1944 r. dowiedzieli się od sprzyjających im Ukraińców, że grozi im niebezpieczeństwo ze strony UPA, która nie respektuje żadnych narodowych koligacji oraz nienagannych opinii o takich mieszanych rodzinach. Dlatego moja matka ze mną i moim młodszym rodzeństwem jeszcze tego samego dnia w godzinach popołudniowych opuściła nasz dom przy ul. Mickiewicza 11 i udaliśmy się do Nowego Siola (wieś oddalona około 1 km od Cieszanowa). Tam weszliśmy do jakichś znajomych, którzy niestety odmówili przyjęcia nas tłumacząc, że nie mają miejsca dla kobiety

z trójką dzieci. Dopiero trzecia z kolei gospodyni, jakaś dalsza krewna mamy, nie odmówiła nam noclegu i czasowego pobytu. Do snu ułożyliśmy się w kuchni na podłodze. Nocny odpoczynek przerwała nam ostra strzelanina, słychać było wybuchy granatów. Widzieliśmy też z każdą chwilą rosnącą lunę nad Cieszanowem. Do rana nikt z nas już nie spał. Staliśmy na podwórku i ze łzami w oczach patrzyliśmy na morze ognia. Myśłami byliśmy tam, w naszym płonącym mieście, gdzie w środku tego rozszalałego ognia znajdował się nasz ojciec. Nie chciał z nami uciekać, nie chciał opuścić swoich zabudowań. Chciał czuwać nad nimi i pozostałym dobytkiem. Przeceenił swoje możliwości i nie docenił sił bandytów UPA. Widział jak upowcy podpalali domy, które się jeszcze nie paliły, słyszał ich rozmowy i nawoływania w języku ukraińskim. Słyszał strzały - to ginęli napotkani przez banderowców Polacy.

Godziny grozy, ognia i mordów ojciec mój przeżył w jakimś zakamarku piwnicy swego brata Wincentego, którego posesja znajdowała się po przeciwnej stronie ulicy Mickiewicza, prawie naprzeciw naszej. Razem z ojcem ukryło się tam kilkoro naszych znajomych. Byli to Katarzyna i Franciszek Pałczyńscy, Katarzyna i Antoni Pałczyńscy oraz Paulina i Janina Derlat.

4 maja 1944 r w godzinach rannych, kiedy ogień już zaczynał dogasać, udaliśmy się z mamą do Cieszanowa w poszukiwaniu ojca. Było to wielkie ryzyko, ale więzy rodzinne w takiej chwili okazały się silniejsze od zagrożenia i strachu. Odnaleźliśmy go - chyba cudem ocalał - i kilkoro innych. Był ogromnie wymęczony przez kilkugodzinne wdychanie duszącego dymu i wysoką temperaturą w pomieszczeniu, w którym się schronili.

Zanim jeszcze go odnaleźliśmy, wchodząc w ulicę Mickiewicza od strony Nowego Siola, widzieliśmy spalone szczątki Jana Wesołowskiego, który będąc obłożnie chory nie miał sił opuścić łóżka i wyjść z domu. Idąc dalej napotkaliśmy zwłoki Andrzeja Hapuna. Leżał na wznak, seria z karabinu maszynowego rozpruła mu jamę brzuszną. W pobliżu leżała jego żona Apolonia i córka Maria. Naprzeciwko Nazarko ratował swoją żonę. Kobieta już nie żyła, ale on chciał ją przywrócić do życia. Kilkadziesiąt metrów dalej leżeli zabici: Katarzyna Lisowska i Franciszek Pałczyński.

Te potworne obrazy mordów widzę jeszcze dziś. Przerażeni widokiem trupów i zgłiszcz, jakie nas otaczały, rodzice podjęli decyzję, żeby uciekać. Natychmiast uciekać, bo banderowcy mogą

powrócić. I jeszcze tego samego dnia ze skromnym ocalałym dobytkiem opuściliśmy Cieszanów, a raczej jego niedopalone resztki i szczęśliwie dotarliśmy do stacji kolejowej w Lubaczowie. Tam przez kilka dni biwakowaliśmy pod gołym niebem, oczekując na towarowy wagon kolejowy. Kiedy nam go wreszcie podstawiono, dojechaliśmy do Przeworska, a tam nasz znajomy z Cieszanowa, Szczepański, który mieszkał kiedyś przy ulicy Mickiewicza w pobliżu naszego domu, zaopiekował się nami i wyekspediował do Goliczyny, wsi w pobliżu Przeworska. W tym samym wagonie udawali się na tułaczkę ocaleli z pogromu w Cieszanowie: Jan Szajowski – poważnie chory były organista, Wincenty Ciećkiewicz, Katarzyna Gajerska – siostra zamordowanego przez Ukraińców w 1918 r. por. Gajerskiego i Maria Piotrkowska – siostra Piotra, Juliana, Ludwika, Wiktora i Katarzyny.

Na koniec wspomnę jeszcze, że pod główne drzwi naszego kościoła w Cieszanowie w te straszne dni upowcy podłożyli wiązkę słomy, podpalili ją i odeszli (widocznie odezwały się w nich jakieś religijne uczucia i nie mogli patrzeć na skutki swego czynu). Od podłożonej słomy już zaczęły palić się drewniane drzwi kościoła i w takiej chwili znalazła się w pobliżu moja ciotka Teofila Turczynowska z domu Wilhelm, mieszkająca niedaleko kościoła. Odrzuciła palącą się słomę i ugasiła ogień na drzwiach. Niech to wspomnienie o niej będzie nagrodą za jej czyn.

Okrucieństwo wojennego dzieciństwa

Złoczów. Miasto powiatowe, jakich wiele na Kresach Wschodnich, liczące przed wojną około 17 tys. mieszkańców, leżące dokładnie pośrodku na trasie między Lwowem a Tarnopolem. W tym mieście w 1932 roku przyszedł na świat Bolesław Miklaszewski. Był najmłodszym potomkiem siedmioosobowej rodziny (babka, rodzice i troje rodzeństwa).

Rodzina moja nie należała do najzamożniejszych, ale też nie była uboga, gdyż ojciec będąc zawodowym wojskowym (ogniomistrz 12 Pułku Artylerii Lekkiej) zarabiał na tyle dobrze, by móc spokojnie utrzymać rodzinę. Pamiętam wyprawy z ojcem do miasta.

Zawsze miał w kieszeniach drobne pieniądze na słodycze. Kiedy przechodziliśmy obok cukierni, ja mogłem bez pytania sięgnąć do kiszeni ojca po pieniądze i kupić sobie jakieś łakocie.



*Bolesław Mikłaszewski z matką
Katarzyną, 1938 r.*

Dzieciństwem mogłem się cieszyć jednak tylko do 7 roku życia. Cieszyło mnie, że zostałem zapisany do szkoły. Radość z faktu bycia uczniem nie wynikała jedynie z chęci pobierania nauk. W naszym domu była tradycja, że dzieci chodzące do szkoły miały otwierany w pobliskim sklepie tzw. „kredyt na książkę,” to znaczy idąc do szkoły mogły się po drodze zaopatrzyć w smakołyki (cukierki, czekoladki, pączki). Niestety, moje oczekiwania na „dorosłego ucznia,” pękły jak bańka mydlana.

Wojna! Słowo to niewiele mi wtedy mówiło, lecz widząc niepokój i strach w oczach dorosłych czułem, że nie wróży to niczego dobrego. Ojciec wraz z jednostką poszedł na front, a w domu zapanał ponury nastrój wyczekiwania i uganiania się za wiktuałami, które to nagle zaczęły znikać ze sklepów.

Kiedy 17 września 1939 r. Sowieci napadli na nasz kraj i zadali Polsce cios w plecy, resztki niedobitków polskich jednostek, nie chcąc dostać się do niewoli, szukały różnych dróg ucieczki. Jedni zdążyli w kierunku Zaleszczyk, by udać się do Rumunii, inni przez wzgląd na rodziny starali się przedostać do swych domów. Do tych ostatnich należał mój ojciec, który w cywilnych łachmanach, po kilkunastodniowej tułaczce przybył do domu, ku ucieście całej rodziny.

Z okupacji sowieckiej pamiętam tyle, że chodziliśmy z dzieciństwem przez dwa lata do szkoły z rosyjskim systemem nauczania. W domu zaczęło być bardzo ubogo, gdyż ojciec początkowo się ukrywał, a następnie podejmował się różnych prac pokątnych, by po roku zatrudnić się w Spółdzielni Wielobranżowej jako buchalter. Matka, chcąc pomóc w utrzymaniu domu, szyła bieliznę w jakiejś państwowej szwalni. Tak minęły dwa lata pod rządami Sowietów, aż przyszło najgorsze.

W niedzielę 21 czerwca 1941 roku rozpoczęła się wojna sowiecko-niemiecka. Była noc z niedzieli na poniedziałek 22 czerwca, o godzinie drugiej wtargnęli do naszego mieszkania enkawudziści, jeden cywil i dwóch mundurowych. Kazali się ojcu natychmiast ubierać, bo jak mówili, Armia Radziecka potrzebuje ludzi do prac fortyfikacyjnych (ze względu na stan wojny). Matce powiedzieli, gdzie będzie można ojcu dostarczyć jedzenie lub ubranie. Oświadczyli, że wszyscy internowani będą zakwaterowani w Szkole nr 2. Jakież było zdziwienie mojej matki, gdy nazajutrz spotkała liczną grupę kobiet, dopytujących się o swoich bliskich aresztowanych nocą. Dalsze poszukiwania, dopytywania i zasięgania języka (nawet na milicji) nie dały żadnych rezultatów. Milicja twierdziła, że o niczym nie wie.

Tajemnica Sowietów jednak długo się nie utrzymała, gdyż dobry znajomy dorożkarz w wielkiej tajemnicy (pod przysięgą, że nikt się nie dowie, bo czekałaby go kula w łeb) powiedział matce, że owej feralnej nocy on i inni byli zatrudnieni do przewożenia aresztowanych na Zamek Sobieskiego w Złoczowie. Oczywiście wstęp na zamek, a nawet w jego pobliże był surowo przez Sowietów zakazany i chroniony silnymi posterunkami.

W niepewności trwaliśmy aż do 10 lipca, kiedy doszły do nas bezpośrednie działania frontowe i po kilku godzinach znaleźliśmy się pod okupacją niemiecką. Niebawem, gdzieś około 15 lipca, gruchnęła wieść, że Niemcy odkryli u podnóża zamku świeże mogiły.

Zebrali znaczną liczbę Żydów do odkopania mogił. Wyjmowali i układali szeregami na dziedzińcu zamkowym ciała pomordowanych ludzi. Następnie podano do publicznej wiadomości, by w przeciągu jednego dnia (z uwagi na rozkładanie się zwłok oraz groźbę epidemii) zainteresowani próbowali rozpoznać i odnaleźć swoich bliskich.

Poszliśmy wszyscy na Zamek Sobieskiego, lecz na dziedziniec pierwsza weszła moja matka. Po niedługim czasie wyszła, a raczej wybiegła z przerażeniem w oczach, zapłakana, targana torsjami, nie była w stanie odnaleźć zwłok ojca. W tej sytuacji tliła się jeszcze isierka nadziei, że jeszcze może...

Następnie na poszukiwania wybrała się babka, matka ojca. Babka zażyła tabletkę, uważała, że to pozwoli jej wytrzymać dłużej w tym strasliwym odorze, jaki unosił się z rozkładających się ciał.

I stało się! Poszła babka, a wrócił cień babki, niosący w ręku but swego syna, a naszego ojca. Pierwszy raz wtedy zobaczyliśmy, jak człowiek w przeciągu kwadransa może się nagle zestarzeć o kilka-



*Babka
Katarzyna Miklaszewska*

dziesiąt lat. Babka w tym czasie miała 66 lat (ojciec 42 lata), a zobaczyliśmy niemal stuletnią, zgarbioną, siwą i załamaną staruszkę. Przez jakiś czas nie była w stanie wydobyć z siebie głosu, a gdy już nieco doszła do siebie, powiedziała: „Chodźcie dzieci, pożegnacie swego męża i ojca, a tego, co zobaczycie do końca życia nie wymażecie z pamięci. Takiej zbrodni mogły dokonać tylko bestie z piekła rodem.” Mama i babka kazały nam pozatykać sobie prowizorycznymi maseczkami usta i nosy, by móc wytrzymać straszliwy smród. Weszliśmy, jak można było najszybciej, bo długo tam nikt nie mógł wytrzymać. Wystarczył krótki rzut oka na te straszliwie zmasakrowane ciała, by poznać potworność tej zbrodni, jaka tam została dokonana. To, co zobaczyliśmy, pozostało w nas i naszej pamięci na zawsze. Ojciec miał wydłubane oczy, obcięty język, wybite wszystkie zęby, jedną nogę połamaną (druga noga była cała, stąd tylko jeden but), palce u rąk powyłamywane, a ten na której nosił obręczkę – odcięto, całe ciało było w ciemnych ropiejących plamach, gdyż przy wrzucaniu ludzi (jeszcze żywych)



Zamek w Złoczowie



Złoczów, odkopane zmasakrowane ciała Polaków.



do mogiły polewano ciała kwasem solnym. Dalej nie jestem w stanie odtwarzać z pamięci tego, co widziałem, bo na wpółprzytomnego wyniesiono mnie i siostrę poza obręb makabrycznego dziedzińca. Starsi bracia wytrzymali tam dłużej.

W późniejszych latach, z opowiadań różnych osób dowiedziałem się, że tych morderstw dokonywano (ze względu na pośpiech) metodą taśmową. W jednej celi wydłubywano oczy, w następnej wrywano języki, dalej łamano kończyny, a następnie wleczono ledwie żywych do dołu, wrzucano i polewano kwasem solnym.

Historia – wydawałoby się – nie do uwierzenia. Niestety, potwierdza się ustami przewodnika, który oprowadzając nas po Zam-

ku Sobieskiego w Złoczowie, już w obecnym czasie niezależnego państwa ukraińskiego, opowiadał historię tej okrutnej zbrodni, przedstawiając dokumenty, zdjęcia, rejestry pomordowanych, dokładne miejsca tych „gabinetów taśmowej zbrodni.”



Przejście z jednej okupacji do drugiej odbyło się bardzo szybko. Wojska niemieckie parły do przodu, a sowieckie wiały do tyłu. Początkowo Niemcy nie podejmowali żadnych ostrzejszych represji w stosunku do ludności cywilnej z wyjątkiem Żydów, później natomiast rekwirowali wszystko, co nadawało się do jedzenia dla swojego wojska. Z każdym dniem, tygodniem czy miesiącem widmo głodu było coraz bliższe. Decydujący o przeżyciu czas największego głodu, przypadł na okres przednówka 1942 roku. W tym czasie ludzie rozchodzili się po wsiach, by za każdą cenę (biżuteria, złoto, futra) kupić fasolę, kaszę czy ziemniaki. Doszło niebawem do tego, że i oni nie mieli się czym dzielić.

Z utęsknieniem wypatrywaliśmy pierwszych zwiastunów wiosny, by móc zbierać lebiodę, mlecz czy pokrzywy. Mieliśmy oczywiście kartki żywnościowe, ale na każdy artykuł (chleb, tłuszcz, kasza, cukier) sklepy oferowały jedynie melasę cukrową. Może ta melasa faktycznie uchroniła nas od śmierci głodowej, ale jedno wiem na pewno – nigdy potem nie wziąłem tego „smakołyka” do ust.

Z chwilą gdy na polach i w ogrodach zaczęły pojawiać się warzywa, ziemniaki i owoce sytuacja się zmieniła na tyle, że nie chodziliśmy już tak wyголоzeni. Jeśli chodzi o naukę, to początkowo Niemcy pozostawili Polakom jedną szkołę, do której chodziliśmy na dwie zmiany, potem co drugi dzień, a później wcale. Pamiętam, że jeszcze pod koniec okupacji niemieckiej chodziłem do mieszkań nauczycieli, którzy zadawali nam zadania, by resztę nauczyć się w domu. Mimo takich utrudnień, w czasie trzyletniej okupacji niemieckiej udało mi się zrobić dwie klasy – trzecią i czwartą.

Moi bracia nie mieli tyle szczęścia, bo w 1943 r. zostali wywiezieni do Niemiec na przymusowe roboty. Niestety, nie było nam dane ich więcej zobaczyć. Gdy zachodni alianci wkroczyli na tereny niemieckie, moi bracia uciekli na zachód, przedostali się do Anglii, tam wstąpili do wojska. Po wojnie, po odbyciu służby wojskowej zamieszkali tam na stałe. Wiedzieli, jak traktowani są w kraju ci, którzy odważyli się powrócić, więc nie zaryzykowali. Żelazna kurtyna na całe dziesięciolecie rozdzieliła nas, pozostawiając tylko możliwość kontaktów korespondencyjnych i to dopiero w późniejszym odwilżowym okresie. Zanim jednak sytuacja polityczna zmieniła się na tyle, że granice przestały być barierą nie do przejścia, było już za późno na spotkanie z rodziną. Pozostało mi jedynie odbyć podróż do Anglii, by pomodlić się na grobach moich braci i poznać bliżej moich bratanków mieszkających w tym kraju.

Wróćmy jednak na Kresy. Latem w 1944 roku armia niemiecka - jak wiadomo - dostawała ciężkie lanie i w popłochu wycofywała się na zachód. Przed zbliżającym się frontem każda ofensywa poprzedzana była silnymi nalotami bombowymi. Oczywiście ta sytuacja nie ominęła i mojej rodziny. Nasz dom w czasie bombardowania zmienił się w stertę gruzów. Szczęściem było to, że przed nalotem uciekliśmy do schronu i w ten sposób uratowaliśmy życie. Wszystko co mieliśmy zostało pod gruzami – cały dobytek, a raczej jego już skromne pozostałości. Zostaliśmy w tym, co mieliśmy na sobie. Ludzie w tym nieszczęściu nawzajem się wspierali, pomagali nam, jak mogli, choć ich samych nie na wiele było stać. Przygarnęła nas znajoma, która owdowiała podczas wojny, dała nam dach nad głową. Zamieszkaliśmy w jednym pokoju z ustawionym w kącie żelaznym piecykiem. Trzeba było wszystko zaczynać od początku.

Druga okupacja sowiecka zwana szumnie „wyzwoleniem” zaczęła się u nas w rodzinie tym, że matka podjęła jakąś pracę w han-

dlu, a mnie i siostrę zapisała do szkoły. Pamiętam, że mieliśmy bezwzględny zakaz mówienia czegokolwiek na temat śmierci naszego ojca, pod groźbą represji władz sowieckich. Nawet przed wywózką repatriacyjną, żaden urząd nie był w stanie wydać nam stosownego dokumentu o zgonie. Dopiero proboszcz w naszej parafii zgodził się napisać coś w rodzaju aktu zgonu. W zaświadczeniu napisał, że powodem śmierci było „zaginięcie w czasie działań wojennych”. Prawdy nie mógł napisać w obawie o własne bezpieczeństwo.

Kończąc te smutne wspomnienia, podzielę się jeszcze małą refleksją, będącą jakby aktem kończącym nasz pobyt na ziemi, do której już nigdy nie było nam dane powrócić.

Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia 1944 roku, zima była w pełni, a mnie i siostrze zamarzyła się choinka. Nie ważne było, że w domu było głodno i chłodno – ważna była choinka. O samą jodełkę nie było trudno, ale co dalej? Wszystko zostało pod gruzami naszego zbombardowanego domu. Zaczęliśmy kombinować. Zrobiliśmy łańcuszki z papieru, śnieżynki z waty, zdobyliśmy jabłko, kilka orzeszków. Kiedy ubraliśmy w to choinkę, ukazał się nam obraz nędzy i rozpaczy. Po prostu szczerze się rozpłakaliśmy. Wtedy babka, nie mówiąc nikomu, wyszła z domu i po jakimś czasie wróciła z paczuszką pod pachą – przyniosła choinkowe ozdoby. Sprawiała nam dzieciom wielką radość i prawdziwe święta. Okazało się, że miała dobre znajomości wśród wyznawców prawosławia, którzy obchodzili święta sześć tygodni później i mogli pożyczyć ozdoby na nasz świąteczny czas. Do dziś nie pamiętam, żebym kiedykolwiek tak głośno i radośnie kolędował pod choinką, jak w ów wigilijny wieczór 1944 roku.

Potem nadszedł koniec wojny i radość mieszała się ze łzami. Była to radość z końca działań frontowych, nalotów i bombardowań. Były również łzy i smutek, gdy dotarło do nas, że już nigdy Polska w te nasze strony nie wróci. Kiedy dowiedzieliśmy się o przesiedlaniu na Ziemie Odzyskane, uświadomiliśmy sobie, że po tylu cierpieniach i przeżyciach wojennych czeka nas jeszcze tułaczka w poszukiwaniu swojej Ojczyzny.

Dzień 14 września 1945 roku był naszym ostatnim dniem pobytu w Złoczowie. Ze wzruszeniem i łzami w oczach żegnaliśmy mogiłę, w której spoczywał ojciec, stertę gruzów – pozostałość z naszego domu, ogród i sad z lejami po bombach oraz wszystkie komysze i zakamarki, które jako dziecko znałem, jak swoją kie-

szeń. Podstawiony wagon towarowy typu odkryta węglarka, przeznaczony był dla czterech rodzin. Tak słóczeni, bez dachu nad głową, narażeni na deszcz, chłody i wiatry jechaliśmy trzy tygodnie na Ziemię Zachodnie, by w końcu dotrzeć do celu, czyli do Stargardu Szczecińskiego. Tam Państwowy Urząd Repatriacyjny rozlokował przybyszy, przydzielając mieszkania po opuszczającym miasto wojsku radzieckim. W jakim stanie były te mieszkania, nie będę opisywał, bo to zupełnie inny temat.

Tak zaczęło się moje nowe życie – trzynastoletniego wówczas chłopca, który po tych wojennych przejściach stał się nad wiek dojrzałym człowiekiem.

Niepewny wojenny los

Jan Sitnik urodził się 30 października 1929 r. w Kosowie Huculskim w woj. stanisławowskim, jako trzecie dziecko Magdaleny i Józefa Sitników. Miał dwie siostry – Emilię i Marię. Mieszkał na obrzeżach miasta przy ul. Rożnowskiej 74. Dom był kryty blachą, przebudowany w 1938 r.

Rodzice mieli małe gospodarstwo, ojciec zajmował się wyprawianiem skór i kuśnierstwem, najstarsza siostra po ukończeniu szkoły jakiś czas wyrabiała kilimy, a później zarabiała szyciem.

Kosów Halicki, miasto powiatowe, w 1939 r. liczył 11 tys. mieszkańców kilku nacji. Byli Ukraińcy, Polacy, Żydzi, Ormianie, Niemcy i Rumuni. Kosów leżał 300 km od Lwowa, 35 km od Kołomyi i 9 km od Kut. Bardzo malowniczo położony, nad rzeką wśród gór i lasów. Hotele, wiele pensjonatów i zajazdów przyjmowało licznych turystów i letników. W mieście była parafia, kościół gotycki ufundowany przez Tadeusza Dzieduszyckiego. Dawniej był w mieście zamek, materiał z ruin zamku wykorzystano do zbudowania w rynku szkoły, a fosa zamkowa stała się w 1943 r. masowym grobem dla 2.500 Żydów zamordowanych tam przez Gestapo.

W Kosowie była cerkiew i synagoga, Sąd Grodzki, szkoły powszechne i gimnazjalne (w tym gimnazjum żydowskie), był szpital powiatowy, okazały Dom Ludowy. Ukraińcy mieli swój Naridnyj Dim. Siedem dni w tygodniu działało kino, był basen kąpielowy

i kawiarnie z danciem w soboty i niedziele. Działało Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży, ZHP oraz Klub Sportowy Strzelec.

Miasto miało elektrownię, która po odkryciu w okolicy gazu ziemnego była napędzana turbinami parowymi. W pobliskiej wsi Apolinary Tarnowski zbudował słynny przed wojną zakład leczniczy, do którego zjeżdżały się znakomitości życia artystycznego i politycznego np.: Osterwa, Rydel, Korfanty, Dmowski, Mikołajczyk i inni. Mieszkał tam i tworzył wielki artysta ukraiński malarz, garncarz i kaflarz Aleksander Bachmiński oraz legionista i przyjaciel Piłsudskiego Wasyl Dewdiuk, założyciel szkoły rzeźbiarskiej.

Handel w mieście zdominowany był przez Żydów, którzy byli bezkonkurencyjni, gdyż straty z nadmiernie obniżonych cen pokrywała im Gmina Żydowska. W mieście była też „Skladnica Polska” i ukraińska „Tarhiwla”.



Dom rodziny Simików w Kosowie. 04. 07. 1968 r.

Nastał rok 1939. Wychowywano nas na patriotów, wierzyłem w szczytne hasła „Silni, zwarc i gotowi” oraz „Pięknie jest zginąć w Ojczyzny obronie”. Rodzice byli jednak innego zdania. Mama załamywała ręce mówiąc: „Po 20 latach znów wojna i znów zginie wielu młodych ludzi.” Gdy ogłoszono mobilizację o. Benedykt z dziewczętami KSM zorganizował akademię pożegnalną dla odchodzących do wojska. Nauki nie było, a radio nadawało coraz to gorsze komunikaty.

Wojna. Niemiecki samolot zrzucił na peryferiach miasta pięć bomb i zginęły dwie osoby. Gdzieś w połowie miesiąca przez Kosów w kierunku na Kutry i do Rumunii zaczęła się przewalać fala uciekinierów. Początkowo sznur samochodów prywatnych, później wojsko. Na dwa dni zatrzymał się w naszym mieście Rydz Śmigły ze swym sztabem.

W połowie października do Kosowa wkroczyły wojska Armii Czerwonej. Żołnierze w postrzępionych szynelach, lichych butach i z karabinami na sznurkach. Z podwodami ciągniętymi przez konie. Masa kawalerii i piechoty, armaty i ciągniki na gąsienicach. W naszym domu zakwaterowano dziesięciu żołnierzy, a w ogrodzie ustawiono kuchnię polowe. W sadzie leżały zerwane jabłka, których mieliśmy nadmiar. Ojciec zaproponował, by je zużyli. Powiedzieli, że mają wszystko, czego trzeba, ale powoli jabłka znikały. Posiłki dostawali dwa razy dziennie, o godz. 10.00 i 16.00. Pobudkę mieli o godz. 4.00, a spać szli o 20.00.

Władze rosyjskie wprowadziły nowe podatki. Katolicy uratowali kościół przed zamknięciem, płacąc wysokie podatki. Turyści i letnicy przestali przyjeżdżać. Zaczęła się bieda, ludzie zaczęli się wyprzedawać. W sklepach było brak wszystkiego prócz zapalek, chałwy, cukierków, perfum. Po chleb, cukier i mąkę stały tłumy głodnych ludzi. Sklepy wprowadziły sprzedaż wiązaną. Kupując cukier na kartki trzeba było też kupić chałwę albo dwa śledzie. Wszystko upaństwowiono, również lasy, więc zabrakło drewna na opał. Właściciele lasów teraz podkradali chrust, a gdy ich złapano płacili duże kary. Zima w 1939 r. była ostra, było po 30-40 stopni mrozu. Nauki w szkołach nie zawieszono. W szkole było zimno, choć piec był gorący. Można też było kupić gorącą herbatę. Początkowo uczyliśmy się po polsku. Później dokonano podziału na klasy ukraińskie i polskie. Kiedyś wracaliśmy ze szkoły i jeden z naszych ukraińskich kolegów – Lepkaluk doskoczył do Bronka Kaszyńskiego ze słowami „no i co ty, polska świnió, twoja Polska poszła do wychodka” i zaczął go bić.

Ponieważ poziom nauczania u Sowieków był wyższy niż w Polsce, wszystkich cofnięto o jedną klasę niżej. Nie chciałem się uczyć historii Rosji, za co kiedyś zostawiono mnie po lekcjach. Nauczycielka coś pisała, a ja patrzyłem w okno. Zapytała mnie, czemu nie czytam. Powiedziałem, że nie chcę się uczyć o Rosji. Wtedy zaproponowała, że jak mnie zapyta, to mam jej podać zeszyt otwarty na lekcji, z której mogę odpowiadać, a ona mnie z tego zapyta.

Ludzie uciekali do Rumunii. Zrobił tak też nasz znajomy, emerytowany policjant, bo groziła mu wywózka na Sybir. Zamieszkał w Anglii. W 1964 r. zaprosił do siebie mego ojca i opowiedział, że w Kutach mieszkał niejaki Piskozub. Przeprowadzał ludzi za pieniądze przez granicę, którą tam stanowiła rzeka Czeremosz. Rosjanie na niego polowali, ale nie dał się złapać. Jego i innych przeprowadził oficer NKWD, który był w zмовie z ich prywatnym przewodnikiem.

Na przełomie 1940 i 1941 r. starszą siostrę Emilię kilkakrotnie na dwie doby zatrzymywało NKWD za przynależność do KSM (Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży) i pytało, gdzie stowarzyszenie ukryło broń.

Wiosną 1941 r. Żyd z sąsiedztwa uprzedził ojca, że jest na liście do deportacji. Rodzice przygotowali odzież, żywność i tak żyliśmy na paczkach w oczekiwaniu, że przyjdą w nocy i usłyszymy „sobiraj sia”. Na szczęście nie zdążyli, transport był wyznaczony na 26 czerwca, a Niemcy uderzyli 21 czerwca, co zmusiło Ruskich do ucieczki.

Przez cały czas pierwszej okupacji sowieckiej Ruscy agitowali, by wstępować do kolchozów. Dwa lub trzy razy w tygodniu zwoływali wiece trwające od godz. 21.00 do późna w nocy. Kiedyś prowadzący opowiadał, że przed wojną polscy panowie pozwalali chłopu zabić świnie tylko za ich wiedzą i jeszcze zabierali co lepsze części sobie. Wówczas wstał chłop ukraiński i zaprzeczył. Wtedy prowadzący zebranie zarządził przerwę, tego śmiałka wyprowadzono i już nikt go więcej nie widział.

W 1940 r. przeprowadzono w wojenkomacie⁵ rejestrację mężczyzn. Ojciec był chory na tarczycę, więc nie został powołany.

W 1941 r. aresztowano kilkunastu młodych ludzi, Ukraińców i Polaków, w tym mego kuzyna Franka, których Sowietci podejrzewali o przynależność do UON⁶. Trzymano ich w nieludzkich warunkach w więzieniu w Stanisławowie, a nocami przesłuchiowano. Wrywano im włosy i paznokcie. Gdy już nadchodzili Niemcy, część więźniów rozstrzelano pod lasem. Podczas wywożenia nocą na rozwałkę, kuzynowi i jego koledze udało się uciec. W więzieniu po odejściu Ruskich odkryto, że dwie cele w piwnicy, gdzie mordowano więźniów, pełne były zakrzepłej krwi na podłodze i ścianach, a w ścianach wiele śladów po kulach.

Uciekinierzy w dziesięć dni przebyli 96 km, drogę z więzienia do domu w Kosowie. Po sześciu miesiącach aresztu kuzyn wrócił, będąc wrakiem człowieka i nigdy już nie wrócił do poprzedniej formy.

Środkiem przymusu by wstąpić do kolchozu były podatki. 20 czerwca 1941 r. wiec zakończył się szybko. O godz. 22.00 ojciec wrócił, a zaraz za nim do domu weszła Trójka z SIL – rady gminy dają do wyboru podpisanie listy do kolchozu z podatkiem 30 rubli lub rezygnację z podatkiem 300 rubli. Pieniądzy nie było – ojciec podpisał, że wstępuje. Następnego dnia o godz. 4.00 rano sąsiad Żyd Mendel Finder zbudził nas i oznajmił, że Ruscy uciekają, a o godz. 10.00 Ruscy wysadzili piękny nowy most Solinarny.

Nikt z nas nic nie wiedział o sytuacji politycznej, bo Ruscy trzymali to w tajemnicy. Radia nam skonfiskowano, a w gazetach pisano tylko o sukcesach. Niektórzy Rosjanie mówili: „W naszej „Prawdzie” nie ma wiadomości, a w „Wiadomościach” nie ma prawdy”.

Nieoczekiwanie do miasta wkroczyło wojsko węgierskie, które do Polaków odnosiło się bardzo dobrze, a Ukraińców traktowało prawie jak Żydów. Niestety, pod koniec sierpnia wycofało się na Ruś Zakarpacką, a po dwóch tygodniach weszli Niemcy. Przez Ukraińców zostali przywitani bardzo serdecznie, ale zlekceważyli to i wygnali oczekujący ich przez siedem godzin wyfraczony komitet powitalny oraz cały tłum Ukraińców. Nastaly rządy niemieckie.

Nie wolno nam było przed wywiązaniem się z tzw. kontyngentów niczego sprzedawać. Zwierzęta hodowlane zakolczykowano. Urzędy objęli Ukraińcy. Utworzono urzędy pracy zwane „Arbejtsantami”, powołano Ukraińców do policji, wprowadzono godzinę policyjną od 22.00 do 6.00 i nakazano zaciemnianie okien. Początkowo było brak jakiejkolwiek waluty. Ukraińcy wprowadzili swoje hrywny. Wkrótce jednak Niemcy wycofali je i wprowadzili złotówkę. Otwarto szkoły, oddzielnie dla Polaków i Ukraińców.

Zaczęło się prześladowanie Żydów, a udzielającym im pomocy groziła kara śmierci. Mimo to pomagano w największej dyskrekcji. Wzmagala się też wrogość Ukraińców do Polaków. Ukraińscy urzędnicy zadecydowali, którzy Polacy zostaną zesłani na przymusowe roboty do Rzeszy. Najstarsza siostra Emilia, mimo choroby oczu, została wywieziona wraz z innymi do pracy w Niemczech. Drugiej siostrze Marii cudem udało się tego losu uniknąć. Dzięki bezinteresownej pomocy nieznanego Ukraińca.

Dostaliśmy kartki na cukier, masło, sztuczny miód, buty na drewnianych spodach i wódkę. Ojciec czasem po kryjomu szył kożuchy, bo potrzebne były pieniądze, ale Ukraińcy musieli donieść, bo jak byłem w domu sam przyszło dwóch Niemców i przeszukali cały dom od piwnicy aż po strych. Szczęśliwie nie znaleźli ukrytych w bambetlu (rodzaj składanego łóżka) skór.

Na początku kwietnia 1942 r. Komando Gestapo ogłosiło, że wszyscy Żydzi mają się zebrać w budynku byłego sądu. Policja ukraińska oraz cywile wyciągali ich z domów, spędzali, bijąc kijami. Część Żydów się ukryła. Tego wieczora złapano kilku mężczyzn, w tym naszego sąsiada Kazimierza Wołoszczuka, którzy musieli wykopać dół w fosie dawnego zamku. Przyprowadzano tam Żydów i rozstrzeliwano, a tych kilkunastu mężczyzn układało ich warstwami, chodząc po ciałach jeszcze żyjących ludzi. Żyjący łapali ich za nogi, więc podciągano rannych bliżej brzegu tej mogiły. Kazimierz po powrocie do domu był bliski obłędu.

Żydów prowadzono na miejsce kaźni po stu. Wracając ze szkoły widziałem wśród innych mojego kolegę Imka Hazelmana, który pomachał mi ręką. Ci Żydzi, którzy ocalili wrócili do domów, ale później zabrano ich do getta w Kosowie i Kołomyi. Inni się błąkali po okolicy. Nasz sąsiad Mendel Finder idąc do getta zostawił u nas na przechowanie swój dobytek, który ze spisem w ręku zabrali Niemcy poinformowani dokładnie przez niechętnego go szwagra. A sąsiad już nigdy nie wrócił. Getta w obu miastach zlikwidowano w 1943 r., zabijając Żydów.

W święta Bożego Narodzenia, ze względu na godzinę policyjną, pasterka odbywała się o godz. 18.00. W 1943 r. po pastercie poszliśmy kolędować z kolegami i księdzem Wołoszczukiem, rezydentem w parafii. Obeszliśmy najbliższe domy i koło 21.30 ksiądz nam kazał wracać do domu, żeby policja ukraińska nas nie złapała i odszedł. Ale nam nie chciało się wracać. Poszliśmy pod budynek żandarmerii niemieckiej prosić o zezwolenie na dalszą kolędę. Widać było światelko, więc zamiast pukać, zaśpiewaliśmy kolędy. Z pobliskiego budynku ukraińskiej policji wyszli policjanci i popatrzyli na nas. Wreszcie wyszedł do nas żandarm Hucz (poznaniak znający język polski) i komendant, a za nimi dwóch żandarmów z automatami gotowymi do strzału. Prośba o pozwolenie na kontynuowanie tradycji kolędowania zyskała aprobatę, Niemcy zawiadomili o tym Ukraińców i kolędowaliśmy bezpiecznie do 4.00 rano. Tylko rodzice martwili się, nie wiedząc, co się ze mną dzieje.

W 1943 r. zaczęły dochodzić do nas wieści z Podola o napadach i mordowaniu ludzi tylko za to, że są Polakami. W mojej klasie było dwóch braci Harwartów. Mieszkali oni w Kosowie na stacji a ich rodzice i starszy brat w Ieśniczówce. Ten brat kiedyś przyjechał po chłopców, bo Ukraińcy zamordowali rodziców, gdy jego nie było w domu. Wyjechali do jakiejś rodziny.

Jesienią 1942 r. Niemcy utworzyli dywizję SS Haliczan (Galicja) z ukraińskich ochotników. Ta dywizja „wslawiła się” szczególnie w czasie Powstania Warszawskiego, mordując ludność dzielnicy Wola. Byli to Ukraińcy spod znaku „Tryzuba”⁷. W okrucieństwie prześcignęli nawet Niemców z SS. Wielu z nich osiadło po wojnie w Polsce, podając się za Polaków. Wielu wyjechało do Ameryki, Kanady i Australii, na dokumentach nieżyjących Polaków. Znam dwóch rodzonych braci Ukraińców. Jeden mieszka na Ukrainie jako Fedorenko, a drugi w Polsce jako Sawicki. Ci żyjący w Polsce współpracowali z UB. Fokszej z Kosowa, ochotnik SS Haliczyn po wojnie został kierownikiem PGR-u na Mazurach. Spotkał go tam mój kuzyn Leon Tarnowski, zgłosił informację władzom, ale nie zareagowały na wiadomość o jego haniebniej przeszłości.

W 1943 r. został zamordowany w Pustyniu ksiądz Józef Grzesiowski. W sierpniu Niemcy odeszli z Kosowa. Od tego czasu urwała się korespondencja z siostrą Emilią przebywającą na robotach w Rzeszy, koło Wałbrzycha. Dochodziły do nas wieści, że Niemcy skrócili front, który zbliżył się do dawnych granic Polski. Pod koniec sierpnia przez Kosów przejechał batalion wojsk niemieckich. Z braku benzyny porzucili w mieście pojazdy.

Przyszła zima. Święta Bożego Narodzenia, Nowy Rok i Trzech Króli przeszły spokojnie, ale pod koniec marca 1944 r. kuzynka Helena Wołoszczuk powiedziała nam, że wie od znajomego Ukraińca, iż tej nocy będą mordować i żeby nie spać w domu. Ojciec nie dowierzał, ale kazał nam spać w ubraniach, a sam z mamą dyżuował. Noc minęła spokojnie, ale kuzynka ostrzeżenie powtórzyła. Ojciec się zdenerwował, powiedział, że jest niewyspany i położyliśmy się do snu jak zwykle. Rano w czasie śniadania, przyszedł kuzyn Władysław Sakowski i pyta, gdzie byliśmy w nocy.

- W domu, a co się stało?

- Nic nie wiecie?

Opowiedział, kogo zabili. W tym dwóch braci mojej mamy, Hordeków. Oslupieliliśmy. Gdy kuzyn wyszedł, ojciec ubrał się i bez

słowa poszedł do Hordeków, którzy mieszkali najbliżej. Widział dymiące zgliszcza dwóch domów sędziego Hempla. W domu Hordeków zobaczył żonę Ewelinę i trzy ich córki leżące na podłodze porąbane siekierami. Jedna jeszcze żyła, ale po kilku dniach zmarła w szpitalu nie odzyskawszy przytomności.

Tej nocy zamordowano 76 osób. Z tej rzezi uratował się mój młodszy kolega Zdzisław Finik, który - choć cztery razy pchnięty sztyltem - przeżył, a cała jego rodzina zginęła. Mordercy rabowali domy, a potem je podpalali.



Zbiorowa mogiła 9-ciu osób zamordowanych w czasie drugiego napadu Ukraińców.

Przez cały dzień zwożono ofiary na cmentarz i chowano je w zbiorowej mogile. Najofiarniej pracowali Polak Władysław Huk oraz Ukrainiec Madziarski. Ciało wuja Wincentego, brata matki znaleziono dopiero, jak zeszły śniegi, w szkółce drzew owocowych, gdzie go dopadli ukraińscy oprawcy. Wuj, który za walki z bolszewikami w wojnie z 1920 r. dostał Krzyż *Virtuti Militari*, został związany między dwoma deskami. Piłą odcięli mu głowę, a później rozbito ją na kawałki. Przy tej egzekucji był Wasyl Hawrysz, a jego żona opowiedziała, że wuj prosił, że jeśli musi umrzeć, by go nie męczyli. Na to jeden z siepaczy powiedział: „My wiemy, że z was był dobry pan, to będziemy was rżnąć pomalu”.

Od czasu tego wielokrotnego morderstwa nikt nie nocował w domu. Nam pomagali zaprzyjaźnieni Ukraińcy – Kowalukowie, Strymadiuk, Młynczak, Sorochan, Porczak i inni, których nazwisk już nie pamiętam. Naszej dalszej rodzinie również pomagali. Nawet

Antoni Szemelowski, którego jeden syn poszedł do banderowców, a drugiego zamordowali za odmowę przystąpienia do nich. Wiadomo było, że Ukraińcom pomagającym Polakom grozi śmierć z rąk banderowców.

Kilka dni po tragicznej nocy, gdy front był w okolicy Śniatyna (40 km od Kosowa) do miasta wjechały trzy radzieckie czołgi, a na nich fizylierzy z pepeszami gotowymi do strzału. Żałowaliśmy, że nie pojawili się te kilka dni wcześniej. Zatrzymali się w budynku sądu. Przez czas ich pobytu w mieście, u mojej ciotki Marii Sokołowskiej, mieszkającej naprzeciw sądu, nocowały tłumy ludzi. A gdy Rosjanie zamierzali wyjechać, ludzie stanęli przed czołgami blokując wyjazd. Kiedy dowódca czołgu chciał jakoś przejechać, jedna z kobiet położyła niemowlę przed czołgiem. Dowódca krzyknął: „Co ty robisz, przecież mogliśmy ci dziecko zabić!” Wtedy ona odpowiedziała: „Jak mają mu Ukraińcy roztrzaskać głowę o ścianę, to niech tak zginie.” Rosjanin powiedział, aby się zbierali, to przeprowadzą grupę w bezpieczne miejsce. Tak też się stało. Kobieta z niemowlęciem wpuścił do kabiny czołgu. Po kilkunastu godzinach wszyscy uciekinierzy znaleźli się na terenach zajętych przez wojska radzieckie.

Święta Wielkanocne były smutne. Ksiądz zaintonował od razu drugą zwrotkę pieśni, omijając słowa „wesoly nam dziś dzień nastał”.

Jednej mroźnej i śnieżnej nocy szukałem z siostrą miejsca schronienia przed banderowcami. Krążyliśmy, bo ślady na śniegu mogły do nas doprowadzić. Schowaliśmy się wreszcie w szopie, do której wejście było od strony pola. Zakopaliśmy się w słomie dość daleko od wejścia. Było bardzo zimno, trudno było zasnąć. Do gospodarstwa przyszli banderowcy, usłyszeliśmy, jak sprawdzają w domu, w stajni i stodole. Wreszcie podeszli do naszej szopy, dzgali czymś słomę, ale nas nie dosięgli. Baliśmy się oddychać, a rano okazało się, że skostniałem i odmroziłem nogi. Wyleczył mi je dopiero po wojnie lekarz w Nysie. W kwietniu przyszła fala ciepła i wtedy ukrywaliśmy się w zaroślach.

Raz jeszcze przyszli do naszego miasta Węgrzy. Wcześniej przez trzy noce z siostrą i kuzynką Heleną spaliliśmy na strychu nad stajnią u Kowalików. Któregoś dnia wracaliśmy do domu polami, mieliśmy ze sobą tobołki, przechodziliśmy obok domu, gdzie kwaterowali Węgrzy. Zobaczył nas ich wartownik i wszczął alarm, bo

uznał nas za partyzantów. Okrążyli nas, a ja śmiejąc się powtarzałem za nimi „partyzant, partyzant”. Podeszliśmy do nich. Na szczęście jeden mówił po słowacku. Wytłumaczyliśmy, że my jesteśmy Polacy, pokazaliśmy gdzie mieszkamy. Gdy wchodziliśmy do domu pokiwalismi im, a oni nam. Przez cały czas pobytu w Kosowie, Węgrzy odwiedzali nas w domu.

Z nocy 29 na 30 kwietnia do miasta weszli Rosjanie. I znów zajęli jeden pokój w naszym domu. Poczuliśmy się wreszcie bezpieczni przed bandami. Sztab był w jednym pokoju, ale wojsko było wszędzie. Pisarz wojskowy urzędował w naszym pokoju. Mieli kilka płyt i paterfon i grali noc i dzień, do czego musieliśmy przywyknąć. Znów rosyjska milicja i NKWD ulokowały się w budynku sądu. Ogłosili mobilizację mężczyzn od 20 do 50 roku życia. Można było wybrać czy iść do wojska, czy służyć w „Istriebitielnom Batalionie” na miejscu. Była to formacja cywilna do walki z UPA. Moi dwaj kuzyni wybrali tą drugą możliwość. Ja i moi dwaj koledzy też się zgłosiliśmy, oni zostali przyjęci, a ja drobny, chudy - nie. Kolegów też odesłali po dwóch tygodniach, kiedy zobaczyli w dokumentach, że są za młodzi. Mnie zaproponowali rolę zwiadowcy, bo bardzo dobrze mówiłem po ukraińsku, znałem ich modlitwy i różne pieśni. Nie byłem znany w okolicy i mogłem uchodzić za Ukraińca. Istniało ryzyko, ale jak widać przeżyłem. Działalem w tajemnicy nawet przed rodziną.

Udało się ustalić, że kolega z klasy Władysław Hetman, który razem z ojcem wstąpił do UPA, czasem nocą przychodzili do domu. Zostali złapani, rozbrojeni i zastrzeleni w czasie ucieczki.

Wojna zniszczyła wiele domów w mieście. Moja ciotka zamieszkała u nas, bo jej dom spłonął. Pod koniec maja zarządzo-
no ewakuację poza teren frontu. My i siostry mamy wyjechaliśmy do Zabłotowa, 27 km od Kosowa. Tam dokwaterowano rodziny do mieszkańców. Spaliśmy na podłodze w ogromnym ścis-
ku, ale wszyscy znosili niedogodności ze spokojem i zrozumieniem. Któregoś dnia ojciec wyprowadził krowę na pastwisko. Za chwilę przybiegł chłopak i mówi, żeby iść po krowę, bo tatę zabrali żołnierze. Chcieli ojca wcielić do wojska, a zaświadczenie o chorobie wrzucili do kosza. Zawieźli go do Żytomierza, a tam komisja lekarska zwolniła go. Wracał przez dwa tygodnie, sprzedając po drodze części ubrania, by kupić jedzenie. Wrócił w jakichś łachmanach. W Zabłotowie ja z kuzynostwem pasalem bydło na łąkach, mama pracowała u gospodarzy za żywność.

Na początku czerwca w biały dzień banda napadła na wieś Trójca, która znajdowała się na górze i tury było widać z Zabłotowa. Pierwsze pożary spowodowały alarm i NKWD wydało broń wszystkim biegnącym na pomoc, ale zanim dotarli do Trójcy połowa wsi została spalona i wymordowana. Po dwóch tygodniach ukraiński wartownik wpuścił nocą bandytów do budynku, gdzie mieszkali enkawudyści i wszystkich wymordowano. Rosjanie zatrzymali to w tajemnicy i sprowadzili nową obsadę.

Na początku lipca skończyły się zapasy żywności. W tej sytuacji rodzice postanowili wracać do Kosowa, gdzie były już młode ziemniaki. Musieli wybrać czy w Zabłotowie umierać z głodu, czy w domu żyć w strefie zagrożonej działaniami wojennymi. Wracaliśmy z grupą innych rodzin i doszliśmy dzięki pomocy spotykanych ludzi, którzy mówili jak omijać posterunki i zagrożenie ze strony bandytów. Nadkładaliśmy drogi i zamiast 27 km przeszliśmy 40. Po powrocie wspierali nas Rosjanie, którzy kiedyś u nas mieszkali i mogliśmy pozostać w domu. Gdy Węgrzy wycofali się ze wzgórz, z których atakowali naszą okolicę, do miasta wróciły władze i życie zaczęło funkcjonować w miarę normalnie, ale zagrożenie nadal istniało, bo władze były w miastach oddalonych, a wokoło nas była „Samostijna Ukraina”. Przez kilka miesięcy Kosów był odcięty od świata. Drogi wyjazdowe były zaminowane, a jedyna wolna do Jabłonowa przechodziła przez tereny leśne, gdzie łatwo było banderowcom robić zasadzki. Łączność telefoniczna została zniszczona. Każdy śmiałek, który ryzykował wyprawę do innego miasta, został zamordowany.

Po wojnie wojsko miało za zadanie oczyścić teren z band. Upowcy więc wynosili się, część przez Czechosłowację uciekła do Austrii, pod władzę aliantów, a część przeszła w polskie Bieszczady, siejąc śmierć i zniszczenie. Dopiero akcja „Wisła” odcięła bandytów od wsparcia Łemków i przyniosła upragniony spokój. W górach w okolicy Kosowa wojsko i milicja wyłapywały bandytów i likwidowały ich magazyny. Banderowcy jednak bili się do ostatniego. W tych potyczkach zginęło 62 członków NKWD, milicji i „Streb Batalionu”. Pochowano ich na starym przykościelnym cmentarzu. Tak zginął naczelnik NKWD, bardzo przyzwoity człowiek, wyjątek w tej formacji.

Mieszkaliśmy w pobliżu siedziby NKWD. Nocą przechodziły obok naszego domu patrole rosyjskie, a gdy zawracały w stronę

miasta, szedł tą drogą patrol banderowców. Zastanialiśmy na noc okna deskami, żeby uniemożliwić wrzucenie do mieszkania granatu. W domu mieliśmy 50 szt. granatów, które dostaliśmy, aby się bronić w razie napadu Ukraińców, wtedy ruscy mieli przyjść nam z pomocą.

15 m od naszego domu była willa wybudowana w 1938 r. przez nauczyciela Samborskiego, którego bolszewicy wywieźli na Sybir w 1940 r. W tej willi w latach 1944-1945 usytuowano szpital zakaźny, bo panował wówczas tyfus plamisty. Leżeli tam wojskowi i cywile. Banderowcy zaatakowali szpital. Przy naszym domu ustawili cekaem, z którego ostrzeliwali budynek szpitalny. Mama z siostrą weszły na strych, a ja z ojcem zamierzaliśmy wykorzystać granaty, gdyby napastnicy chcieli wejść do domu. Po kilku godzinach strzelaniny bandyci odeszli. Rano ojciec nazbierał dwa wiadra łusek po kulach.

W 1945 r. ogłoszono, że Polacy mogą wyjechać do Polski. Ojciec natychmiast zarejestrował w PUR-ze cztery osoby. Dostaliśmy kartę ewakuacyjną i spis pozostawianego majątku. Wtedy z Niemiec wróciła moja siostra Emilia. Opowieściom nie było końca. Wielkie też było jej zdziwienie, gdy powiedzieliśmy, że znamy jej losy, choć nie było z nią kontaktu. Pisarz rosyjski, który u nas mieszkał, wróżąc z kart powiedział, że z Emilią jest wszystko w porządku i że powróci cała. Emilia poszła zameldować się w tzw. „Паспортный Стол” – odpowiednik naszego USC. Tam za biurkiem siedział facet, który w 1939 r. ją przesłuchiwał. On poznał ją, a ona jego. Wpisał ją do księgi, zabrał jej książeczkę pracy z Niemiec, tzw. „Arbeit- busch”. Wtedy mogła już pójść do PUR-u, by dopisać ją do rodzinnej karty ewakuacyjnej. Odesłali ją do „Паспортново – Стола” po zaświadczenie, że jest zameldowana w rodzinie. Tam dostała odpowiedź, że nie dostanie zaświadczenia, bo nie po to przyjechała, aby wyjeżdżać. „Бędiesz tam, gdzie nam będzie potrzeba” – powiedzieli.

Na rodzinę padł blady strach. Zaczęły się poszukiwania rozwiązania problemu nie wyłączając łapówki dla PUR-u, ale wysokość łapówki przekraczała możliwości rodzinnej kasy. Cuda jednak się zdarzają, więc się udało. Emilię zabrano na kartę dziewczynki, która figurowała w dwu rodzinach. - w swojej wielorodzinnej i w nowej, która ją adoptowała.

W zimie 1946 r. z siostrą udaliśmy się do Kołomyi, aby omówić procedury pozwalające siostrze jechać z rodziną adoptowanej

dziewczynki. Siostra nie miała żadnego dokumentu. Omijaliśmy więc Pustyń, Jabłonków i Utoropy, gdzie były posterunki milicji i mogli nas legitymować oraz zatrzymać. Szliśmy krótszą drogą przez Kowalówkę. W połowie tej wsi zobaczyliśmy grupę siedmiu osób. Wszyscy zwrócili się w naszą stronę. Siostra przerażona powiedziała: „Żywych nas stąd nie wypuszczą”. Wymyśliłem, że będziemy udawać Ukraińców, a siostra niemowę. Zagadnąłem po ukraińsku, że chcemy się napić. Siostra została z boku, kazali iść po garnuszek do najbliższego domu. Nabrałem wody ze studni napiliśmy się. Pytają – co z nią? Mówię, że niemowa. Kazali mi się modlić, zmówiłem pacierz po ukraińsku, uśmiechając się zapytałem, czy mówić jeszcze. Zapytali skąd jesteśmy? A czy dużo jeszcze w Kosowie Polaków? Powiedziałem, że już niedługo reszta wyjedzie. Pożegnałem się ich zawołaniem „Sława Ukrajani”, odpowiedzieli tym samym i poszliśmy. Do domu wracaliśmy już inną drogą.

W maju tego samego roku wyjechaliśmy do Kołomyi, tam załadowaliśmy się do wagonów, a następnego dnia przewieziono nas do Stanisławowa. Gdy już znaleźliśmy się w nadgranicznej stacji Chórów nastąpiła roszada dziewcząt tak, aby dopasować dziewczyny do wieku, bo moja 25-letnia siostra jechała na miejsce 12-latki. Przez całą drogę byliśmy w napięciu czy NKWD Kosowa nie zawiadomi straży granicznej o nielegalnym wyjeździe siostry. Jednak kontrolujący sprawdzał tylko liczbę osób, więc cała kombinacja okazała się niepotrzebna.

Na trasie od Kosowa do Chyrowa trzykrotnie próbowano wymusić na nas łapówki, zatrzymywano pociąg i mówiono, że wagony są uszkodzone, ale po namazaniu kredą na wagonach „bolnyje wagony” puszczali pociąg dalej. My w czasie jazdy wycieraliśmy napis. Na następnej stacji szukali tych wagonów. Wreszcie cało dotarliśmy do granicy. W Chyrowie zobaczyliśmy polskie wagony i chcieliśmy się przenieść, ale Rosjanka, kierowniczka transportu powiedziała, że dla nas przyjadą inne. Tak przetrzymała nas do nocy i wtedy przeładowywaliśmy nasze mienie do tych stojących cały czas wagonów, a żołnierze ruscy porywali, co się dało. Jak już wszystko przenieśliśmy, zamknęliśmy się w wagonach i czekaliśmy. Po północy oficer z dwoma żołnierzami sprawdził czy liczba osób się zgadza. Rano transport ruszył do Krościenka. Po przejechaniu granicy wszyscy odetchnęli z ulgą – będziemy już bezpieczni od banderowców.

Poczuliśmy ciepło, więc otwarto drzwi wagonów. Wokół nas był las. Naraz z niewysokiej skarpy na transport zaczął lecieć grad kamieni. Zobaczyliśmy grupę wyrostków, którzy rzucali w nas kamieniami. Zamknęliśmy drzwi. Wszyscy bardzo się zdenerwowali. Dlaczego w Polsce obrzucają nas kamieniami? Minęliśmy Krościenko, koło wsi Brzegi Dolne wokół mostu było pełno wojska w bunkrach. Maszynista gwałtownie zahamował i omal z tym mostem nie wpadliśmy do rzeki Strwiąż, 10 m w dół. Później wjechaliśmy do Ustrzyk Dolnych. Spotykaliśmy żołnierzy rannych, pokrwawionych, na noszach. Ruch, krzyki, nawoływanie. Zagadnięty żołnierz powiedział nam, że zaatakowali ich banderowcy, walka trwała dwie godziny. Na szczęście nie było zabitych. Dlatego nasz pociąg stał w jarze, czekając na koniec potyczki. Powiedziano nam, że bezpieczni będziemy dopiero, jak minimy Sanok.

W Sanoku, w klasztorze ojców Franciszkanów zostawiliśmy to, co zabraliśmy z kościoła w Kosowie. Przyjął nas tam o. Benedykt, kiedyś z parafii w Kosowie, teraz przeor zakonu. Dalej jechaliśmy przez Krosno, Jasło, Chabówkę, Żory, Rybnik, Racibórz, Gliwice, Nysę, Legnicę w okolicy Przemkowa, na stację Krze Koty dziś Niegosławice. To był koniec jazdy, mogliśmy szukać miejsca dla siebie. W Przemkowie byli ludzie, ale okolice były puste. Ładne zabudowania, ale ludzie z Przemkowa mówili, że w lasach grasują jeszcze Niemcy, tzw. Verhvol i napadają na osiedleńców, a teren Legnicy, Przemkowa, Szprotawy zajęła Armia Radziecka.

Słyszac to, nikt nie chciał się wyładowywać. Trzymano nas tam cztery doby. Po złożeniu przez delegację transportu łapówki we wrocławskim PUR-ze piątego dnia transport ruszył przez Legnicę. Mieliśmy się wyładowywać tam, gdzie pociąg się zatrzyma. W ten sposób do Kamieńca Żabkowickiego dojechałyby trzy wagony. Osiedliśmy więc we wsi Jodłówka (teraz Doboszowice). Wieś była już zasiedlona przez ludzi z Siemianówki koło Lwowa. Osiedlano nas jako współników do zajętych gospodarstw. W połowie marca zapasy zabranej żywności skończyły się. Pieniądzy też nie było, chodziliśmy więc z ojcem do gospodarzy, by zarobić na jedzenie, ale pracowaliśmy tylko za posiłki dla nas w czasie pracy. Siostra szyla, ale jak chciała kupić u sąsiadów mleko, nie sprzedali. W październiku 1946 r. przyjęto mnie do 3-letniego Gimnazjum Ośrodka Szkoleniowego Energetyki w Nysie. Zamieszkałem w internacie i tak zaczęło się moje samodzielne życie.

Ucieczka z Kresów

Wymienione niżej osoby: Marcin Jaruzelski, Zbigniew Jaruzelski, Andrzej Jaruzelski syn Zbigniewa, Zbyszek Cybulski, syn Aleksandra i Ewy z domu Jaruzelskiej, Józef Jaruzelski – dziadek, Jadwiga Horodyńska, córka Jadwigi, Izabela Jaruzelska z domu Krzysztofowicz, Wanda Jaruzelska. Opowiada Wojciech Jaruzelski.

Kniaże, wakacje 1939 r. Tak jak każdego roku do dziadków zjechali krewni z dziećmi. Razem z nami z Załucza Górnego tworzyliśmy sporą grupkę od 9 do 14 lat. Bawiliśmy się w podchody, Indian, złodziei i policjantów. Były konne eskapady, kąpiele w Czeremoszu i zmagania sportowe. Wspaniałe podwieczorki z kawonów, brzoskwiń, winogron i moreli. Jednym słowem - raj na Ziemi.

Pojawiły się jednak już syndromy wojny. Dorośli dyskutowali: „Korytarz dla Niemców, buńczuczne mowy Goebbelsa, z naszej strony Becka. Nie damy ani guzika.” Atmosfera była napięta. Niemiec, student Uniwersytetu Lwowskiego (zaangażowany do uczenia nas języka niemieckiego) Zebort został wezwany depeszą i wyjechał. Dwa dni później policja chciała go aresztować – był szpiegiem. Zmobilizowany został stryj Marcin. Ojciec pojechał do gminy, domagał się powołania, przecież był oficerem, walczył w 1920 r. Podobno V kolumna miała wtyczki na pocztę i niszczyła karty mobilizacyjne.

Nadeszła wojna. 1 września Jędrak i Zbyszek mieli stawić się w szkole kadetów we Lwowie. Przez radio usłyszeliśmy komunikat o napaści Niemców na Polskę. Westerplatte broniło się. Naloty bombowe. Radio nadawało: „Uwaga, uwaga – Ko-ma 3... przeszedł” – to informacja dla naszego lotnictwa. Warszawa była bombardowana. Krewni z Warszawy zostali w Kniażu.

Drugi tydzień. Na polach Załucza i Kniaża wylądowały polskie samoloty (szkolne, czaple, mewy) uzbrojone w kaemy (karabiny maszynowe). Ludzie pobiegli, my też. Miały lecieć do Rumunii po bojowe samoloty, które ponoć płynęły okrętami z Anglii. Na razie czekali na rozkazy. Zakwaterowaliśmy ich w budynku gospodarczym. Gościliśmy, jak mogliśmy. Uprosililiśmy z bratem pilotów, którzy zgodzili się wziąć nas na pokład. Polecieliśmy nad polami i wsią.

Do Załucza przyjechał prezydent Mościcki z grupą rządowo-oficerską, a w Kniażu zakwaterowano wyższych oficerów. Rodzice zbierali informacje. Organizowano drugą linię obrony.

17 września 1939 r. nadeszła straszna wiadomość – bolszewicy wkroczyli do Polski. Trzy bomby spadły na stację kolejową Załycze-Śniatyn. 18 września – prezydent i sztab ewakuował się do Rumunii przez Kuty do Czerniowiec. 19-20 września, dzień przed wkroczeniem bolszewików do Załucza odleciały samoloty. Przelatując nad nami, zrzuciły biało-czerwony proporzcyk z kartką „Dziękujemy za gościnę – wrócimy”.

Dla nas rozpoczęła się tułaczka. Rano 20 września zajęwały przed dom ciężarówkę. W drugiej na skrzyni zobaczyłem dziadzię i innych ziemian. Aresztowano też ojca. Wdrapałem się na ciężarówkę. Ruszyły. W ostatniej chwili ojciec rzucił klucze. Widziałem, jak poleciały w stronę mamy.

Oficer NKWD z rewolwerem w ręku i kilku żołnierzy przeszukali dom. Znaleźli proporzcyk zrzuty przez lotników. Wmawiali nam, że to zaszyfrowana wiadomość. Chcieli nas wyrzucić. Utworzona Rada Wiejska wstawiła się za nami. Zostaliśmy. Zabrali klucze. Nie mieliśmy dostępu do budynków gospodarczych. Rada przydzieliła nam deputat żywnościowy.

Ukraińscy nacjonaści usypali kopiec, a na nim ułożyli z kamieni tryzub⁷.

Oficer NKWD ciągle przychodził, straszył represjami. Wreszcie złagodniał. Któregoś dnia powiedział: „Dam pani klucze. Proszę sprzedać za ruble, co się tylko da. Wystawię przepustkę, pojedziecie do moich rodziców nad Don. To porządni ludzie, bo jak zawiesiłem portret Lenina i Stalina obok ikon, to zaraz je zdjęli – nie ikony.” Mama odmówiła, a on: „Tu się będą działy straszne rzeczy.” Po kilku dniach oficer znikł. Nas wyrzucili. Mieszkaliśmy na „chatkach” (czworaki). Pewnego dnia przyszedł nasz były pracownik i powiedział: „Ruscy popili przy ognisku i powiedzieli, że będą wieszać pamieszczyków, czyli nas”. Po tej wiadomości wczesnym rankiem, chłopską furmanką i w przebraniu uciekliśmy na stację kolejową. Ukrył nas kolejarz. Po południu odwiózł nas do swego kuzyna w Stanisławowie - też kolejarza.

Nadszedł październik. Bawiłem się na podwórzu. Naraz otworzyła się furka, a ja widzę ojca. Pobiegłem do domu krzycząc: „Mamuś! Tuś! Wrócił!” i popędziłem się przytulić. Radość była wielka.

Co z nami? Jak w więzieniu? Minęło kilka dni. Podziękowaliśmy za gościnę i pojechaliśmy do Kołomyi. Tam już był dziadzio (wypuszczony z więzienia) i babcia oraz inni krewni wyrzuceni z Kniaża i okolicznych dworów. Mieszkamy w jednym pokoju, w domku przy ul. Ukraińskiej (później Wilsona). Chodziłem do szkoły – IV klasa. Uczyłem się rosyjskiego. Do dziś pamiętam wierszyki:

*Po średinie dwara, ledionaja gora, wozwyszajetsja.
A narod mołodoj na garieledianoj potiesajetsia,
Masza z bractwem letiat słowno puch,
A u Maszeńki duch zanimajetsja.
(tłum. Pośrodku podwórka wznosi się łodowa góra,
A młody naród na tej górze cieszy się,
A Masza z rodzeństwem unoszą się jak puch.
Au Maszeńki duch raduje się.)*

Staraliśmy się ubierać jak miejscowi. Baliśmy się, że nas „pamieszczyków” rozpoznają. Ten dzień nadszedł. Ojciec poszedł na targ. Przemykał wśród tłumu. Raptem usłyszał: „Jaśnie panie, jaśnie panie!” Dał nura między ludzi, ktoś go jednak dopadł i zatrzymał. To chłop z Załucza: „Co ja panu dam, już wszystko sprzedałem”. Zdjął z szyi ostatni wianek cebuli i powiedział: „Proszę wziąć”. Nie chciał pieniędzy. Ojciec próbował odmówić, ale widząc minę ofiarodawcy przyjął. Od tej pory, co jakiś czas przychodzili ludzie z Załucza i wspierali nas różnymi artykułami spożywczymi z własnych gospodarstw. Nie chcieli zapłaty. Przyjmowaliśmy, bo to były dary serca. Byliśmy im za tę troskę bardzo wdzięczni. A swoją drogą ciągle zastanawialiśmy się, jakim sposobem dowiedzieli się, gdzie mieszkamy.

Przynosili nam też wieści o żołnierzach, którzy starali się przedostać do Rumunii (podobno Bajan – lotnik, który jak głosi legenda był nad Berlinem – z pistoletem w ręku przemaszerował przez wieś i uciekł bolszewikom), o przewodnikach, którzy przeprowadzą nas przez granicę, o złodziejach kradnących z folwarku i dworu, bo Ruscy i tak wszystko zniszczą i o tym, że ktoś zmienił nazwisko z polskiego na ukraińskie – takie różne ploteczki.

Postanowiliśmy ruszyć do Rumunii. Złapaliśmy kontakt z przewodnikiem, który miał przeprowadzić kuriera. Ciocia Ewa i Jaga postanowiły wziąć udział w tej wyprawie razem z dziećmi, czyli Antkiem i Zbyszkim oraz Renią (tam podobno byli ich mężowie). Wyruszyły w przebraniu. W Szeszorach zostali aresztowani.

przewiezieni do Pustynia i tam przesłuchani. Antka i Zbyszka odesłano do dziadków do Kołomyi. Obie ciocie i Renię też odesłano do Kołomyi, ale do więzienia, a potem do Kazachstanu. Wróciły z Andersem. Ciocia Ewa odnalazła męża i wróciła do Polski. W 1946 r. Jaga z Renią wyjechała do Anglii.

Chodziły słuchy, że we Francji Sikorski organizuje wojsko. Dziadzio Józio postanowił wzmocnić siły zbrojne. Po drodze chciał wstąpić do Karapczyjowa do rodziny babci. Uznał, że zbierze informacje o tym, co się dzieje z naszymi krewnymi, którzy przedostali się do Rumunii. Potem dotrze do gen. Sikorskiego. Może oficer w stopniu pułkownika na coś się przyda. Uparciuch!

Jak postanowił, tak zrobił. Znalazł przewodnika i grudniową nocą przez Czeremosz po lodzie przekroczył granicę. Przewodnik przyniósł umówiony znak, a po dziadziu zniknął ślad. Kilka miesięcy później mówiono, że znaleziono ciało w koszuli z monogramem. Niestety, w warunkach okupacji niczego nie udało się ustalić.

Nadeszła wiosna 1940 roku. Mieszkaliśmy przy ul. Wilsona. Zaczęły się wywózki na Sybir. Była noc. Obudziło nas walenie do drzwi. Siedzieliśmy jednak cicho i nie otwieraliśmy. Usłyszeliśmy głosy na podwórzu. To Ruscy. Sąsiad mówił, że wyjechaliśmy. Bolszewicy odjechali. Byliśmy pewni, że wrócą. Spakowaliśmy błyskawicznie najpotrzebniejsze rzeczy i uciekliśmy do babci. Tam odbyła się narada. Usłyszeliśmy, że podobno Niemcy wpuszczają do Generalnej Guberni tych, którzy mieszkali tam przed wojną – uciekinierów. Mieliśmy szansę. Mama, stryjenka Wanda, Zbyszek i Antek mieszkali w Warszawie. Ja też się tam urodziłem. Mam to potwierdzone w metryce. W chłopskim przebraniu poszliśmy na stację. Wsiedliśmy do pociągu. W Przemyśle napotykaliliśmy tłumy ludzi. Szukaliśmy lokum. Doszły nas złe wieści. Granica była już zamknięta. Ojciec dopytywał się o możliwość przekroczenia granicy. Nikt nic nie wiedział. Pojawiły się sprzeczne informacje. Okropna noc. Leżeliśmy pokotem na ułożonej słomie pod ścianami. Pokój bez mebli. Ze 30 osób.

Rano mama powiedziała do ojca: „Zbyszku, miałam sen o karmelu. Tu gdzieś w Przemyśle”. Zapytaliśmy gospodynię. „A może chodzi o zakon karmelitów?” – odpowiedziała. Rzeczywiście. Organizowali ostatnią tysiącosobową grupę. Brakowało im pieniędzy na łapówki. Mieliśmy trochę funtów szterlingów w zlocie, daliśmy im pieniądze – to wystarczyło.

Następnego dnia pożegnaliśmy się z ojcem. Chciał wracać do Kołomyi, iść do Rumunii, szukać dziadzia, a potem do Sikorskiego. Niestety, został złapany na granicy w Kutach i wywieziony do łagru w Swierdłowsku na Uralu. Tam zmarł w 1941 r.

Po pożegnaniu wcisnęliśmy się w stojącą między linami grupę. Trzymaliśmy się razem: mama, stryjenka Wanda, Zbyszek, Antek, Jędrzek i ja. Po bokach Niemcy, Rosjanie. Za ich plecami tłum ludzi, niektórzy próbowali dostać się pod liny. Zamieszanie. Jędrzek został wypchnięty za linę – złapaliśmy go i wciągnęliśmy z powrotem. Dopadł do niego Niemiec i chciał usunąć z grupy. Całe szczęście, że mama doskonale mówiła po niemiecku. Zdumiony żandarm słysząc lawinę słów dał się przekonać. Katastrofa została zażegnana. Doszliśmy do mostu. Ulga. Zrobiło się luźniej. Dźwigaliśmy walizki. Ciężkie, ciągnęliśmy je po szynie kolejowej. Wreszcie dotarliśmy do drugiego brzegu. Tu nastąpiła kontrola papierów.

Wreszcie byliśmy w GG (Generalna Gubernia). Musieliśmy odpocząć. Odnalazł nas stryj Bolek, syn stryjenki. Zabrał swoją mamę, Zbyszka i Antka do Warszawy. My z mamą pojechaliśmy do Krakowa. Wymknęliśmy się z Antkiem nad brzeg Sanu, zdjęliśmy spodnie, wypięliśmy tyłki w stronę bolszewików i krzyczeliśmy: „Stalin, pocałuj nas w rz...”.

Tragedia wywózek na Sybir

Władysław Białowągś mieszkał w Ihrowicach. Podczas pierwszej wywózki na Sybir w lutym 1940 r. miał 6,5 roku, ale - jak sam wspomina - wiele rzeczy doskonale pamięta. Resztę zna z opowieści ojca i starszej siostry.

W 2013 roku mija 73. rocznica masowych wywózek ludności polskiej w głąb Związku Sowieckiego z terenów zajętych przez Rosjan w 1939 r. Już 28 września 1939 roku obaj agresorzy - Niemcy i Rosjanie dokonali korekty paktu Ribbentrop - Mołotow, tzw. układu granicznego i o przyjaźni. Terenami, które znalazły się w strefie sowieckiej, były ziemie kresowe II Rzeczypospolitej. Okupacja sowiecka Kresów Wschodnich zaczęła się z chwilą agresji 17 wrze-

śnia. Oznaczała ona przeniesienie w krótkim czasie metod sowieckiego ludobójstwa na tereny okupowane.

Kilka tygodni po wkroczeniu Sowietów dało się już zauważyć działania potężnej i dobrze zorganizowanej, jeszcze przed wybuchem wojny, siatki wywiadu sowieckiego. Wcześniej władze II RP często likwidowały i aresztowały zawodowych szpiegów sowieckich oraz tzw. informatorów, wywodzących się z mniejszości narodowych oraz nielicznych Polaków. Wkraczając do Polski Sowietci mieli pełne informacje o administracji, wojsku, służbach granicznych, policji, osadnikach wojskowych itp. Natychmiast rozpoczęto aresztowania, a później mordowano polskich urzędników, samorządowców, sędziów, prokuratorów, policjantów, profesorów i nauczycieli, działaczy politycznych i społecznych. Jednym słowem - polską inteligencję. Dla Sowietów niebezpieczni byli również obywatele polscy innych narodowości. Wywożono niektórych Ukraińców, Białorusinów i Żydów. Aresztowano i deportowano również tzw. „bieżeńców”, czyli tych obywateli polskich, którzy uciekając przed Niemcami przeważnie z Wielkopolski, Śląska i Pomorza, dotarli na tereny okupowane przez Sowietów. Wykazy rodzin przeznaczonych do deportacji na północ i wschód Związku Sowieckiego były sporządzane według statusu socjalnego i majątkowego.

11 października 1939 r. zatwierdzony został tajny rozkaz NKWD nr 0011223. Był on adresowany do wszystkich jednostek przygotowujących wykazy osób niebezpiecznych dla władzy radzieckiej. Rozkaz został uzupełniony uchwałą Rady Komisarzy Ludowych ZSRR nr 2122 z dnia 29 grudnia 1939 roku, zatwierdzającą „Instrukcję Ludowego Komisarza Spraw Wewnętrznych ZSRR o porządku przesiedlenia polskich osadników z Zachodnich Obszarów Ukraińskiej i Białoruskiej SRR”. Instrukcja ta zawierała szczegółowe wytyczne dotyczące trybu i sposobu przeprowadzania jednoczesnego, masowego przesiedlenia ludności polskiej w głąb Związku Sowieckiego w dniu wyznaczonym przez NKWD. Dokument podpisał Ławrientij Beria. Instrukcja oraz dziesiątki innych nie były w pełni przestrzegane. Omawiane dokumenty przechowywane są w Państwowym Archiwum Rosyjskiej Federacji. Mają sygnaturę F.9476.Op.1.D.52.

Według szacunków władz polskich w Londynie ze wschodnich terenów II RP wywieziono ponad 1,2 mln osób w czterech wielkich

deportacjach: w lutym, kwietniu i czerwcu 1940 oraz w czerwcu 1941 r. Także około 150 tysięcy zmobilizowano do Armii Czerwonej, a 180 tysięcy wywieziono jako jeńców wojennych.

Z ludobójstwem mamy do czynienia już od momentu transportu deportowanych w nieludzkich warunkach. Spośród wszystkich czterech wywozek najtragiczniejszą była ta z 10 lutego 1940 r. Zima tego roku była długa i mroźna. Zaczęła się w październiku 1939 i trwała do ostatnich dni marca 1940 r. Mróz w niektórych rejonach Kresów dochodził do -34.5°C (taką temperaturę pokazywał termometr na stacji kolejowej w Zbarażu). Dodatkowo wszędzie było dużo śniegu. Do wywózki doszło nagle, bez wcześniejszej zapowiedzi. Nikt się jej nie spodziewał, nikt się do niej nie przygotował.

Z deportacji nie zwolniono nikogo, ani chorych, ani niemowląt, ani dzieci i starców, ani kobiet czy mężczyzn. Wiele tygodni spędzili w wagonach towarowych i zanim dotarli do miejsca przeznaczenia zamarzali (w lutym) albo ginęli z gorąca (w czerwcu). Brakowało jedzenia, picia, a dziura pośrodku wagonu zastępowała wszelkie urządzenia sanitarne. W takich warunkach odbywała się podróż, a była ona tylko wstępem do dalszych nieszczęść: głodu, zimna, brudu, chorób, niewolniczej pracy, upokorzeń oraz złego stanu psychicznego zesłańców.

Wywózkę z 10 lutego 1940 r. pamiętam, mimo że miałem wówczas tylko 6,5 roku. W tym czasie dzieci i młodzież były bardziej niż dzisiaj odpowiedzialne, zaangażowane i zaznajomione z sytuacją, w której przyszło im żyć. Mieszkaliśmy w miejscowości Ihrowica w powiecie tarnopolskim. Była to duża, ciągnąca się ponad 5 km wieś. Należały do niej rozmieszczone wokół cztery kolonie: Chomy (tuż przed wojną zmieniono nazwę na Kazimierów), Kalinka, Korczunek i Obręczówka.

Na przełomie grudnia 1939 r. i stycznia 1940 r. w Domu Ludowym zorganizowano miting dla Ukraińców mieszkających w Ihrowicy oraz koloniach. Do tej pory, od września 1939 r. wielokrotnie organizowano mitingi, z tym że były one dla wszystkich mieszkańców: Polaków, Ukraińców i Żydów. Ten przeprowadzony był tylko dla Ukraińców. Uważaliśmy więc, że może być skierowany przeciwko Polakom. Dlatego ojciec polecił starszym braciom: 14-letniemu Janowi i 11-letniemu Kazimierzowi, aby poszli na to zebranie i posłuchali, o czym przedstawiciele władzy będą mówili.

Sala widowiskowa ze sceną w Domu Ludowym była duża. Zebrało się w niej wielu Ukraińców i spokrewnionych z nimi w jakimś stopniu kilkunastu Polaków. Oprócz obecnych miejscowych komunistów było również kilku ukraińskich komunistów z Tarnopola i Lwowa oraz funkcjonariusze NKWD. Na dzieci nikt z zebranych nie zwracał uwagi. Bracia weszli na salę.

Jeden z przyjezdnych, usadzonych za stołem prezydialnym, wstał i zaczął przedstawiać cel zebrania, mówiąc: „Ukraina Zachodnia została oswobodzona spod panowania Polski, polskich panów, obszarników i wyzyskiwaczy. Naród ukraiński jest teraz wolny, nie będzie gnębiony przez kułaków, wyzyskiwaczy. Teraz będzie Wolna Sowiecka Ukraina. Choć nie będzie panów, obszarników, to jednak Polacy tu mieszkają, a to nie jest dobrze. To element niepewny, to są wrogowie pracującego ludu.” Inny przyjezdny prelegent proponował, aby wywieźć Polaków, nie mówiąc gdzie i kiedy. Większość zebranych przyjęła wniosek oklaskami zadowolenia. Poddało go pod głosowanie i właśnie ta większość, podnosząc ściśniętą w kułak rękę, krzyczała głośno: „wywysty, wywysty” (wywieźć, wywieść). Kilkunastu Ukraińców sprzeciwiło się temu mówiąc, że nie trzeba. Nie jest to czas na wywózkę, a dobry gospodarz w taką zimę nawet psa z domu nie wypuszcza. Tłum rzucił się na oponentów i wypchnął ich z sali. Wśród sprzeciwiających się wywóźce byli między innymi: Dymitr Mulakiewicz, Teodozja Wiatrowska i Dymitr Mizarny.

Bracia wrócili z zebrania do domu i opowiedzieli jak było i jaka atmosfera panowała na sali. Wspomnieli też, że na mitingu zauważyli dwóch synów (chłopców w ich wieku) Polaka Kazimierza Biskupskiego. Wśród większości głosującej za wywiezieniem Polaków było małżeństwo Petro i Tekla Zahaluk. Tekla Zahaluk była siostrą naszego ojca. Mama ojca, nasza babcia Anastazja była z rodziny ukraińskiej, więc córki zgodnie z ówczesnymi zasadami mogły wyjść za mąż za Ukraińców. Zahalukowie mieszkali w kolonii Chomy. Petro z Teklą, głosując za wywózką Polaków, nie wiedzieli, że też są na liście deportacyjnej. Zostali wywiezieni na Sybir – Petro, żona Tekla i sześcioro dzieci: pięć córek i 18-letni syn Włodek, który zmarł tam z głodu i wycieńczenia. Rodzice z córkami wrócili z Sybiru w 1946 r.

W Ihrowicy listę do deportacji na Sybir sporządzało pod nadzorem NKWD dwóch Ukraińców – N. Zahaluk i N. Horbatiuk oraz dwóch Żydów – N. Herszko i N. Mychel.

Do lutego 1940 r. Chomy były dużą kolonią, zamieszkałą przez 67 rodzin polskich i 80 ukraińskich. Na Sybir wywieziono 22 polskie rodziny oraz 10 ukraińskich. W Sumie było to 150 osób. Władza sowiecka nazywała kolonistów obszarnikami i wyzyskiwaczami. Samo zamieszkanie w kolonii czyniło ich podejrzanymi.

Przygotowania do wywózki

Stefan Grabas – nasz szwagier, mąż siostry Stanisławy – zauważył 9 lutego 1940 r. w godzinach popołudniowych, że obok Domu Ludowego gromadzi się wiele podwód, sań zaprzęgniętych w konie. Mieszkaliśmy niedaleko Silrady (Gminy) i szwagier wszedł do mieszkania mówiąc, że szykuje się jakaś wywózka, gdyż do gminy przybyło dużo sowieckich żołnierzy oraz obcych cywilów. Zwołano również do Gminy tzw. aktyw proletariacki złożony z Ukraińców i niekiedy Żydów. Ponieważ plebania znajdowała się również w pobliżu Silrady, proboszcz parafii w Ihrowicy ks. Stanisław Szczapankiewicz również widział całe zamieszanie i podejrzewał, że może być jakaś wywózka. Całą noc nie spał. a kiedy podwozy zaczęły o świcie przejeżdżać obok plebanii, trzymając obraz MB Częstochowskiej, błogosławił każdą wywożoną rodzinę. Ktoś inny, stojąc za oknem w młynie, naliczył 88 podwód z kolonistami wywożonymi w stronę Tarnopola do stacji Hłuboczak Wielki.

Scenariusz tych wydarzeń wyglądał następująco. Po północy na każde sanie (podwoję) wsiadało dwóch sowieckich żołnierzy i dwóch „przewodników” z aktywu. Jechali do rodzin według z góry ustalonego planu, z listą przygotowaną kilka tygodni wcześniej. Żołnierze sowieccy w towarzystwie aktywistów wchodzili do domów, budzili i aresztowali swoje ofiary, całe rodziny. Aktyw miał pilnować, aby nikt z domowników nie opuścił zabudowań oraz żeby niczego nie schowano. Rodziny dostawały niewiele czasu na spakowanie się. Było to tylko od 30 do 50 minut. Wyrwani ze snu ludzie, w tym starzy i dzieci, w pośpiechu pakowali niezbędne rzeczy do worków. Gdy dostawali pozwolenie, to brali więcej odzieży zimowej. Jeżeli ktoś miał w zapasie żywność, starał się ją zabrać. Wieziono ich w stronę stacji kolejowej do Hłuboczka Wielkiego. Jedna rodzina i dwóch żołnierzy. Dzieci marzły i płakały. Wywożono z Chomów, Korczuku, Kalinki i Obręczówki. Kiedy dojechali na stację, kazano im wysiadać z sań. Przydzielono poszczególne

rodziny do pustych towarowych wagonów. Miały one zadrutowane okna i były wewnątrz pokryte szronem – budziły odrazę.

Wywózka z kolonii Korczunek we wspomnieniach Jana Frydla

W niedzielę 10 lutego 1940 r. około godziny 5.30 rozległo się natarczywe łomotanie do naszych drzwi. Tym wczesnym gościem okazał się aktywista proletariacki. Był on poprzedniego dnia wieczorem poproszony na zebranie do Selrady i przetrzymany do godzin porannych. Był przypadkiem nie zdradził przedwcześnie zamierzeń sowieckich władz. Mama zapytała o powód tak wczesnej wizyty. Usłyszała, że jest zimno, a on nie mieszka na kolonii. Po około 20 minutach na podwórzu zajechały sanie i do izby wszedł żołnierz z długą gwintówką. Powiedział: „Macie pół godziny, zabierajcie co wam najmilsze i pojedziecie.”; potem: „Ubierać się, jedziemy.” Przystąpiliśmy do wynoszenia na sanie tego, co uważaliśmy za konieczne, a kiedy zaczynało świtać, opuściliśmy zagrodę.

Kolumna uformowana z dziesięciu sań dotarła do Ihrowicy. Czekало tam na nas jeszcze pięć rodzin z Korczunku. Uświadomiłem sobie nagle, że istotnie jedziemy w nieznane i nic dobrego nas nie czeka. Człowiek znacznie łagodniej znosi wszelkie niedogodności, jeżeli wie, dlaczego oraz jak długo to potrwa. My, dygocąc z zimna na saniach, nie mieliśmy pojęcia, jak i kiedy to się skończy. Ruszyliśmy i kiedy kolumna skręciła w stronę stacji kolejowej, wiedzieliśmy już, że celem jest Hłuboczek i w konsekwencji Sybir... Rozdzieleniem rodzin do wagonów zajęli się cywile, a nasi wojskowi konwojenci przejęli straż po zewnętrznej stronie kolumny.

Z rodziny Frydlów wywieziono na stację trzy osoby: matkę Paulinę, jej córkę Michalinę oraz 14-letniego syna Jana. Zbieg okoliczności sprawił, że ojciec Ignacy oraz urodzony w 1914 roku syn Milko byli w lesie po drzewo. Ich nie wywieziono. W czasie, gdy przydzielano wygnańcom wagony, Jan Frydel, wykorzystując nieuwagę straży, opuścił swoich – mamę i siostrę. Zostawił je po wcześniejszych słowach mamy: „Staraj się synu przedostać do Michała, jesteś za mały, żeby to przeżyć”. Urodzony w 1912 r. Michał był bratem Janka i mieszkał w Płotyczy. Drogą polną znajdowała się ona w odległości około 3 km od Hłuboczka Wielkiego. Michał, gdy dowiedział się, że z Korczunku przywieziono wygnańców, szybko

przybył na stację i stał po przeciwnej stronie, czekając na możliwość pomocy rodzinie. Jan Frydel uciekając uniknął wywózki na Sybir. Mama Janka zmarła w Teheranie i zastała tam pochowana na katolickim cmentarzu. Siostra Michalina przeżyła Sybir. Przez Uzbekistan i Afrykę wróciła do Polski.

Po przywiezieniu kolonistów na stację na peronie zaczęli gromadzić się krewni, sąsiedzi oraz ciekawscy. Od wygnańców oddzielali ich strażnicy w wojskowych mundurach, przeważnie ci sami, którzy wcześniej konwojowali sanie.

Rodziny, których nie zabrano, zaczęły organizować pomoc dla wygnańców. Była to przede wszystkim pomoc żywnościowa. Na przykład wypiekano chleb, suszono suchary, pakowano mąkę i różne kasze. Za zgodą straży dostarczano też ciepłą odzież oraz przedmioty, które mogły być przydatne w podróży. Mój ojciec razem ze szwagrem Stefanem dwukrotnie w ciągu dnia dostarczyli potrzebne rzeczy dla naszych krewnych oraz innych rodzin.

Tej nocy z Korczunku zostali wywiezieni nasi dziadkowie: Aniela i Michał Szczęchowcie, wujkowie: Janek i Franek oraz ciocia Maria Jagielicz z ósmiodniowym niemowlęciem urodzonym 2 lutego 1940 r. Wojciech Jagielicz, ojciec maleństwa, pracował w tym czasie w Zbarażu jako kierowca Naczelnika Rejonu Zbarskiego. Naczelnik - Rosjanin Teodor Rec pochodził z miasta Budriańsk nad Morzem Azowskim. Był dobrym, rozmownym i dostępnym człowiekiem. Opowiadał Wojciechowi Jagieliczowi, że jego ojciec w czasie rewolucji bolszewickiej był traktowany brutalnie za to, że miał gospodarstwo rolne. Nazywano go obszarnikiem i wyzyskiwaczem.

W tym samym czasie Michał, brat Wojciecha Jagielicza, mieszkający we wsi Dobrowody w odległości 4 km od Korczunku, zaledwie w kilka godzin po wywózce dotarł do Zbaraża. Powiadomił Wojciecha, że jego żona z niemowlęciem, teściowie i szwagrowie zostali zawiezieni na stację kolejową w Hłuboczku Wielkim. Wojciech szybko zaczął działać. Udał się do tow. Czernyszenki pełniącego funkcję Sekretarza Rejonowego Komitetu Partyjnego w Zbarażu z podaniem i prośbą o pozytywną opinię w sprawie zwolnienia z deportacji na Sybir żony i dziecka. Tylko oni – sekretarze byli władni taką prośbę spełnić. W tym czasie w budynku starostwa odbywało się zamknięte zebranie partyjne. Ponieważ stojąca przy wejściu straż nie chciała go wpuścić do środka, Wojciech Jagielicz

znający doskonale budynek, postanowił niepostrzeżenie wejść tylnymi drzwiami na salę, w której odbywało się zebranie.

Oto jego relacja: „Wszedłem na salę, zebrani skierowali głowy w moją stronę. Myśleli zapewne, że wartownik mnie wpuścił i mam prawo tam być. Za stołem siedział Czernyszenko z kilkoma innymi osobami. Zwróciłem się do niego, mówiąc, że przyszedłem z prośbą wyrażoną w podaniu. Czernyszenko spojrzał na mnie złowrogo, szybko wstał, złapał za kołnierz i wyprowadził do drugiego pomieszczenia. Wyjął pistolet, wsadził łufę do moich ust i krzyknął, że przyszedłem podsłuchiwać, a że jestem polskim psem, to zabije mnie jak psa. Upokorzony tłumaczyłem mu, o co chodzi, dlaczego przyszedłem. Silny głos Czernyszenki usłyszał Czyścikow, Naczelnik Wydziału Finansowego Rejonu Zbaraskiego. Zjawił się koło nas i złapał sekretarza za rękę, w której ten trzymał przyłożony do mojej głowy pistolet. Powiedział: „Co ty robisz? To nasz pracownik.” Czernyszenko opuścił pistolet, a Czyścikow zwrócił się do mnie, mówiąc żebym prędko uciekał z tego budynku. W tym czasie Sowietom nie zależało na człowieku, zwłaszcza, gdy był Polakiem.

Wyszedłem na ulicę, chwilę pomyślałem i udałem się do mieszkania Teodora Reca, mojego przełożonego z pracy. Czekalem, aż przyjdzie on z zebrania partyjnego. Wyjaśniłem mu moją sprawę, a on odpowiedział, że nie należy to do jego kompetencji. Jednak na podaniu, w rogu kartki napisał jakiś znak i podpisał się. Poradził też, abym poszedł do biura Naczelnika NKWD. Podziękowałem i po południu byłem już u Naczelnika Korotkich. Ten poznał mnie i spytał o co chodzi. Opowiedziałem o swojej sprawie i podałem podanie. Przeczytał je dokładnie i tak mi odpowiedział: „Twoja żona to córka kulaka i ty też jesteś synem kulaka. Niech żona z dzieckiem jadą na Sybir, ty zostaniesz, ożenisz się z ruską dziewczyną i będziesz żył.” Po wysłuchaniu jego wywodu znowu poprosiłem o pozytywne załatwienie mojej prośby. Odrzekł, że zaopiniuje ją pozytywnie pod warunkiem, że naprawię mu samochód - doprowadzę do sprawności jeden z kilku stojących w warsztacie naprawczym. Ucieszyło mnie to, odzyskałem nadzieję, że prośba zostanie rozpatrzona pozytywnie i zdołam uratować życie mojego dziecka przed pewną śmiercią. Naczelnik podanie podpisał, podziękowałem i wyszedłem. Stojące w warsztacie naprawczym samochody osobowe zostały odebrane Polakom uciekającym do Rumuni po wkroczeniu Sowietów na ziemie polskie. Samochody rekwirowało wojsko sowieckie oraz bandy ukraińskie.

Po namyśle poszedłem do wybranego przypadkowo, nieznanego mi gospodarza o nazwisku Szuber. Opowiedziałem mu swoją historię i poprosiłem, żeby zawiózł mnie do odległej o 12 km wsi Dobrowody. Gospodarz wczuł się w moje położenie i bez żadnych warunków zgodził się pojechać. Zaprzągnął konia do sań i zawiózł do ojca. Kiedy przyjechaliśmy do Dobrowodów był już wieczór. Następnego dnia, w poniedziałek rano, naszykowaliśmy z ojcem litr spirytusu gorzelnianego, bańkę miodu i parę kilogramów słoniny. Pojechaliśmy sańmi do Ihrowicy, do mojego szwagra Stanisława Białowąsa. Razem z nim dotarliśmy w godzinach popołudniowych na stację kolejową w Hluboczku. Wagony z ludźmi stały już gotowe do wyjazdu na Sybir. Okna i drzwi wagonów były zadrutowane, wokół leżało pełno śniegu, a mróz sięgał do około -35°C. Na peronach stali sowieccy żołnierze. Szwagier ulokował sanie z końmi w niewidocznym i zacisznym miejscu obok stacji. Ja udałem się na stację do Naczelnika NKWD. Kiedy zapytał z jaką sprawą przychodzę, wyjąłem podanie i wręczyłem mu. Przeczytał, zaczęliśmy rozmowę, która przeciągała się. Wtrąciłem więc, że jest zimno i z rozwągą dodałem, iż mam się czym rozgrzać. Wyjąłem z torby spirytus. Spojrzał na mnie i widać było, że trafiłem z tą uwagą. Podał aluminiowy garnek i kazał lać spirytus. Miałem napić się pierwszy, wypilem nieznaczną ilość i podałem mu garnek. On łyknął kilkakrotnie dość ostrożnie i po kilku sekundach powiedział, że nie ma u niego żadnej przekąski. Wyjąłem wtedy z torby słoninę i podałem mu. Obracał ją, oglądając. Zwrócił się do mnie, mówiąc, że jest gruba, potem odkroił dość szeroki kawałek i począł jeść. Po kolejnych minutach rozmowy już sam nalewał sobie spirytus i dość ostrożnie łykał. Po około 20 minutach poszliśmy na stację kolejową, gdzie wywołał naczelnika stacji. Ten rozkazał wartownikowi stojącemu przed biurem, żeby poszedł ze mną do pociągu. Mieliśmy szukać mojej żony i dziecka. Podeszliśmy do pociągu, zmarznięty strażnik polecił mi rozpocząć poszukiwania, a sam stanął obok pierwszego wagonu, osłaniającego go od wiatru. Zacząłem szukać, chodząc od wagonu do wagonu, stukając w każdy i pytając: „Czy jest w tym wagonie Maria Jagielicz?”. Obstukałem wszystkie wagony i nikt się nie odezwał. Przy wejściu na stację stał szwagier Stanisław, czekając zniecierpliwiony na rezultat moich starań. Dopiero on wskazał, w którym mniej więcej wagonie mogą być, gdyż parę razy dostarczał im żywność. Odkręciłem druty z drzwi,

otworzyłem je i wszedłem do środka. Wszyscy zaczęli prosić, abym ich uratował i uczynił wszystko, by mogli wyjść z wagonu. Teściowie płakali i prosili: „Wojtek, Wojtek ratuj nas, ratuj, bo zginiemy, ratuj, bo zamarzniemy.” Zwróciłem się do nich i do szwagrów, że teraz będę próbował ich uwolnić, wiedząc doskonale, że nie byłem w stanie im pomóc. Żona z dzieckiem była umieszczona na pryczy przy ścianie wagonu. Była tak zmarznięta i zaskoczona moją obecnością, że prawie nic nie mówiła. Włazłem na pryczę, chcąc zabrać dziecko otulone w jakieś lachmany. Nie mogłem jednak go podnieść. Okazało się, że okrycie maleństwa było przymarznione do ściany wagonu.. Oderwałem je i zniosłem na dół. Pożegnałem się z teściami i szwagrami, wyszliśmy z żoną z wagonu na zewnątrz, do sań. Usiedliśmy i szybko ruszyliśmy do domu szwagra w Iłrowicy. Wspomnę także, że w obawie przed niechybną śmiercią dziecka, jeszcze w wagonie postanowiono ochrzcić je wodą. Dziewczynka dostała imię Hela, a jej matką chrzestną została Maria Tracz, sąsiadka Szczęchów z Korczunku. Ojcem chrzestnym był Jan, brat Marii, a mój szwagier. Oboje chrzestni przeżyli zesłanie na Sybirze. W marcu lub kwietniu 1940 roku, w czasie gdy ciocia Maria z dzieckiem przebywały u nas, postanowiono małą Helenę ochrzcić w kościele. Teraz chrzestną została Stefania Białowas (córka Sylwestra), a chrzestnym był mój szwagier Stefan Grabas (mąż siostry Stanisławy).

Deportowani w lutym 1940 r. na Sybir, jeżeli przeżyli podróż, lżej znosili mrozy występujące na zesłaniu, od wysiedlonych w późniejszych terminach, gdyż byli lepiej przygotowani. W miarę możliwości zabierali przecież z domów więcej odzieży zimowej.

Te i inne wspomnienia przekazał mi w latach dziewięćdziesiątych mój wujek Wojciech Jagielicz.”

Po umowie Sikorski–Majski

Los moich dziadków Anieli i Michała Szczęchów oraz wujków Jana i Franciszka po wywózce był ciężki i tragiczny. Wywieziono ich na daleką Syberię do Komi ASSR. Pracowali ciężko i biedowali. Po rozpoczęciu wojny sowiecko-niemieckiej w czerwcu 1941 r. i zawarciu umowy Sikorski–Majski ogłoszono „amnestię” dla Polaków. Wszystkim zesłanym przebaczone „zbrodnie”, dano wolność i pozwolono jechać w odległe azjatyckie tereny do tworzącej się tam Armii Polskiej.

Dziadkowie i wujkowie postanowili dostać się do Uzbekistanu. Wyjechali saniami do najbliższej stacji kolejowej. Podróż trwała kilka dni. Podobnie postąpiło wiele polskich rodzin. Potem czekała ich kilkudniowa podróż pociągiem. Wtedy właśnie zmarł dziadek Michał Szczęch. Ciało jego zostawili na najbliższym postoju. Dzisiaj nie wiemy, na czyjej ziemi i w jakim kraju zmarł. Rodzina straciła także Franciszka. Kiedy skład zatrzymał się na jednej z większych stacji, pasażerowie dowiedzieli się od kierownictwa pociągu, że zapowiada się dłuższy postój, więc można wysiąść, kupić chleb i zaopatrzyć się w wodę. Wielu Polaków wysiadło, wśród nich był wujek Franciszek Szczęch. Wysiadali przeważnie młodzi ludzie. Udawali się oni do punktów sprzedaży poza stacją. Kiedy znaleźli się w dużej odległości od torów, pociąg nagle bez zapowiedzi odjechał. Wielu zostało rozłączonych z rodziną. Okazało się, że w punktach sprzedaży nie było nic. Wycieńczeni kilkudniową podróżą, bez jedzenia i picia, po kilku dniach wszyscy poumierali.

Parę dni potem jechał tą trasą następny pociąg z Polakami w kierunku Uzbekistanu. Jechała nim Maria Tracz, pierwsza chrzestna maleńkiej Heli Jagielewicz. Pełniła ona w pociągu funkcję pielęgniarki. Wiedziała, że poprzedni pociąg zostawił wielu Polaków. Wiedziała też, że jechała w nim rodzina Szczęchów, mama Aniela z synami Janem i Franciszkiem. Wiedziała również, że Franek wysiadł z pociągu, pozostał na stacji i mógł już nie żyć. Do jej obowiązków należało między innymi zbieranie trupów leżących w miejscach publicznych. Zaczęła więc go szukać wśród zwłok, leżących warstwami, nago w jakimś pomieszczeniu obok stacji. Tam go znalazła.

W tym czasie Jan i mama jechali nadal do Uzbekistanu. W czasie podróży Jan uzgodnił z mamą, że wysiadzie z tego pociągu i pojedzie innym, aby szybciej dotrzeć do punktu tworzenia Armii Polskiej. Tak zrobił i kiedy mama dojechała na miejsce, on był już w mundurze wojskowym. Polscy żołnierze dzielili się swoimi głodowymi racjami dziennymi z ludnością cywilną. Aniela, mama wujka Jana a moja babcia była już w podeszłym wieku. Była wycieńczona ciężką pracą w lesie na Sybirze oraz długą i trudną podróżą. Kiedy zjadła posiłek otrzymany w kuchni wojskowej, ciężko zachorowała i po paru dniach zmarła. Pochowana została na ziemi Uzbekistanu. Jej syn Jan zorganizował pogrzeb w warunkach, jakie tam panowały. Zmarłą chował polski ksiądz.

Jan Szczęch po przeszkoleniu wojskowym przeszedł szlak bojowy z Armią Andersa. Przez Persję do Włoch. Walczył pod Monte Cassino. Po wojnie ożenił się z Włoszką, a po latach wyemigrował do Argentyny.

Ucieczka z wagonu

W jednym z wagonów w Hłuboczku była umieszczona rodzina Adamarczuków. Byli to Piotr z żoną Weroniką oraz ich dzieci: Jan, Helena, Władysław, Tadeusz i Kazimierz. Z Hłuboczka Wielkiego pociąg z deportowanymi na Sybir wyjechał po północy 12 lutego 1940 r. W wagonach jechały też zabrane z Korczunku rodziny Szubrów, Bielawskich i innych. Pociąg ruszył, a w wagonie Adamarczuków trwała narada, jak ocalić przynajmniej najstarsze rodzeństwo. Ustalono, że Jan urodzony w 1919 roku i trzy lata młodsza Helena będą próbowali uratować się od wywózki na Sybir. Mieli wyskoczyć z wagonu. W tym celu oddrutowano okno i przygotowano tobołki. Postanowili wyskoczyć na stacji kolejowej Maksymówka koło Zbaraża, gdyż pociągi zawsze zwalniały tam bieg. Tak też zrobili. Sprzyjało im to, że była noc i wokół leżało dużo śniegu. Kiedy pociąg odjechał, podnieśli się ze śniegu, pozbiali tobołki i poszli do swojego stryja, który mieszkał w Czaharak niedaleko Maksymówki. Tam dano im posiłek i przenocowano, chociaż stryjowi i stryjence nie podobało się, że uciekli z transportu. Na drugi dzień rano stryjek wyszedł z domu. Wrócił po jakimś czasie w towarzystwie NKWD. Aresztowano ich i zawieziono do aresztu w Zbarażu. Okazało się, że stryjek był zwolennikiem ideologii komunistycznej. Rodzeństwo po paru dniach pobytu w areszcie odesłano do Tarnopola, do pociągu zbiorowego wyruszającego na Sybir. Oboje znaleźli się w zimnym wagonie. Wtedy Helena zachorowała, straciła przytomność i dostała wysokiej temperatury.

Kierownictwo pociągu postanowiło odesłać ją pod eskortą żołnierza do szpitala w Tarnopolu. Mój ojciec Stanisław dowiedział się przypadkowo o jej pobycie w tarnopolskim szpitalu. Helena Adamarczuk była kuzynką mojej mamy Rozalii, a także kuzynką Marii Jagielicz, wspominatej już niedoszłej Sybiraczki. Ojciec natychmiast pojechał sałmami do szpitala. Rozmawiał z panią doktor - Polką, która rozumiała sytuację pacjentki i dlatego wydała zaświadczenie dla NKWD mówiące, że Helena Adamarczuk jest nieuleczalnie

chora na tyfus. Pozwoliło to pozbyć się opiekuna z NKWD. W następnym dniu ojciec z księdzem Stanisławem Szczapankiewiczem przybyli sańmi do szpitala. Ksiądz znał tamtejszych lekarzy, więc udało mu się uzyskać zgodę na zabranie chorej do domu, czyli do nas. W szpitalu nie było odpowiednich lekarstw na tak ciężką chorobę, ponadto miałyby lepszą opiekę i codzienne wizyty księdza znanego z tego, że leczył ludzi ziołami.

Chorą Helenę owinięto w pierzynę i przywieziono sańmi do naszego domu. Następnego dnia przyjechało z Tarnopola dwóch lekarzy, którzy radzili jaką metodą leczyć chorą. Ksiądz Stanisław Szczapankiewicz przekonał lekarzy z Tarnopola, że w warunkach domowych można stosować tylko owijanie chorej prześcieradłem, moczonym w zimnej wodzie. Tak też postępowano. W pokoju, w którym leżała Helena postawiono balie z zimną wodą, w niej moczone prześcieradło z surowego płótna i co dwie godziny owijano nim chorą. Ojciec co kilka dni przywoził z Tarnopola dwóch lekarzy i księdza Stanisława. Obserwowali, czy są postępy w leczeniu. Helena majaczyła w gorączce i nic nie pamiętała. Opatrzność czuwała jednak nad chorą i powoli temperatura zaczęła się obniżać. Przy zmianie prześcieradeł była tak gęsta para, że ściany w pokoju stawały się zupełnie mokre. W czasie przewijania Heleny, nas dzieci wypraszano z pokoju, gdyż była wówczas zupełnie naga. Leczenie taką metodą po około sześciu tygodniach zaczęło dawać efekty. Temperatura ciała obniżała się. Powracała świadomość, chora czuła się coraz lepiej.

W naszym domu były dwa pokoje oraz tzw. wańkisz, czyli mała kuchnia. Chora leżała w większym pokoju. W tym czasie nasza rodzina składała się z dziewięciu osób: 81-letniej babci (mamy ojca), ojca i mamy, siostry oraz szwagra Stefana Grabasa, ich trzymiesięcznej córeczki i nas, trzech braci. Dodatkowo 12 lutego 1940 r. przywieziono do naszego domu ciocię Marię, siostrę mamy, z małą jedenastodniową córeczką Helą. Udało się je wyrwać z pociągu przygotowanego do wyjazdu na Sybir. Było nas w sumie 12 osób, w tym ciężko chora na tyfus. Dodatkowo przez około dwa i pół miesiąca Wojciech Jagielicz, mąż i ojciec niedoszłych Sybiraczek, nocował u nas w soboty i niektóre niedziele. Jedną lub dwie noce. Pracował bowiem w Zbarażu jako kierowca w Urzędzie Rejonowym. W pokoju, w którym leżała chora Helena, spali rodzice i nie pamiętam kto jeszcze. Mimo to nikt z rodziny nie zaraził się, nie zachorowała też Maria Jagielicz z małą Helą.

Żeby uratować życie cioci Heleny, trzeba było pokonać ciasnotę, brak wygód, ciężkie mrozy, brak podstawowych lekarstw i opatrunków oraz strach przed wywózką na Sybir i przed prześladowaniami. Dla moich rodziców była to gehenna. Pod koniec kwietnia Wojciech Jagielicz zabrał od nas żonę Marię z dzieckiem do swojej kwatery w Zbarażu. Helena Adamarczuk jeszcze przez parę tygodni musiała przechodzić rekonwalescencję. Kiedy w kwietniu spacerowała po ogrodzie, zaczęła ją śledzić ukraińska milicja. Trzeba tu dodać, że Polacy nie służyli w milicji, nie piastowali też żadnych stanowisk w administracji. Spodziewano się więc, że niedługo mogą po nią przyjść. Przeczucia były uzasadnione. Pewnej nocy w maju przyszła milicja z żołnierzem sowieckim. Stukali do drzwi i krzyczeli: otwierać, otwierać. Babcia podeszła do drzwi i zapytała, czego chcą. Odpowiedzieli, że chcą wiedzieć, czy jest tu Helena Adamarczuk. Odeszli, kiedy usłyszeli, że jej nie ma, gdyż wyjechała do rodziny w Zbarażu. Okno w pokoju, w którym spała Helena, było ciągle niedomknięte. Znajdowało się od strony stodoły i ogrodu. Po pierwszym stukaniu do drzwi, poszukiwana szybko ubrała się, wyskoczyła przez okno i ukryła w ogrodzie.

Dom nasz był stale obserwowany przez milicję i aktyw proletariacki. Helena musiała przez większą część dnia ukrywać się w ogrodzie lub stodole tak, aby jej nie zauważono. Wychodziła z domu, gdy miała pewność, że nikt jej nie śledzi. Wizyt milicji w nocy było jeszcze kilka, a odpowiedzi babci były wciąż takie same. Za każdym razem Helena wyskakiwała przez okno i ukrywała się w stodole bądź w ogrodzie.

Przez cały maj i czerwiec wywożono ją furmanką lub wierzchem na koniu do zaufanych Polaków, mieszkających na obrzeżach lub poza gęstą zabudową wsi. Przebywała u nich przez parę dni, potem musiała zmieniać miejsce, gdyż gospodarze bali się ukrywać ją dłużej z powodu ciągłego penetrowania niektórych polskich rodzin. W lipcu lub sierpniu dostrzeżono ją, kiedy ze szwagrem Grabasem wiozła do domu drabiniastym wozem snopki z pola. Była ukryta pod snopkami, ale milicjanci, stojący w oknie drugiego piętra Domu Ludowego (Silrady), zauważyli ją. Całe szczęście, że szwagier S. Grabas także zwrócił uwagę na zainteresowanie milicjantów i szybko zajechał do domu, prosto do otwartej stodoły. Helena zeskoczyła z wozu i ukryła się w ogrodzie. Chwilę potem przybyli milicjanci. Na pytanie, gdzie jest Helena Adamarczuk, Grabas odpowiedział

im, że jej tu w ogóle nie było. Zdenerwowani milicjanci przeszukali stodołę, budynki gospodarcze i przeklinając odeszli. Poszukiwana coraz częściej nie nocowała w domu, noce spędzała w ogrodzie, stodole i innych miejscach w gospodarstwie. Wokół nas mieszkali Ukraińcy w większości wrogo nastawieni do Polaków.

W takiej sytuacji ojciec po rozmowie z Heleną Adamarczuk uzgodnił, że zawiadomią Wojciecha Jagielicza w Zbarażu, aby przyjechał w pilnej sprawie. Kilka dni potem przyjechał Jagielicz i dowiedział się, że Helena jest w niebezpieczeństwie, że coraz częściej poszukuje ją ukraińska milicja. Chcą ją pojmać i oddać w ręce NKWD, która wysłałaby ją na Sybir. Postanowiono, że zabierze on Helenę do swoich znajomych i niektórych krewnych w powiecie zbarskim. Przez pół roku przewoził Helenę od jednego do drugiego znajomego, od krewnego do krewnego, z wioski do wioski. Było tak do czerwca 1941 roku, kiedy Niemcy rozpoczęli wojnę z Sowietami i wkroczyli na zajęte przez nich tereny.

Należy wspomnieć, że Wojciech Jagielicz w dalszym ciągu był kierowcą Teodora Reca, Naczelnika Rejonowego (powiatowego) w Zbarażu, miał więc możliwość przewożenia Heleny do nowych miejsc chwilowego pomieszkania. W tym okupacyjnym czasie solidarność Polaków była bardzo duża i pomagali sobie nawzajem w trudnych sytuacjach.

Helena Adamarczuk, po wkroczeniu Niemców w czerwcu 1941 roku na Kresy Wschodnie mogła jawnie i oficjalnie zająć swoją ojcowiznę, gospodarkę rodziców opuszczoną 10 lutego 1940 r. Budynki w jakiś cudowny sposób ocalały, chociaż były dość zdezastrowane. Jeszcze przez wiele miesięcy przebywała u nas, a ojciec remontował jej dom do stanu względnego zamieszkania.

Skojarzono Helenę z Emilem Frydlem. Już w sierpniu 1943 roku odbył się ślub i skromne wesele. Wtedy również małżonkowie zamieszkali w jej domu.

Piotr, ojciec Heleny, zmarł w 1943 r. na Sybirze. Pozostali członkowie rodziny po wejściu w życie porozumienia Sikorski-Majski przez Teheran dostali się do Anglii, a następnie do Kanady i USA. Rodzina Emila Frydla razem z innymi rodzinami z Korczunku, w ramach przesiedlenia ludności polskiej z Kresów Wschodnich, osiedliły się zimą (luty) 1945 r. w Parypsach koło Chełma. Tylko dwie rodziny tj. Władysława Kamińskiego i Oleksego Szurhaja pozostały na stałe w Parypsach. Pozostali po półtorarocznym

pobycie wyjechali na zachód i dotarli na ziemię niemodlińską. Wspomnę jeszcze, że Helena Frydel w 1956 roku odwiedziła swoją rodzinę w Anglii. Spotkała się z matką i rodzeństwem. Miesiąc po powrocie z Anglii zmarła. Lekarze podejrzewali, że chorowała na białaczkę. Wcześniej, w 1940 r. ciężko chorowała, lecz na polskiej ziemi wyzdrowiała.

Ale tam, na Sybirze, na nieludzkiej ziemi tysiące ludzi umierało na inny rodzaj choroby. Nazywała się ona „Czerwona zaraza”.

Spośród wszystkich bohaterów tego artykułu żyje jeszcze niedoszła Sybiraczka (niemowlę) Helena, która jest zdrowa i zadowolona z życia. Żyjemy również my, trzej bracia, obserwatorzy tych wydarzeń.

Niewyobrażalny głód, mróz i tęsknota za Polską

Janina Złotnicka, z domu Górniak, przeszła piekło syberyjskiej zsyłki. Zaznała wraz z całą rodziną głodu, biedy i choroby. Wszystkich trzymała przy życiu tęsknota za krajem i nadzieja na powrót do niego.



Rodzina Górniaków w Białogórze w 1930 r.

1 września 1939 r. Wojna! W pierwszej chwili nie rozumiałam, co to znaczy, byłam zbyt mała. Dopiero kilka dni później ogłoszono mobilizację i usłyszałam rozmowę mojej siostry Broni z Irką Musialik, która mówiła, że „pewnie ojca wezmą”. Poczułam pierwszy skurcz serca, który pamiętam do dziś. Tatus! Tatusia zabiorą! Trzymałam się ojca. Na początku chodził tylko na nocne warty. Kiedyś usłyszałam jak mówił do mamy: „Coś się dzieje niedobrego, bardzo dużo aut jedzie w stronę Zaleszczyk, prawie w każdym jakiś oficer i wciąż trzeba salutować”.



Budowa studni w Białozórce lata dwudzieste XX w.

Rano 17 września przybiegła wystraszona sąsiadka. Stukała do domu i krzyczała: „Wstawajcie! Strzelają!” Rzeczywiście, strzelali z samolotów. Czyżby Niemcy?

Mama zapędziła nas do piwnicy, ale tatuś zdecydował, że trzeba chować się w jamie po wybranym w naszym ogrodzie kamieniu. Nowy dom bowiem kryty był blachą i stanowił dobry cel. Tam zastaliśmy już kilkunastu naszych sąsiadów. Siedzieliśmy w tej jamie do południa. Nie mogliśmy wyjść. Ze wszystkich stron na przełaj przez pola jechały czołgi. Jeden zepsuł się naprzeciw wyjścia z jamy. Już wiedzieliśmy – Sowietci! Koło południa przejechali. Później pojechali już drogami. Nie byliśmy na mszy, więc z innymi dziećmi pobiegliśmy na nieszpory. Niestety, kościół był zamknięty. Na drogach pełno było sowieckiego wojska. Ukraińskie

dziewczęta wychodziły do nich z chlebem i solą. A na wschód już wiezli jeńców, polskich chłopców, naszych znajomych ze „Strzelca” (przedwojenna polska organizacja młodzieżowa o charakterze patriotycznym) i innych. Gdy auta grzęzły w błocie, ci chłopcy pod lufami karabinów pchali je. Zabili pana Pawlickiego, który był na warcie. Byłam przerażona.

Zaczynała się nauka, powinnam była iść do szóstej klasy. Ale szkoła już nie była ta. Nauczyciele byli zastraszeni, a kierownikiem został Jurczenko, dawny nauczyciel ruskiego. Dzieci polskie szykanowano. Chodziłam do szkoły tylko dwa tygodnie. Ruscy na zebraniach szczuli na Polaków, mówili, że przyszli wybawić Ukraińców z pańskiej niewoli. A Ukraińcy wyli „riezat (wyrzynać) Polaków”. I te krzyki słyhać było długo w nocy. We dnie widać było na drogach kolumny jeńców i ludność uciekającą przed Niemcami pędzoną w głąb Rosji. Ludzie wynosili jakieś wiktuały dla pędzonych, czasem udało się coś im ukradkiem podać, bo jak złapano przy tym kogoś, to włączano go do kolumny.

Zabrano nam cały inwentarz, zamknięto zboże. Do domu dokwaterowano szpiega, miał meldować o każdym naszym kroku. W którąś niedzielę zrobiono rewizję w domu i zabrano mięso z ubitej przed paroma dniami świni. Kiedyś enkawudzista pokazał ojcu jakąś sprężynkę i kazał mu oddać broń, którą już wcześniej zabrali. Groził rozstrzelaniem.

Tatule pracował w gminie. Jak Ukraińcy przejęli urząd, nie orientując się w papierach, każdego dnia nawet po kilka razy przychodzili po ojca i prowadzili go pod lufami karabinów tam i z powrotem. Przyjeżdżali też na naszym ukochanym dwuletnim żrebaku.

Któregoś dnia aresztowali wszystkich mężczyzn z osady i zamknęli w dworskim magazynie. Urządzili tam „sąd”. Spędzili Ukraińców, wyprowadzali uwięzionych pojedynczo i pytali: „Co wam ten człowiek winien?” „Winnych” wywieźli do Krzemieńca. Niektórzy nigdy już nie wrócili. Ojca wypuścili. Cały czas wyganiał nas z domu. Kto z osadników miał dokąd – wyjeżdżał. Rodzice pochodzili z rzeszowskiego, ale to było za granicą, zaczęli więc myśleć, jak się tam przedostać. Pozwolono nam zabrać wóz, konie i jedną krowę. Ale była zima, nie było czym je paść. Było nas czworo dzieci, rodzice, babcia i wujek. Jak się zabrać? Co wziąć na wóz – paszę dla zwierząt czy jedzenie dla nas. Mama była w siódmym miesiącu ciąży. Kogo wsadzić na wóz - mamę, dzieci czy osiem-

dziesięciopięcioletnią babcię? A do Rzeszowa daleko. Jak przejść granicę taką gromadką? Natomiast tu zostać nie mogliśmy.

Pewnego dnia przyszedł do nas brat naszego służącego Iwana - Mikołaj z sąsiedniej wsi i powiedział: „Pane chodite do mene”. Człowiek najbiedniejszy z całej wsi. W małej chatce jednoizbowej było ich pięcioro. A nas ośmioro. Innego wyjścia nie mieliśmy. Tatusz poszedł z nim od razu, bo już nie mógł znieść ciągłych naigrywań i aresztowań, po których nie wiadomo, czy wróci. My dopiero po kilku dniach. Jeszcze ukradliśmy trochę paszy dla konia z własnych zbiorów, bo nic już nam nie można było wziąć.

W dzień moich urodzin 10 listopada wyjechalśmy do Szczasnówki oddalonej o 7 km. Trzeba było jakoś przetrwać zimę, poczekać na narodziny dziecka i na zazielenienie się trawy, aby nie brać paszy dla konia. Uznaliśmy, że jak trochę się ociepli, będziemy szukać jakiegoś miejsca dla siebie. Może uda się dostać w rzeszowskie? Tymczasem wegetowaliśmy w małej izdebce w trzynaście osób. W tym jednym pomieszczeniu gotowało się, jadło i spało, a dodatkowo czterech mężczyzn kopciło papierosy. Babcia nie wstawiała z łóżka. Nasze rzeczy nie mieściły się, więc zaszyte w worki zostały rozlokowane na strychach sąsiadów. Pod ręką pozostały tylko te najpotrzebniejsze.

W takich warunkach, w ścisku 22 stycznia 1940 r. mama urodziła Władzia. Ochrzcili go zaraz, choć był mróz i trzeba było jechać do Koszłak. Pani proszona na chrzestną nie przyjechała. Wzięli więc obcą kobietę. O świcie 10 lutego 1940 r. obudzeni waleniem w drzwi zobaczyliśmy kilku Ukraińców i ruskiego żołnierza z karabinem. Odczytali nam rozkaz wysiedlenia. „My was nie wysilajem tolko presilajem” – co za różnica? Kazali nam ubierać się i wychodzić na podwórko, gdzie czekała furmanka. Zobaczyłam ojca z rękami w górze, a Ruskiego celującego w niego z karabinu. Widziałam to już drugi raz. Narobiłam krzyku, wyrzucili mnie bosą na śnieg, a za mną ubranie i buty. Wyrzucili też pościel i co tam było z ubrań pod ręką. Na strych po inne nasze rzeczy wejść nie pozwolili. Mama wyszła w jednej sukience z dzieckiem w poduszce. Bez jednej pieluchy. Wujek wpadł do komórki, złapał bochenek chleba i dzbanek ze smalcem. Dostał za to kolbą po plecach. Najgorsze, że zabrali też naszych gospodarzy, pewnie za to, że nas przygarnęli. Zawieźli nas pod szkołę, tam już byli inni, jak my nieszczęśliwcy. Okazało się, że naszych gospodarzy zabrali tylko po to, by w czasie

ich nieobecności zrabować nasze rzeczy. Nas powieźli w 30-stopniowy mróz 20 km do Podwołoczysk. Wieczorem załadowano nas do towarowych wagonów. W naszym wagonie było 50 osób w różnym wieku. Mieliliśmy okrągły piecyk z rurą, troszkę węgla i ani kawałka drewna. Kilka prycz i wycięta dziura w podłodze, nie osłonięta, to ustęp. Jeden znajomy wrzucił nam do wagonu trochę kaszy i dwa garnki. Zamknęli wagon na glucho. Nie było ani kropli wody, więc zlizując szron z metalowych elementów wagonu zdarliśmy sobie skórę z języków. Jeszcze słyszę ten zbiorowy krzyk – wody, wody! Po dwóch dniach ruszyliśmy i rozległ się śpiew „Pod Twą obronę...”

Pierwszy raz drzwi otworzyli po dłuższym czasie. Wypędzili po dwie osoby z wagonu z obstawą konwojenta, po zupę i wodę – jak kto ma w co wziąć. Żołnierze z karabinami stali wzdłuż pociągu, nikomu z miejscowych ludzi nie pozwolili podejść. W wagonie było kilkoro malutkich dzieci. Mamie pożyczono nocniczek z zimną wodą, w której mama moczyła szmatkę i przy otwartych drzwiach wagonu wyciera malutkiego Władzia. Tak trzeba było, bo gdyby pociąg ruszył, to i tę odrobinę wody wychłapałby. Pieluchy dla dziecka mama zrobiła ze swych majtek rozerwanych na czworo. Pieluch nie było jak wyprać, suszyła je ukradkiem przy piecyku. W czasie długiej jazdy nie widzieliśmy nic, drzwi były zaryglowane, a malutkie okienko znajdowało się pod sufitem. Doczepiono drugą lokomotywę, ludzie domyślili się, że jechaliśmy przez góry. Wszyscy byli już bardzo zmęczeni, dzieci ułożone na górnych półkach siedziały bez ruchu i pischczały.

Po trzech tygodniach takiej jazdy wyrzucili nas z wagonów na śnieg. Stacja Turyńsk. Zapakowano nas do baraków z trzypiętrowymi narami. Zmarłego w naszym wagonie człowieka pochowano w śniegu. Po trzech dniach załadowano nas na otwarte ciężarówki, które poruszane były za pomocą spalanych kwadracików drewna. Siedzieliśmy na tych kwadracikach, które okropnie gniotły, a zimno było niemożliwe. Wiatr gwizdał ze wszystkich stron. Ratowały nas pierzyny. Wreszcie koniec drogi. Dalej pojechaliśmy jednokonnymi saniami przez tajgę. Do wszystkich saní było dwóch woźniców na początku i na końcu konwoju. Sanie były trzyosobowe, więc jechały w nich dzieci, starcy, chorzy i kobiety. Mężczyźni i młodzież szli pieszo. Zboczyć z udeptanego szlaku nie można było, bo zapadało się w śniegu i można było tam zostać na zawsze. Siedzia-

łam na saniach z mamą, chorym Stasiem i Władusiem, który ciągle płakał i nie chciał ssać piersi. Mama nie wytrzymała, podniosła się z zamiarem rzucenia się w śnieg razem z dzieckiem. Złapałam ją za płaszcz z krzykiem, upadła na sanie bezsilna, z ogromnym płaczem. Na szczęście zarządzono postój w jakiejś wsi. W jakimś domu dzieciom dano po kilka łyków mleka. Tatuś otulił mamę razem z dzieckiem pierzyną, obwiązał sznurami, a ja już dalej poszłam piechotą.

10 marca znaleźliśmy się w posiołku Ozierki. Nie pamiętam, jak tam weszliśmy, widocznie byłam zbyt zmęczona. Przydzielono nas do drewnianego dwuizbowego domku. Każda izba miała powierzchnię 5x3 m i mieszkała w niej jedna rodzina. Na obie izby był piecyk – tzw. koza, ale przez szpary wiatr nawiewał śnieg. Na ulicy leżały ogromne kłody drzewa. Tatuś pożyczył siekierę i piłę, napalił w piecu, przyniósł wiązkę słomy i wyścielił legowisko na



Polacy na Syberii.

podłodze, bo w domkach nie było żadnego sprzętu. Wtedy zobaczyliśmy całą naszą nędzę. Wszystko, co mieliśmy było brudne i przemarznięte. Babcia staruszka, mama z małym dzieckiem, tatuś chory na zapalenie płuc, siostry przeziębione, Staś z buzią pełną wrzodów niezdolny nic przełknąć. Jedna rozpacz. Gnieźdzymy się na tym barłogu, dobrze choć, że mieliśmy pierzyny. Tatuś jeszcze przeszedł czerwonkę, ale ledwie wstał już go zabrali do wyrębu drzewa w tajdze, 20 km od nas. Był przymus pracy, ale też konieczność

zarobienia na jakieś pożywienie. Mieliśmy przydział na 1 kg chleba dla pracującego i 0,5 kg dla niepracującego, po troszku kaszy jęczmiennej i owsianej oraz oleju i soli. To jednak trzeba było wykupić. Do pracy w tajdze zabrano kolejno Marysię i 14-letnią Bronię. Od czerwca i ja pracowałam w dziecięcej brygadzie polowej. Pieliliśmy chwasty, sadziliśmy ziemniaki. Nawet Staś musiał pracować, bo uważano, że „kto nie pracuje, ten nie je”. Mama, chcąc wszystko doprowadzić do porządku, prała w zimnej wodzie, gotowała ług, służący za mydło, rozgrzanym prętem czyściła z wszy szwy w ubraniach, zajmowała się małym dzieckiem i babcią staruszką. Wreszcie zachorowała (spuchnięta i granatowa od nóg do pasa). Lekarza nie było. Weterynarz Pikuła – Rosjanin, też skazany machnął nad mamą ręką, a Władziowi przepisał na receptę 0,5 l mleka, które też nie zawsze można było dostać. Mleko było dla prosiąt, nie dla polskich dzieci.



Polacy na Syberii.

Posiłek został zbudowany przez wywiezionych tu Białorusinów, po których już nawet cmentarza nie ma, ale żyją jeszcze ich psy. W tajdze wykarczowali polanę i zbudowali pięć ulic, a na każdej po osiem domków. Na każdej ulicy była studnia z żurawiem i drewnianym wiadrem. Była też rzeka Wołczemia, którą spławia-

ło się drewno. Posiołek zbudowany był na pagórku oddalonym od Turyńska 150 km, a od Świerdłowska 300 km. W centrum była kantora, czyli urząd. Była też szkoła, przedszkole, sklep, piekarnia, a u wjazdu budynki gospodarcze sowchozu. Na karczowiskach wokół posiołka wiosną, czyli w końcu maja, siało się owies, jęczmień oraz sadziło buraki. Uprawiało się też kapustę i trochę marchwi. Marchew była rarytasem i lekiem na kurzą ślepotę, wydawanym na receptę.

Uprawy to zajęcie dla kobiet, podobnie jak zbieranie siana po leśnych polanach dla znajdujących się w sowchozie kilku krów, świń i koni. Wiosna, lato i jesień trwały tam od połowy maja do września. We wrześniu często już po śniegu znosiliśmy snopy z pól.

Tego lata Marysia przy koszeniu trawy uderzyła się w nogę i długo nie mogła chodzić, a babcia zachorowała na zapalenie płuc. Mama, sama jeszcze słaba po chorobie, zajęła się nimi, a lekarstw nie było żadnych. Pod wpływem ciepła obudziły się ukryte w ścianach pluskwy, które nie dawały się wyspać. Było ich mrowie, a zabite okropnie śmierdziały. Na domiar złego atakowały nas w ciepłej porze całe stada komarów. Ludzie chodzili w siatkach i okadzali się dymem, ale niewiele to pomagało. Były jeszcze inne plagi: gzy w dni słoneczne i meszki w pochmurne dni i noce, przed którymi nie chroniła nawet siatka, a często po ugryzieniu ludzie puchli. Jak się przed tym wszystkim bronić? Jak pracować?

Babcia po zapaleniu płuc już się nie podniosła. Nie mogła jeść. Dobijała ją tęsknota za krajem i żal, że ma tu umierać, w obcej ziemi i bez świętych sakramentów. Mama ją pocieszała. Wreszcie babcia powiedziała: „Trudno, niech już tak będzie, ale jak umrę to będę bardzo Pana Jezusa prosić, żebyście wy wrócili do Polski i nie musieli umierać bez świętych sakramentów.” Wciąż wierzę, że to jej orędownictwo pozwoliło nam wrócić.

1 września została otwarta czteroklasowa szkoła. Były dwie nauczycielki i jeden rosyjski chłopiec Kola Machin. Całe naczalstwo stanowili Rosjanie, też zresztą skazani za jakieś przewinienia partyjne. Mało który miał żonę, to i dzieci nie było. Ogłosili, że które dziecko nie idzie do szkoły, musi pracować. Spora grupka dzieci, które pokończyły już piątą, szóstą i siódmą klasę zapisała się do czwartej, bo wyższej nie było. Nauczanie odbywało się tylko po rosyjsku. Zaczęliśmy więc uczyć się rosyjskiego od podstaw. Nauczycielka pożyczała mi rosyjskie książki i uczyłam się z nich czytać, a zarazem mówić. W rezultacie skończyłam czwartą klasę

z listem pochwalnym, przed Kolą Muchinem. Zeszytów nie było, pisaliśmy więc na odwrotnej stronie starych rachunków, a w domu na korze brzozej. Starsze dzieci, które pokończyły klasy od piątej do siódmej, bojkutowały naukę, bo często wiedziały więcej niż nauczycielki. Tym bardziej, gdy mówiono nam, że „Polski nie ma i już nie będzie. Boga też nie ma. Czerwona Armia wyzwoliła was z pańskiej niewoli, a dobry batiuszka Stalin pozwolił żyć w sowieckim kraju.” Dzieci wychowane w polskiej szkole buntowały się i udowadniały swoje racje. Nie mieściło im się w głowach, że Rosjanie głoszą wolność wszystkim narodom, a co robią z nami? Za co nas wywieziono? Za co skrzywdzono? Nasila się choroba – tęsknoty za krajem.

Na Oktiabrską Rewolucję (Rewolucję Październikową) nauczycielki przygotowały w szkole występy. Udział dzieci był obowiązkowy i rodziców też. Przyszło naczalstwo z naczelnikiem Sztierychowem. Na zakończenie Staszek Mucha miał zagrać polkę. I zagrał! Jeszcze Polska nie zginęła! Może by się nie połapali, Staszek grał świetnie, ale wszyscy Polacy wzruszeni wstali. Rozległ się krzyk: „Rozejść się!” Ale jak nas to podniosło na duchu...

W październiku uciekł z posiołka nasz wujek z panem Pelcem, ale ta ucieczka nie mogła się powieść. Złapano ich, ale uszli 300 km. Do posiołka już nie wrócili, zesłano ich do lagrów na Białe Morze.

Przed Bożym Narodzeniem poszłam z chłopcami z sąsiedztwa do lasu po choinkę. Mróz 35 stopni, przy każdym kroku zapadałam się w śnieg powyżej pasa. Dzięki chłopakom przywlekłam 4 m świerka, a w tajdze wydawał się taki malutki. Zrobiliśmy łańcuch z gazety i gwiazdkę z okładki zeszytu. Mama upiekła placek na płycie zamiast opłatka. Tatuś i Marysia przyszli, uprosili o ten dzień, bo tu świętuje się Nowy Rok, 1 Maja i Dzień Rewolucji. Dzieliliśmy się tym plackiem, jedliśmy zupę z chlebem i piliśmy herbatę z liści malin bez cukru. Ze łzami próbowaliśmy śpiewać kolędy. Jak dobrze było być choć jeden dzień razem.

Tatuś z Marysią przychodzili raz na dwa tygodnie. Pracowali przy ścinaniu drzew i układaniu tych wielkich bali w czworoboki, wiązanych na rogach. Ustawiało się je na pokrytej lodem rzece i na brzegach, by latem je spławiać. Czasem na przedwiośniu lód pękał i ludzie wpadali do lodowatej wody, wysuszyć się nie mieli gdzie, a przebrać nie mieli w co. Ubrania i buty były już zdarte. Tutejsi

chodzili w łapciach plecionych z lipowego łyka. Pracować trzeba było nawet przy 36-stopniowym mrozie. Na zewnątrz był termometr. Każdy wychodząc w nocy za potrzebą sprawdzał temperaturę, żeby wiedzieć, czy trzeba wstać o godz. 6.00 do pracy. Podświetlony szczapą termometr pękł, innego nie było, więc trzeba było iść do pracy bez względu na to czy jest 40, czy 50 stopni.

Tatusz po chorobach był słaby. Nie zawsze mógł wyrobić normę, co wpływało na zarobki i przydział chleba. Z zarobionych pieniędzy odciągano nam za przyjazd na Syberię. Koledzy ojca nie chcieli z nim pracować w jednej brygadzie. Mówili, że przez niego nie wyrabiali normy.

Tatusz przychodził, co dwa tygodnie. Przynosił oheblowany tam w barakach drążek (20 km). Powoli z tych drążków sklecił trzy łóżka i kołyskę dla Władzia, bo dotąd spał w pudełku. Zrobił też skrzynkę, która służyła nam za szafę i stół zarazem. Za krzesła służyły nam klocki z drewna. Mama prała w ługu zdarte ubrania ojca i naszywała łatę na łacie. Dawała ojcu trochę podprażanej mąki, żeby mógł gotować zupę grzybową, bo jedzenia wciąż było mało i coraz mniej.

Z babcią było coraz gorzej. 10 marca 1941 r. umarła. Marysia i tatuś przyszli, ale tata był przeziębiony. Pomogli nam Polacy. Jeden z nich zerwał kilka gontów z dachu domku i zrobił trumnę. Ziemia była zmarznięta. Trzy dni palili ogromne kłody, żeby ją rozmrozić i wykopać wąską jamę i dostać się do niezamarzniętej części. W tym samym czasie zmarła jeszcze jedna kobieta, więc pochowano je razem.

Nadeszła wiosna 1941 r. Babci nie było, Władysław miał 1,5 roku, więc mamę zaczął obowiązywać nakaz pracy. Pracowała

w polu od 6.00 rano do 12.00 i od 14.00 do późnej nocy. Na mnie spadł obowiązek opieki nad dzieckiem, ugotowanie jakiejś zupy, przyniesienie drzewa z lasu, praca w ogrodzie (mieliśmy przydzie-



*Pogrzeb babci Honoraty Stopińskiej
1941 r.*

lone po kawałku ziemi między domami). Była to cała nasza baza żywieniowa. Jak przychodziły paczki, to przysyłano w nich nasiona warzyw. Mama dostała trochę tych nasion, a z ziemniaków przez cały rok wykrawało się oczka, które przechowane w popiele w piwnicy posadzone wiosną dawały jakieś mydlaste plony.



Polacy na Syberii.

Wieczorami stałam w kolejce po chleb, czasem do drugiej w nocy. Z chlebem też było coraz gorzej. Przyjechało dużo Rosjan do pracy w lesie i oni brali chleb bez kolejki. Mała piekarnia nie nadążała i trzeba było czekać na następny wypiek.

W czerwcu 1941 r. Niemcy napadli na Rosję. Z żywnością znowu było gorzej. Ograniczono racje chleba i kaszy. Gdzieś w sierpniu wrócili Polacy z baraków (ci pracujący w tajdze). Ogłoszono amnestię po rozmowach generała Sikorskiego ze Stalinem. Zrównano nas w prawach z Rosjanami. Ludzie nadal pracowali w lesie, ale na noc wracali do rodzin. Już miał kto przywieźć drzewo z lasu i nocą znaleźć na polu jakiś snopek zboża, co było zabronione. Rano nie było żadnego śladu po zbożu.

W sierpniu doszły do nas wieści. Wzywano ochotników do wojska polskiego organizowanego przez gen. Sikorskiego i Andersa. Ta wieść porwała mężczyzn. Jeszcze ich widzę zebranych na centralnym placu posiołka. Zaśpiewali „Jeszcze Polska nie zginęła!” Padła komenda – baczność! Kierunek Polska! I poszli nędzni, obdarci, pieszo do stacji kolejowej. Niektórzy wrócili, wystraszyli się trudnej drogi. Tatuś napisał list, że dotarł do Tockoje, gdzie się ma organizować wojsko polskie. Na razie schodzili się ludzie z różnych stron i budowali sobie ziemianki. Był już tam nasz wujek i gotował ochotnikom zupę.

Zostaliśmy już tylko z mamą, ale trzymała nas nadzieja. Niektóre rodziny wyjeżdżały, nas nikt nie chciał wziąć, bo było nas sze-

ścioro, w tym małe dziecko. Mimo to mama czyniła przygotowania do wyjazdu. Tata w liście prosił, byśmy jeszcze trochę zostali, bo drogi były niepewne, ostra zima, a tam gdzie on był panował tyfus i czerwotka. Ludzie koczowali po stacjach, nikt się nimi nie zajmował. Miałyśmy czekać aż po nas przyjedzie. Czekaliśmy więc i wegetowaliśmy, podobnie jak inni.

W listopadzie przywieźli do posiołka, wywiezionych jak my, Niemców z Powołża. Byli to dawni koloniści znad Wołgi. Niektórzy nie znali już niemieckiego tylko nazwiska mieli niemieckie. Ale to był niepewny element. Mężczyzn osiedlono w barakach w tajdze. Była to tzw. „trudowaja armia”, my ich nazywaliśmy „trup-armia”, bo głodowali jeszcze gorzej niż my.

Do drugiej izby naszego domku przydzielono Niemki – matkę z córką. Mama dzieliła się z nimi czym mogła. Nawet w Ewangelii jest napisane: „Szlanka wody podana potrzebującemu stokrotnie się zwróci”. I się zwróciło. Pani Szulc, księgowa dostała pracę przy podziale kartek na chleb, bez którego nie da się przeżyć. Wymyśliła sposób. Po kartki miałam przychodzić ja i tylko podawać nazwisko, ona mówiła za mnie do komisji, która przyznawała te kartki. Mówiła więc – rodzina armiejca, matka i pięcioro dzieci, najmłodsze przy piersi. Komisja sądząc, że jestem najstarsza z dzieci, wydawała kartki należne dzieciom.

Pod koniec zimy przyjechał jeden z Polaków, który poszedł z naszym tatusiem. Z listu, który przywiózł wynikało, że tatuś przysłał żołnierza, żeby nas zabrał. Niestety, ten żołnierz podziwiany przez nas, przestraszył się ciężkiej drogi z dziećmi i nas nie zabrał.

Zostałyśmy. Skopałyśmy i zasiałyśmy ogród. Nadszedł czas odstawić Władzia od piersi. Miał 2,5 roku. Udało się zapisać go do przedszkola. Tam coś zjadł, ale kartkę na żywność trzeba było oddać całą. Nikt nie liczył się z tym, że dziecko po powrocie o godz. 16.00 też musi jeść. Mama pracowała w polu. Ja też, przy przerywaniu buraków w dziecięcej brygadzie polowej. Brygadystką była Niemka Ola Jungingen. Dobra dziewczuszka, nauczyła mnie jak pracować, wyrobić jako tako normę i się nie bardzo zmęczyć.

Znów zmniejszono nam przydziały, tłumacząc to wojną. Wiosną szukaliśmy pozostawionych w polu ziemniaków, czasem znajdowałyśmy na pół zmarznięty ziemniak, dodawałyśmy do pokrzyw. Jedzenie miało wtedy niepowtarzalny smak. Tego oczywiście nie wolno było robić. Polacy w posiołku zaczęli się organizować. Wy-

bierali się do miast z polskim przedstawicielstwem. Pan Gabriel Tiześniowski zbierał informacje, jak to zrobić, bo komunikacji nie było, do stacji 150 km, a do pociągu trudno się było dostać. Z wyjazdów dwa razy przywiózł dary z Czerwonego Krzyża, ale często nietrafione. Tu potrzebne były koce lub zwykła sukienka. W darach były też suknie balowe. Kiedy przywiózł trochę ryżu, dzielono go po kieliszku na osobę. Ale dzięki ofiarodawcom i za to, bo odzież była bardzo potrzebna. W czasie całego pobytu na Syberii mama kupiła 2 m płócenka i to przez pomyłkę, bo przydział był na Rosjanina nazwiskiem Górnik, a nasze nazwisko Górnik.

Wiodło nam się źle, groził nam głód, bo po kwaśnych deszczach w lipcu nasze kartofle uschły, a w lesie nie było grzybów ani jagód. Znowu nasza sytuacja się zmieniła. Zginął gen. Sikorki, gen Anders wyprowadził wojsko polskie do Persji. Zaczęły się wobec nas represje. Polakom w posiołku kazano podpisać obywatelstwo sowieckie. Nikt tego nie chciał zrobić, więc opornych aresztowano. Zaczęto wywozić do Taborów. W dzień pracowali, na noc zamykano wszystkich razem – kobiety i mężczyzn. Bronia została zamknięta z innymi w wielkiej hali, a Marysia w więzieniu. Co raz wołano ją i pytano czy podpisze, odpowiadała, że nie, więc stała godzinami i znowu ją pytali, ona odmawiała i tak całe noce.

Mama też odmawiała i chorowała, bardzo bała się o córki i o nas wszystkich. Ciągłe mi powtarzała: „Pamiętaj, gdybym umarła, żeście Polacy, nie zapomnijcie polskiej mowy, a gdy wojna się skończy, czepiaj się każdej możliwości powrotu do Polski.” Jak miałam to zrobić? Tym bardziej, że też byłam chora i nie ja jedna. Niemka – lekarka, która nie mogła leczyć mówiła, że to zapalenie gruczołów chłonnych na tle gruźliczym. Ludzie chorowali i poważnie umierali. I znowu przychodzili w nocy, namawiali, obiecywali, straszili, grozili, a mama odmawiała podpisania sowieckiego obywatelstwa. Wreszcie zdenerwowany „bojec” wycelował w nią karabin i wrzeszczy: „Ubiju jak sobaku”, mama przygarnęła nas troje do siebie i mówi: „Zabijaj, ale dzieci najpierw”. Były jeszcze przepychanki, ale w końcu podpisać musiała, bo odebrali nam kartki na chleb. Gdy się wczułam w jej położenie, to dziw, że nie zwariowała. Kartki oddali, ale odchorowała to ciężko.

W kwietniu do Taborów, do uwięzionych wybrało się kilka osób, a z nimi Staś do naszych siostr. Mama dała trochę sucharów, łapcie z łyka, połataną spódnice z worka. 12-letni Staś w pożycz-

nych butach poszedł 50 km z innymi. Staś nie zjadł ani jednego sucharka, bo niósł je siostrze. W drodze powrotnej rzeka w połowie była rozmarznięta. Omal się nie potopili, ale szczęśliwie, choć z przebojami, wrócili do rodzin. W czerwcu Marysia napisała, żeby jej przysłać łapcie, bo będzie transportowana do więzienia w Swierdłowsku. Wysłano tam kilkoro Polaków i słuch po nich zaginął. Mama przygotowała łapcie, suchary i jakąś koszulinę. Tym razem ja poszłam z Karolką Zawadą. Ja z plecakiem, a ona z tęczką, która miała jej ułatwić, ale zepsuła się i tylko sprawiła kłopot. Karolka postanowiła, że nie idzie dalej. Nie pomogły prośby, została. Włókłam się dalej bardzo zmęczona. Spotkałam brata Karolki i mówiłam mu, gdzie została. Doszłam do tej chatki, gdzie była Bronia i zastałam tam też Marysię. Przenocowałam na stole, a rano uciekłyśmy wszystkie trzy. Marysia dogadała się z ludźmi pływającymi na barce i wróciłyśmy do posesioka. Wiedzieli, że uciekłyśmy, ale sióstr nie aresztowali, znów im się coś odmieniło. Po kilku dniach siostry zgłosiły się do pracy, bo nie miały co jeść.

Mama była chora na kurzą ślepotę, ale pracować musiała, bo nie dałaby jej kartek na chleb. Siostry po miesiącu dostały wezwanie do kantory (urzędu). Nie poszły, bo się bały. Przyszedł taki jeden z karabinem i powiedział: „Idi”. Nikt nas o niczym nie informował. Obie uciekły do tajgi. Nie wracały nawet na noc. Wciąż ich szukano, w dzień i w nocy. Trzeba było im ukradkiem wynosić jedzenie. Niewiele tego, bo znów przydziały zmniejszono. Pracujący dostawał tylko pół kilograma chleba, niepracujący 30 dkg, kaszy już było bardzo mało, a o oleju już zapomnieliśmy. Z kantory dali znać, że jest pobór do polskiego wojska. Nikt nie wierzył, bo ciągle kłamali. Radia ani gazet nie mieliśmy. Polacy myśleli, że raczej do trud-armii, a na to każdy mówił, że wołałby zginąć na miejscu. Po 10 dniach Marysia miała dość ukrywania się w tajdze, gdzie też je szukali, a do tego było strasznie, zimno i głodno. Pozwoliła się złapać, mówiła, że gorzej już być nie może. Zabrali 10 dziewcząt i jednego chłopca. Poszłam ją odprowadzić, z Włodziem za rękę. Bałam się, że już nigdy się nie zobaczymy. Mama była w pracy, a mogłaby tego pożegnania nie wytrzymać. Bronia nie musiała się ukrywać, bo jej rocznik nie podlegał poborowi, ale przecież nigdy nie wiadomo, co oni mogli wymyślić.

Znów pracowałam w lesie. Dostałam przydziałową kufajkę po zabitym żołnierzu, przebitą kulami i zakrwawioną. Chciało mi się

wyć, ale trudno. Po oczyszczeniu i naprawieniu dostała ją Bronia. Chodziłyśmy już w ubraniach z ukradzionych – zorganizowanych worków, z których robiło się nawet bieliznę. Trzeba to jeszcze było ufarbować w korze dębowej. „Ciunie” – rodzaj pończoch-butów robiło się ze starych watowanych ubrań obwiązując je na nogach sznurkiem. Na to łapcie z лыка. Dobrze na suchy czas.

Staś dostał gdzieś parę królików, trzymał je w dziurze pod piecem. Od Marysi przyszedł list, że jest w wojsku w Siedlcach nad Oką, gdzie od maja organizuje się wojsko polskie, a my nic nie wiedzieliśmy. Na tę wieść reszta młodzieży polskiej zgłosiła się do wojska.

Październik 1943 r. Działo się nam coraz gorzej. Przydziały wynosiły tylko 30 dkg chleba ciężkiego jak glina i 30 dkg grochu na miesiąc. Nie wiadomo było czy zjeść zaraz, czy odliczyć po ziarnku. Ciągłe widzę mamę, jak ten chleb dzieli na porcje. Można było zjeść zaraz albo też jeść po okruszku przez cały dzień. Mama przyszywała Stasiowi kieszenie od spodu kurtki i płacząc powtarzała: „Boże, czego ja uczę dziecko, co z niego wyrośnie”. Tymczasem Staś wciskał się gdzie mógł. Bawił się z dziećmi, ale w stajni porywał kawałek makucha albo garstkę owsa, albo jak stróż się odwrócił, któraś z kobiet wsypywała mu garść zboża. Ziemniaków nie było wcale. Czasem trafiła się jakaś rzepa lub burak. Króliki już dawno zjedliśmy.

Zbliżało się Boże Narodzenie, a my nie mieliśmy nic. Żeby choć list przyszedł od Marysi albo od ojca, byłoby nam lżej. Mama odkładała po kawałeczku chleba do podzielenia się zamiast opłatka. Pracowała przy kiszeniu kapusty. Białą gdzieś zabrali. Kisło się zielone liście pocięte łopatami i udeptane gumiakami w wielkich silosach. Była na przydział dla Polaków. Mama wzięła do wiaderka trochę tych liści, zmarzniętych i nieukiszonych. Złapał ją naczelnik Gabarajew i niósł to wiadro 2 km do posesiłka. Groził mamie za to jeden rok więzienia. Mama bardzo go prosiła, by jej darował, bo u nas wielkie święto i chciała, żeby choć tego dnia dzieci nie były tak bardzo głodne. Naczelnika uważano za srogiego partyjnika, ale podarował i nawet nie odebrał tej kapusty. Po „wieczerzy” usłyszeliśmy wielki krzyk na ulicy. Wybiegliśmy, a niebo było całe kolorowe, w czerwieni i fiolecie. Wszystko się migotało i świeciło. Powiedziano nam, że to zorza polarna. Ludzie umęczeni i chorzy z tęsknoty za krajem, uważali to za znak, że już w tym roku wrócą,

że wojna się skończy. Czepialiśmy się jakiejkolwiek nadziei.

Byłam chora. Miałam wrzody wielkości jajka gęsiego pod brodą i dwa na lewym boku szyi. Lekarka Niemka radziła, żeby trzymać mnie w cieple i dobrze odżywiać. Dobra rada, ale niemożliwa do wykonania. Bałam się, że nie ma dla mnie ratunku. Już nawet nie wstawałam z barłogu, nie miałam sił i bardzo mnie bolało. Jakoś w tym czasie zaczęły przychodzić paczuszki z Czerwonego Krzyża, z Persji. Było tam trochę smalcu, herbaty i mydełka. Dostaliśmy takie dwie, ale po nie i list od ojca trzeba było iść do Taborów – 50 km. Mama kilka razy odbyła taką pielgrzymkę.

Kończyły się jesienne zapasy. Głód był coraz większy. Ludzie wychodzili coraz dalej w poszukiwaniu jedzenia, ale w pobliskich kołchozach mieli jeszcze gorzej. Musieli najpierw oddać planową dostawę na armię i licho wie na co, a urodzaj był marny. Placki piekli z jakichś ziaren chwastów dodając mąki i trocin. Gorzkie to było bardzo i może nawet trujące. Nasi szli jeszcze dalej, aż do Jurt i Czubaksarów w mróz i śnieg, wynosząc ostatki ubrań, aby wymienić na żywność. Poszła mama ze Stachem. Za tatowe ubranie ze 100-procentowej wełny dostała 16 kg ziemniaków. Drugi raz mama poszła sama, coś tam wymieniła za herbatę, mydełko i chyba poduszkę. Wracając pozwolili jej przyczepić sanki na końcu kolumny. Na ostrym zakręcie przy moście mama spadła uderzając głową i wpadła pod ten most. Dostrzegli, że mamy nie ma na postoju, wrócili i zabrali mamę nieprzytomną spod mostu. Wracała jednak już pieszo, chora i głodna. Staś wyszedł daleko naprzeciw. Mama później mówiła, że zdawało się jej, że to anioł stanął jej na drodze.

Tego, co przyniosła, nie starczyło na długo. Kolejny raz poszła z Bronią. Zostaliśmy we troje. Ja już prawie nie wstawałam. Staś miał palić w piecyku i odprowadzać Władzia do przedszkola. Władzio był słaby, po wietrznej ośnie, ale tam przynajmniej mógł coś zjeść gotowanego. Drugiego dnia wcześniej wypuścili dzieci z przedszkola. 3-letni Władzio wiedział, że w domu trzeba bez przerwy palić żeby nie zamrznąć (każdy starał się przynieść choć kawałek drewna) wziął spod przedszkola półmetrowe polano i niósł do domu. Kobieta przechodząca obok powiedziała mu, aby zostawił to polano, bo Staś już po niego szedł. Władzio spocony położył drewno i usiadł na nim w śniegu. Tak zastał go Staś i przyprowadził do domu. Staś powiedział, że kolega, którego mama też poszła na wymianę prosił, by przyszedł do niego, bo boi się sam spać. Oni

mieli krowę, to za to dostanie mleka. Pozwoliłam mu iść. Tymczasem Władzio dostał wysokiej gorączki i zaczął majaczyć. Przerazona w nocy wlokłam się do sąsiadów po pomoc, ale sąsiadki też nie było. Całą noc przesiedziałam więc nad Władziem, pojąc go ciepłą wodą i okrywając, bo rzucał się nieprzytomny. Rano sąsiadka wróciła z wymiany i zaraz przyszła. Postawiła Władziowi bańki, zrobiła kompres i pokazała mi, jak to robić. Przyszedł Staś z wiadomością, że mama tam w tych Czubaksarach ciężko zachorowała i nie wiadomo, czy wróci. Byliśmy w rozpacz. Co robić? Staś poszedł na przeciw mamie, a ja bałam się i o nią, i o niego. Taki mały, tajga, droga straszna, a on sam. Zbliżała się noc, padał deszcz. Martwiłam się, żeby nie zablądził. Władzio znów dostał wysokiej gorączki. Kładłam mu kompresy. To było zapalenie płuc. Tymczasem Staś spotkał wracającą Bronię, która ciągnęła mamę na sankach. Mama miała bóle brzucha, nie wiemy czy z głodu, czy zjadła coś zimnego. Nie miała się kogo poradzić, ani czym poratować. Wymieniły, zdaje się, poduszkę na wiadro ziemniaków. I po to trzeba było iść 50 km w jedną stronę i jeszcze zebrać, żeby ktoś chciał wymienić. Zostawiliśmy te ziemniaki na mrozie, bo i tak zmarznęte i brałyśmy co dzień jednego. To była nasza zupa na cały dzień, no i kawałeczek chleba. Mama podniosła się z choroby i znów poszła do Taborów po list od tatusia i paczkę z Czerwonego Krzyża. Władziowi też zrobiło się trochę lepiej, ale był bardzo słaby. Mama wróciła, zobaczyłam jak stała nad nami z paczuszkami w ręku i mówiła: „Macie dzieci, ja już nie mam wam czym pomóc.” Władziowa paczuszka była - jak każda - ze smalcem, a w mojej był sztuczny miód. Mama aż się rozplakała. Przyniósł Staś trochę ziarenek, zagniotła mama mąkę z tym sztucznym miodem i ten placuszek przykładła na moje guzy. Z oszczędności podgrzewała go po kilka razy. Skisł i śmierdział, a ona wciąż go przykładła. Guzy zaczęły mięknać. Później zdobyła gdzieś cebulę, przypiekała ją i przykładła. I tak mnie z tych wrzodów wyleczyła. Byłam jeszcze słaba, ale nabrałam nadziei na życie.

Zaczęła się wiosna, wszyscy ruszyli na poszukiwania kartofli na kartofliskach, ale nie było nic. Ludzie wyskubywali najdrobniejszą trawkę. Odchodzili daleko szukając pokrzywy, ostu i jakiegokolwiek chwastu nadającego się do zjedzenia. Parzyli je gorącą wodą i było gotowe. Posolić nie było czym. Bronia, jako pracująca zapisała się do stołówki. Przynosiła z niej taką samą pokrzywę, tylko rzadszą i posoloną. Mieszaliśmy ją z naszą i udawaliśmy, że

była lepsza. Wstrętne to było i brzydko wyglądało. Staralam się nie patrzeć, co jem. Skończyłam już 15 lat i musiałam stawić się na komisję, by nie stracić prawa do 30 dkg chleba. Wlokłam się, bo wciąż byłam słaba, rany na szyi jeszcze ropiały. W komisji siedziało czworo ludzi, popatrzyli na mnie i bez badania powiedzieli: „Do pracy”. Tłumaczyłam, że jestem chora i nie nadam się do żadnej roboty. „Pójdiesz do lekkiej pracy” – powiedzieli. Było to karczowanie pniaków i przygotowywanie leśnej polany pod orkę. Praca była ciężka, tyle że blisko posiołka. Ledwie zdołałam donieść siekiere na polanę i już ją tam zostawiłam. Majstra mieliśmy dobrego, więc pozwalał, bym zносиła i podpałała gałęzie. Nie zwracał uwagi nawet, czy byłam każdego dnia w pracy. Za miesiąc pracy zarobiłam 30 rubli. W sklepie można by coś za to kupić, ale nic w nim nie było. Kupiłam więc za to szklankę soli od kucharek, a one ją ukradły w stołówce. Teraz już nawet nie czułam głodu, tylko jak przychodziła pora jedzenia dostawałam skurczy żołądka. Wciąż myślałam o jedzeniu, pustka w głowie, a tam wciąż uparta myśl „jeść!”. Jak wrócę do Polski, co będę jeść i ile zjem. Czy będę miała cały bochenek chleba dla siebie. Nawet nie myślałam o czymś specjalnym. Szczytem marzeń był chleb i mleko.

Władzio i młodsza od niego Helenka, z którą się bawił, mówili tylko o jedzeniu. Na domiar złego rozchorowałam się na żółtaczkę. W tym czasie była już lekarka. Gdy do niej szłam, zemdlałam i przeleżałam w rowie, aż się sama ocknęłam. Potem dostałam nawet jakieś lekarstwo!

Mama znów była chora. Otworzyła się jej rana na żylaku. Obie z Bronią były opuchnięte z głodu. Mama miała brzuch, jakby miała rodzić. Włosy sterczały jej każdy w inną stronę. Paznokcie zsiniały i ciekle spod nich jakaś ciecz. Staś wysechł na szczapę. Kiedyś przyniósł kawałek makucha z waty ukradziony koniom. Mama to gryzła i usnęła trzymając go w ręce. W nocy przyszedł szczur i ugryzł mamę w palec. To też głodne stworzenie, a wprowadziły się do nas pod piec na miejsce królików.

Tymczasem pan Trześniowski zginął w więzieniu w Swierdłowsku. Ale za jego i kilku Polaków staraniem zaczęła nam świtać nadzieja na wyjazd z posiołka. Powiedziano nam, że wyjeżdżamy, tylko bliżej polskiej granicy, bo w Polsce jeszcze trwała wojna. Cieszyliśmy się, ale nie bardzo wierzyliśmy, bo tam nigdy nic nie było wiadomo. Olga, której mama i ciocia pracowały w urzędzie gminy,

zapewniła mnie, że wyjedziemy, ale nie wszyscy. My całe lato żyliśmy nadzieją, która pozwoliła przetrwać największy głód. Podbieraliśmy ziemniaki. Mama garbowała skórki z królików, bo chciała z nich uszyć futerko dla Władzia na drogę.

Wreszcie mieliśmy już pewność – wyjedziemy. Mama upiekła placki ziemniaczane na drogę i schowała je do woreczka. Nie wiadomo było, jak długo będziemy jechać, a chleba nie było. Związaliśmy pierzyny, bo to był nasz skarb. Mieliśmy wyjechać 4 września 1944 r. po 4.5 roku w posiołku. W dzień przed wyjazdem chłopcy zepchnęli Stasia z ganku kantory. Uderzył się mocno w nogi i w nocy majaczył. Mama w strachu całą noc nosiła go na rękach, sama z bolącą nogą, a on miał już 14 lat. Rano mama z chłopcami pojechała do Grodziszcz, gdzie mieliśmy wsiąść na barkę. Ja i Bronia poszliśmy piechotą te 12 km, ciągnąc za sobą worek ziemniaków. Był 4 września, szron i zimno. Dowlekliśmy się jednak jakoś. Silniejsi i zaradniejsi zajęli miejsca w środku barki, my siedzieliśmy na wierzchu. Było zimno, wiatr wiał od wody, nie można było spać. Rana na szyi bardzo mnie bolała. Płynęliśmy tą barką do Tawdy, do stacji kolejowej. Tam jeszcze cały dzień siedzieliśmy na brzegu, czekając na pociąg. W Tawdzie wydali nam chleb, racje na trzy tygodnie. Świeży, pachniał aż mdliło. Mama wydzieliła nam po kromce, a resztę schowała. Pierwszy kęs i poczułam zaskoczenie. Chleb był gorzki, jak z piołunem. Gorzki, nie gorzki - ale chleb. Tam na brzegu pożegnał Polaków pierwszy „naczelnik” w posiołku Stierychow. Pojechaliśmy! Olga miała rację. Nie pojechali z nami Ukraińcy, których kilka rodzin było z nami. Zawrócono ich z Tawdy. Uznano ich za obywateli radzieckich. Mogli sprowadzić do siebie, na Sybir rodziny. My też jeszcze nie pojechaliśmy do Polski, ale zawsze to bliżej i klimat był inny. Jechaliśmy w towarowych wagonach, ale niezamkniętych, jak w tamtą stronę. Choć zdarzało się, że staliśmy trzy dni, a jeden jechaliśmy. Mało kiedy staliśmy na stacji, gdzie można było dostać „kipiatok” (wrzątek). Jedliśmy placki, by się nie zepsuły, chleb zostawiliśmy na później. Z zabranych ziemniaków na postojach gotowaliśmy supę. Czasem jedliśmy niedogotowaną, bo gotowaliśmy na polu, a tu nagle pociąg ruszał. Mama wtedy owijała garnek szmatą, nakrywała poduszką i siadała na tym, żeby się nie wylało. Ludziom chleb się już skończył. Nam mama wydzielała po kawałku. Niektórzy wymieniali, co mieli. Jeden z naszych Polaków wrócił z bazaru bez spodni, które wymieniał

na bochenek chleba. Władzio pyta, czy jedziemy do Polski, jaka ta Polska jest, czy tam będzie na nas czekał tatuś? I czy będzie tam taka góra ziemniaków jak dom. Opowiadałyśmy mu, że w Polsce było nam dobrze, wszystko można było dostać i nigdy nie byłyśmy głodne.

Wreszcie przyjechaliśmy. Do Czernihowa nie dojechaliśmy, bo most został zbombardowany. Zostawili nas na łące koło torów. Władzio nie chciał wyjść z wagonu, bo tu nie było tatusia i góry ziemniaków. Na łące pod gołym niebem koczowaliśmy przez trzy dni. Wreszcie furmankami zawieziono nas do wsi Czemer i zakwaterowano na plebanii, z której dawno już wygnano popa. Dostaliśmy jeden pokój na dwie rodziny. Nie było żadnych mebli. Spaliśmy i jedliśmy na podłodze. We wsi panowała oспа. Nasze dzieci też zachorowały. Władzia rozboleło oko. Był październik, a tu było jeszcze dość ciepło. W Ozierkach już pewnie był tęgi mróz.

Przyjęto nas życzliwie. Pokazano, gdzie na polach można było znaleźć zapomniane warzywa. Ale nie było tego dużo. Tamtejsze kobiety, zapracowane w kolchozie, nie mogły wykopać ziemniaków w swych ogrodach. Poszliśmy do nich kopać, a za dzień pracy dostaliśmy wiadro ziemniaków. Czasem dodatkowo dynię czy kapustę. Na razie to nam wystarczyło. Tu jednak nie było lasów i nie było czym palić. Ktoś z rodziny musiał pracować w sowchozie oddalonym od wsi, gdzie mieszkaliśmy o kilka kilometrów. Mamę bolała noga, ja miałam otwarte rany na szyi i pod brodą, Staś był mały. Bronia pracowała więc w kuchni sowchozowej. Gotowali w dwóch kotłach pod gołym niebem kaszę i zupę, po czym wynosili traktorzystom daleko w pole. Bronia spała w „obszczytyiu” (internacie) i rzadko przychodziła do nas. Czasem mama szła do niej i przynosiła trochę chleba dla chłopców.

Dostaliśmy przydział 9 kg mąki żytniej na miesiąc. Chleba z tego nie piekliśmy, bo nie było jak. Mama uprosiła, żeby sprzedali nam w kolchozowej mleczarni dwa litry odciąganego mleka. Dzieliśmy mąkę i raz dziennie gotowaliśmy z niej papkę zalewając mlekiem, a dwa razy dziennie zupę z ziemniaków. Tłuszczu nie było, ale to i tak niebo w porównaniu z ostatnim rokiem w Ozierkach. Opału też nie było. Mama z sąsiadem nocą rozbierali ziemianki pozostałe z wojny. Tego nie wolno było robić, ale nie było wyboru. Staś poszedł do szkoły, już trzeci rok do czwartej klasy, bo innej nie było. Ja robiłam swetry dla tutejszych kobiet, z wełny i nici. Dawali

za zrobienie swetra co kto mógł - to wiadro ziemniaków, to trochę fasoli, mleko czy parę rubli. Niektórzy zapraszali w niedzielę na obiad. Nie było łatwo to robić, bo było zimno i nie miałam czym świecić. Czasem udało się od traktorzysty kupić trochę nafty. Do buteleczki z naftą wkładało się skręconą nić i świeciło, choć też kopciło. Oczy piekły, a w nosie było pełno sadzy. Władzia wciąż bolało oko i zachodziło bielmem. Bronia zawiozła go do lekarza w Kijowie, gdzie dostał tran. Natomiast ja chodziłam na opatrunki z ranami na szyi. Dopiero wiosną Władziowi się poprawiło, a mnie zagoiły się rany.

Nadszedł 9 maja. Koniec wojny! Ogłoszono go z głośnika. Tamtejsze kobiety płakały, bo wielu mężczyzn zginęło na wojnie. My też płakałyśmy, bo nie wiedziałyśmy, kiedy wrócimy do Polski. Dwa lata nie miałyśmy wiadomości od tatusia i nie wiedziałyśmy, czy żyje. O Marysi wiedziałyśmy, że była w szkole oficerskiej w Riazaniu. Gdy wojna się skończyła, wysyłano je do walki z bandami UPA.

Mama zapisała się do Związku Patriotów Polskich i przez ten związek starała się o transport do Polski. Była już jesień 1945 r. Pracowałam z mamą w sowchozie przy wykopkach. Normą było wykopać i wyzbierać pięć arów ziemniaków. Płacili w rublach, za które mogliśmy kupić taniej ziemniaki w sowchozie. Co wieczór przynosiliśmy w kieszeniach ziemniaki na bieżące potrzeby. Kopaliśmy też u kobiet za kapustę. Z opałem było trudno. Zbierałyśmy po rowach suchą trawę i badyle. Cała wieś tym paliła. I znowu nadeszła zima, to już szósta z kolei. Za zarobione ruble kupiliśmy od żołnierza trzewiki, pierwsze po sześciu latach. Mama sprzedała kwit na ziemniaki i kupiła Stachowi portki i czapkę wojskową. On najbardziej nie miał się w co ubrać, a miał już 16 lat.

Obiecywali nam wyjazd i wreszcie 6 lutego 1946 r pojechaliśmy. Na stacji dostaliśmy kilka konserw z końskim mięsem i skondensowanym mlekiem z amerykańskich przydziałów wojskowych. Załadowaliśmy się do wagonów towarowych. Tym razem jechaliśmy wprost do Polski.

- Jadąc, wciąż nie dowierzaliśmy, że to prawda. Gdy stanęliśmy na granicy i po kontroli dokumentów i rewizji odrutowano drzwi strach ścisnął nam serca. A jeśli nas zawrócą? Po Rosjanach wszystkiego można się było spodziewać. W nocy transport ruszył dalej. Rano otworzono wagony, wyskoczyliśmy i usłyszeliśmy, jak kole-

jarze mówią po polsku. „Bronia, słyszysz? Mówią po polsku! Jesteśmy w Chełmie, w Polsce!” Nie mamy nic, ale jesteśmy w Polsce, wśród swoich. To najważniejsze, a dalej będzie, co Bóg da.

Pojechaliśmy dalej na zachód. Dwa dni staliśmy w Nysie, bo nie wiedzieli, gdzie skierować nasz transport. Wreszcie 21 lutego wysiadliśmy w Rychbachu, czyli Dzierżoniowie. Po pełnych sześciu latach na obczyźnie wróciliśmy do Polski. Natomiast dwa lata po wojnie wrócił do nas ojciec, a siostra Marysia przeszła szlak bojowy do Berlina. Później walczyła z bandami w Bieszczadach. Przeżyła. Dzięki Ci Boże!



Franciszek Górniak - Babilon 1943 r.

Jezu, gdzie byłeś wtedy?

Janina Myszakowska, córka Piotra i Marjanny, z domu Sulikowska, urodziła się 15 sierpnia 1922 roku. Mieszkała w Kolonii Polany, gminie i poczcie Stydyń w powiecie Kostopol, województwo Wołyń.

Wysłałam za mąż za Kazimierza Myszakowskiego z Omelan-ki. 11 września 1939 roku urodził się nam syn Waław. Mieliśmy drewniany domek kryty słomą. Szczęście rodzinne nie było nam jednak pisane, bo już 21 kwietnia 1941 roku Rosjanie zabrali męża do Rosji jako krasnoarmiejca do Fałtowskiej Obłości, miasta Kremenczuk, pocztowy numer 25 lub 35, już tego dokładnie nie pamiętam. Napisał do mnie trzy listy, a ten ostatni brzmiał tak:

„W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Ściskam Cię Jańciu do serca swojego. Pióreczko pisało, dawno już, trzy miesiące, a mnie się zdaje, że trzy lata, a może trzy tysiące. Dziś jest deszcz – ulewa, a u mnie przy stoliku strumyk się zalewa. Miłe mi te strony, gdzie słońeczko zachodzi, a jeszcze miłsze, gdzie żoneczka moja chodzi. Ile kropli w morzu, ile liści liczy las, ja tego nie zliczę, tyle szczęścia Ci życzę. A konia i krowy wyprzedaj, bo ani Tobie, ani mnie nie są potrzebne. Mamy przejeżdżać przez Polskę, ale nie wiem którądy...”

To był ostatni list, a list to była kartka złożona w trójkąt i zszyta czerwoną nitką. List ten czytałam tysiące razy, a jego treść będę pamiętać do ostatnich dni mojego życia. Od tego czasu ślad po mężu zaginął.

1 lipca 1941 roku pojawili się Niemcy. Nadeszła na nas „czarna chmura”. Młyny zamknięto. Nie było soli, zapalek, nafty. Zamknięto też sklepy. W 1942 roku rozchodziły się wieści o tym, że Niemcy mordują Żydów. Pewnego wieczoru słyszałam od teściowej, że z przeciwka wyszedł Ukrainiec Iwan Nowak i od razu powiedział: „Dobry wieczór”. Teściowa odpowiedziała: „Ja was nie poznałam”. On odpowiedział: „To teraz poznasz”. Jego córka pasła krowy u mnie i na zimę nie odchodziła do domu, ale zimowała z nami. Jej brat Wasyl łapał Żydów. Przyszedł raz pod okno i mówił: „Janka, chodź zobacz Żyda”. Ja okropnie krzyczałam w domu ze strachu. Przyszedł do mnie jeszcze raz po dwóch dniach. Powiedziałam mu wówczas: „Twoja sprawa, co robisz z Żydami, ale pod okna mi ich

nie przyprowadzaj”. Potem usłyszałam, że on łapie Żydów i oddaje do Stepania lub do Niemców. Wasyl przekazywał ich w Stepaniu innemu Ukraińcowi, a ten oddawał Niemcom. Jak nazywał się ten Ukrainiec – nie pamiętam. Coś podobnego do Kierysza.

Końcem listopada Wasyl przyszedł do mnie oczyścić komin. Nie wiem skąd, w tym samym czasie przyjechał Stiepan z drzewem i tak stanął wozem pod progiem, że ja nie mogłam wyjść z domu. Stał tak prawie trzy godziny, rozmawiał bardzo cicho z Iwanem, potem odjechał. Kiedy zjechał do domu, czekało na niego dwóch Żydów. Kazali mu rozładować wóz, a jego związali, wywieźli do lasu i tam zabili. Po dwóch tygodniach Wasyl poszedł na Podsielcz do Wernerów. Była to wieś czysto polska. Złapało go tam dwóch Żydów. Przyprowadzili go do matki, kazali usiąść matce na kolana, przyłożyli pistolet do skroni i zastrzelili. Matka Wasyla tego dnia już nie spała w domu, tylko u sąsiada Polaka o nazwisku Kutasiwicz. Iwan na drugi dzień zabrał wszystkich i tego zabitego syna, po czym wyjechali do Mydzka. Nie minęły dwa tygodnie, a dom Wernerów został spalony przez Ukraińców. Cała nasza rodzina od tego czasu już nie spała w domu. Na noc chodziliśmy do Omelanki.

3 maja przyszedł do mnie mój brat Stanisław. Siedział przez cały dzień. Gdy moja mama, idąc już do Omelank, zobaczyła Stanisława, zwróciła mu uwagę, że proso i gryka nie są posiane, a on sobie siedzi. Brat odpowiedział, że dzisiaj jest wielkie święto i nie pracuje. Razem w trójkę poszliśmy do Omelanki, gdzie przenocowaliśmy. Następnego dnia wróciłam do domu, wydoiłam krowy, ze studni przyniosłam bańkę z mlekiem, wypuściłam mleko do jednego dzbanka, a śmietanę do drugiego. I znowu wyniosłam bańkę z mlekiem do studni. (Chyba tam stoi do dziś.) Później rozpałiłam ogień w piecu i postawiłam mleko do gotowania. Przyszedł Staszek, dałam mu szklankę śmietany, on wypił i poszedł do domu. Nie odszedł nawet 100 metrów, kiedy Ukrainiec strzelił do niego dwa razy. Brat upadł, a Ukrainiec na moich oczach kilkakrotnie przebił mu pierś bagnetem. Złapałam synka i pobiegłam do teściowej. Następnie sama wróciłam do domu. Bałam się jednak wejść do środka. Obserwowałam, czy są w pobliżu Ukraińcy, którzy zamordowali mego brata. Nikogo nie było. Zrozumiałam jednak, że jest niebezpiecznie i poszłam do Omelanki. Przyjechał tam wozem brat Marian, a z nim dziesięciu mężczyzn i pojechali po Staszka. Ledwie go przywieźli, gdy przywieziono jeszcze dwóch zamordowanych z Tchoru. Jeden

nazywał się Sulikowski, a drugi Karczewski. Jednego przywiązano za nogi do konia i tak bronowano nim po polu, aż zgoniał. A drugiemu wycięto dużą dziurę w piersi i wyrwano serce. Stały więc trzy trumny, jedna przy drugiej, w Omelance u Cyprjana Horoszkiewicza. Na drugi dzień przyjechał mój stryjeczny brat Michał Sulikowski, który przywiózł czarne chorągwie. Ruszyła więc procesja do Huty Stepańskiej. Procesja była długa, miała prawie dwa kilometry. Kiedy płakaliśmy, ludzie nas pocieszali, mówiąc że oni mają piękny pochówek, a z nami nie wiadomo, co będzie, czy czasem ciała nasze nie zostaną wystawione na pożarcie wronom.

W domu nie byłam od 5 maja. Zostawiłam poduszki na sztachetach, mleko w studni, ogień w kuchni. Do dziś już swego domu nie widziałam. Poszłam z dzieckiem do Omelanki i tam mieszkałam. Bandy Ukraińców coraz częściej napadały na polskie wioski, mordowano wszystkich i to w okropny sposób. Palono całe wioski. Nie darowano nikomu, kto był Polakiem.

15 lipca poszłam wraz z rodziną do Huty Stepańskiej, ale i tam nie było bezpiecznie. 17 i 18 lipca 1943 roku bandy Ukraińców napadły na Hutę Stepańską. Siedzieliśmy całą rodziną i wielu innych ludzi także w schronach przy murowanej szkole. Całą noc kule gwizdały nad nami. Pociski zapalające spadały przed szkołą lub za nią. Rano jakiś człowiek chodził po schronach, kazał z nich wychodzić i iść do Rafałówki, bo spodziewany jest szturm band Ukraińców. Powstało wielkie zamieszanie, kto silniejszy pchał się do przodu, a my z małymi dziećmi szliśmy na końcu. Na dodatek bratowa zgubiła jedno dziecko – czteroletniego synka, bo miała ich pięcioro. Brata nie było w tym czasie, musieliśmy stać na miejscu do końca aż przyjedzie. Wreszcie przyjechał wozem, było już prawie widno, ale na szczęście roztaczała się wokół gęsta mgła. Była tak gęsta, że na trzy metry nie było nic widać. Brat pozbierał dzieci na wóz, a nam kazał trzymać się wozu, bo jeżeli ktoś zginie, to będzie wiadomo, kogo nie ma.

Ruszyliśmy w stronę Wyrki do Rafałówki. Nie odjechaliśmy daleko, kiedy przed nami zjawił się jakiś oficer wojskowy – szczupły, wysoki i zaczął krzyczeć: „Ludzie, gdzie wy jedziecie? Przecież tam na was mogą czekać bandy Ukraińców!” Brat skierował konie do Huty, ale tam nie można było dojechać. Słychać było strzelaninę oraz głośne okrzyki „hurra”. To krzyczeli obrońcy Huty i bandy ukraińskie. Obrona Huty odparła atak band. Brat ponownie

skierował konie do Rafałówki. Jadąc usłyszeliśmy ostrą strzelaninę w Siedlisku i Wyrce. Wtedy brat Marian zjechał na lewo do lasu, bardzo gęstego. Dzieciom kazał zejść z wozu, a konie wyprzągł i puścił wolno. Robiąc to, gorzko płakał, ocierając łzy. Dzieci były bardzo głodne. Na wozie była mąka. Mama i brat znali ten las. Zabrali trochę mąki z wozu i poszli do opuszczonego domu. Rozpalili w piecu i upiekli na blacie kilka placków. Kiedy przyszedli z upieczonymi plackami, dom, w którym piekli placki, płonął podpalony przez Ukraińców, którzy zobaczyli dym z komina. Szybko ruszyliśmy w głąb lasu, bo było bardzo niebezpiecznie. Przeszliśmy kilka kilometrów w bardzo gęste krzaki i dopiero tam zdecydowaliśmy się nocować.

Na drugi dzień rano poszliśmy dalej w las. Po przejściu kilku kilometrów doszliśmy do wzniesienia, dookoła którego było bagno i woda. Na wzniesieniu tym było już około 25 ludzi. Byli to mieszkańcy Osówki i Mielnikowa. Antosia Dawidowicz z Osówki urodziła w lesie dziecko. Był tam też Maszkowski z Mielnikowego, który przed wojną uczył się na księdza w Łucku. Zapytał się, czy to dziecko jest ochrzczone? Kazał mi je wziąć na ręce i polał główkę wodą z bagna obok dokonując aktu chrztu. Mama na wodzie z bagna gotowała zacierkę. Nikt nie zdążył ugotowanej zacierki zjeść, kiedy padły strzały. Na koniach, gwiżdżąc pędzili po lesie Ukraińcy. Wszyscy zaczęli uciekać w różne strony, a ja zostałam sama, bo co jedną nogę wyciągnę z bagna to druga wpada głębiej. Nie mogłam wyjść. W pewnej chwili słyszę, że za moimi plecami jest ktoś i łapie mnie za plecy. Kiedy ostatkiem sił odwróciłam głowę, zobaczyłam mojego brata, który przyszedł mi z pomocą. Wyszliśmy z tego bagna. Mama siedziała w krzakach i dawała nam znać, aby przyjść do niej. Kiedy schowaliśmy się, przyszedł do nas jeden mężczyzna i powiedział, że tu blisko leżą dwie osoby, które mają odrąbane głowy. Był to Antoni Konopacki i jego żona Zosia z Podsielcza. Zaczęliśmy uciekać dalej w las, w coraz większe krzaki. Kiedy przygrzało słońce, po deszczu zaczęły wychodzić żmije. Było ich bardzo dużo, musieliśmy niezwykle uważać, tym bardziej, że byliśmy boso. Z tego lasu nie wychodziliśmy, bo rosły tam czarne jagody, które zbieraliśmy, aby zaspokoić głód dzieci i trochę nasz. Po zaspokojeniu tego pierwszego głodu poszliśmy w stronę mojego domu, do sąsiada Kutasiewicza, do stodoły i tam na słomie wszyscy spaliliśmy. Ja z dzieckiem i bratową nie spaliliśmy w stodole. Szuka-

liśmy innego miejsca. Niedaleko przed wojną mieszkał Niemiec, nazywał się Kokoszka. Posadził dwa dęby, które ciągle obcinał i tak ukształtował ich koronę, że wyglądały jak parasole. W lipcu korony tych drzew były bardzo gęste. Bratowa położyła się z jednej strony, a ja z drugiej i tak spaliliśmy do rana.

Około godziny trzeciej nad ranem usłyszeliśmy strzały, ale daleko od nas, na bagnach koło Wilczego. Bratowa poszła szybko do stodoły, obudziła wszystkich i poszliśmy w głąb lasu. Schowaliśmy się w gęstych krzakach i siedzieliśmy bardzo cicho. Po dwóch godzinach usłyszeliśmy, że ktoś do nas idzie. Potruchleliśmy ze strachu. Wyobrażaliśmy sobie, że to Ukraińcy. Kiedy odgłosy były bardzo wyraźne, zobaczyliśmy idącą kobietę. Mama ją poznała i zawołała: „Walerka, co ty niesiesz w tym fartuchu?” Kobieta osłupiała ze strachu. Była to Lipińska z Huty Stepańskiej, cioteczna siostra mojej mamy. Znalazła pod krzakiem wysypane, ugotowane ziemniaki, które ktoś gotował, ale nie zdążył zjeść. Ona była pod Wilczym na bagnach i tam nad ranem napadły na nich bandy Ukraińców. To właśnie te strzały, które słyszeliśmy wcześniej. Mama poprosiła o trochę ziemniaków dla dzieci. Kobieta zostawiła nam trochę i poszła dalej. Mama podzieliła zostawione ziemniaki. Były popleśniałe, ale wytarliśmy je w ubrania i tak wszyscy je zjedliśmy. A mój czteroletni synek prosił: „Mamo, nie jedz, bo ja jestem głodny...” Do dziś serce mi się ścisza, kiedy przypomnę sobie tę chwilę.

Na drugi dzień poszliśmy bliżej naszej wioski. Pod wieczór mama z bratem powiedzieli nam, że gdyby napadły na nas bandy, mamy daleko nie uciekać, bo oni polują na nas jak na zające. Po czym mama z bratem poszli na swój ogród, nakazując nam siedzieć cicho. Długo ich nie było, ale wrócili z marchwią i grochem cukrowym. Dzieci były bardzo zadowolone z przyniesionej żywności. Wszyscy zaspokoili pierwszy głód. Brat powiedział do nas: „Idę szukać ludzi, bo sami poginiemy.” Były nas cztery kobiety i siedmioro dzieci, a on sam. Poszli z mamą. Wrócili bardzo szybko, bo niedaleko znaleźli całą grupę ludzi – około 60 osób. Od razu też poszliśmy do nich.

Cała grupa ruszyła do Rafałówki. Odchodząc zaproszono do wspólnego grona Ukraińca. Na pożegnanie wszyscy uklękli i odmówili modlitwę „Pod Twoją obronę”. Musieliśmy pójść, bo tam nie było już dla nas życia. Dzień i noc Ukraińcy na nas polowali. Nie odeszliśmy daleko, kiedy doszło do awantury pomiędzy męż-

czynami. Część była przeciwna zaproszeniu Ukraińca i powiedzeniu mu, gdzie udaje się grupa. Pojawiło się podejrzenie, że może on sprowadzić bandę. Cała grupa przesiedziała więc w krzakach noc i dzień. Dopiero następnej nocy wyruszyła dalej. Doszliśmy do mostu pod Siedliskiem, ale na most nikt nie chciał wejść pierwszy. Wreszcie mój brat wziął synów na ręce, a nam kazał iść za sobą i wszedł na most. Dopiero wtedy ruszyła cała grupa.

Za mostem skręciliśmy w prawo, ale tam nie można było iść normalnie. Na drodze leżało bardzo dużo trupów ludzi bestialsko pomordowanych oraz zabite konie. Ciała rozkładały się, był potężny smród, nie można było normalnie oddychać. Doszliśmy do wsi Wyrka. Panowała noc, nikt nic nie wiedział, jak iść dalej. Drogą nie można było przechodzić w obawie ataku band ukraińskich, więc tylko łałami zboża i polami. Niektórzy poznali stojące samotnie drzewa i wtedy cała grupa mogła ruszyć dalej. Zaczynał się świt, kiedy weszliśmy na bagna.

Na tych bagnach siedzieliśmy cały dzień. Bagno było siedliskiem pijawek, które atakowały nasze nogi, czepiały się po trzy razem i kiedy napiły się trochę krwi spadały, a na to miejsce czepiały się następne. Nasze nogi były w stanie opłakanym. Pod koniec dnia mama i synowa mojej ciotki udały się do wioski poszukać garnka. Wykopały ziemniaki, rozpały ognisko i gotowały je. Dym unosił się wysoko i był widoczny z daleka. Zobaczyło go trzech mężczyzn, którzy szli z Huty Stepańskiej do Huty odkopać schowane rzeczy. Widząc dym, podeszli do nas. Zabrali nas ze sobą. Bardzo się dziwili, że tak blisko wioski ukraińskiej siedzieliśmy cały dzień. Najpierw zaprowadzili nas w groch, abyśmy najedli się do syta, bo sił już nie mieliśmy iść dalej. Potem na jakąś spaloną wieś, ale tam widok był straszny. Psy wyły, koty szły za nami, a smród z rozkładających się ciał był ogromny. Zwłoki leżały wszędzie. Dodatkowo czuło się swąd spalonych w domach ludzi. Mężczyźni obrywali jabłka upieczone na prawie spalonych drzewach. Dzieci jadły te jabłka. Wieś nazywała się chyba Wyrobki. Przez noc zaszliśmy pod Grabinę, między Rafałówką a Sarnami. Tu mężczyźni pożegnali się z nami i poszli do swoich rodzin. Odchodząc powiedzieli, aby z lasu nie wychodzili pierwsi mężczyźni, tylko dzieci i kobiety, a za nimi dopiero mężczyźni, bo tam na Grabinie stoją Niemcy.

Dwa dni siedzieliśmy tam w krzakach. Na trzeci dzień ja i bratowa poszliśmy do Niemców powiedzieć, że chcemy jechać do Sa-

ren. W niemieckim mundurze stał Ukrainiec. Mówił po ukraińsku, że chcemy się tam schować. Drugi, wysoki, na twarzy bardzo ospowaty, mówił po rosyjsku, że pojedziemy do Rosji. Okazało się, że na strażnicy było dwóch Niemców, jeden Ukrainiec i jeden Rosjanin. Na drugi dzień jechał pociąg z węglem i zatrzymał się. Wsiadliśmy do niego i pojechaliśmy do Saren, ale tam miejsca nie było. Wyjechaliśmy do Równego. Za dwa dni Niemcy załadowali nas do wagonu towarowego i wywieźli w nieznane. Tak pożegnałam swoje rodzinne strony. Kochany mój Wołyń.

Jadąc w towarowym pociągu załadowanym przez Niemców uciekającymi spod niechybnej śmierci z rąk band ukraińskich, ciągle powtarzałam:

„Jezu, gdzie byłeś wtedy,
kiedy mordowano Twoich wiernych,
kiedy palono żywcem całe rodziny,
kiedy mordowano mego brata,
kiedy odrąbywano głowy niewinnym ludziom,
kiedy wrywano serce,
palono żywcem ludzi i księży w kościołach,
Jezu, gdzie byłeś wtedy...?”

Wołyń – Matka polskiego chleba

Leon Kuriata urodził się w pięknej polskiej wsi Rudnia Pohoryłowska, pow. Kostopol, woj. wołyńskie. Rodzice Gerwazy i Teofilia wybudowali piękny nowy dom. Ojciec był komendantem Strzelców PL, a mama – przewodniczącą Koła Gospodyń.

W czerwcu 1939 r. w pobliżu naszego domu, na łące moich rodziców, odbywały się manewry wojskowe, a dowódcy mieszkali w naszym domu. Wieczorami bardzo często odbywały się luźne rozmowy, w których brał udział tatuś. Tegoż roku w uroczystościach dożynkowych tatuś w czasie swego przemówienia powiedział: „Nadchodzi bardzo ciężki okres i oby Bóg pomógł nam to przeżyć.” Uczestnicy tego spotkania bardzo się zaniepokoiли, była długa dyskusja, śpiewano pieśni patriotyczne i bawiono się do późnej nocy. W sierpniu, wracając z powiatu, tatuś przywiózł dużo soli

i nafty. Na pytanie mamy powiedział, że zbliża się wojna i musimy mieć zapas, żeby przeżyć. W 1940 r. mieliśmy całkowity zakaz rozmów po polsku, groziło to aresztem.

Nie pamiętam, jaki to był dzień. W nocy nagle zaczęło się walenie do okna i drzwi. Tatuś powiedział: „To już po nas.” Kazano nam szybko ubierać się i wychodzić z domu. Był płacz i rozpacz. Wsadzili nas na wóz i powieźli. Długo jechaliśmy. Na jakiejś osadzie wozy zatrzymały się, woźnice zaczęli poić konie, a Ruscy rozeszli się. Tatuś tylko powiedział „uciekamy” i tak też się stało. Uciekaliśmy, ile sił w nogach. Dopiero w lesie tatuś uporządkował naszą ucieczkę, obrał kierunek i zaczęliśmy iść szybkim krokiem. Wieczorem dotarliśmy do jakiejś miejscowości. Zostawił nas w lesie, a sam poszedł do wsi, załatwił furmankę do wujka Łucjana Maligrandy. Tam w stodole, na sianie, w zrobionej kryjówce byliśmy do czasu, aż Niemcy pogonili Ruskich, a myśmy wrócili do naszego kochanego domu.

Nasza radość nie trwała długo, bo w maju 1941 r. tatuś dostał zawiadomienie na wyjazdowe posiedzenie Rady Powiatowej w miejscowości Pohoryłówka. Okazało się, że to był bluff. Była to rada ukraińskich radnych, a tatę poproszono tylko po to, żeby wiedział, co nas czeka w najbliższej przyszłości. Tam już mówiono o budowaniu samostyjnej Ukrainy. Wówczas tata zapytał: „A co z nami, Polakami?” Odpowiedź była jasna: „Niemców wygonimy, Ruskich nie wpuścimy, a Polaków wyrzniemy.” Na posiedzeniach w powiecie tatę darzono wielkim szacunkiem, a tu na tej sesji zachowanie Ukraińców było bardzo agresywne. Polecano tacie siedzieć i czekać, bo oni idą do cerkwi modlić się. Jak się później okazało, to oni poszli do cerkwi święcić siekiery, kosy, sierpy i noże. Chwilę po ich wyjściu gospodyni tego domu powiedziała do taty: „Synu, uciekaj jak najszybciej, jak chcesz żyć, bo na tobie te narzędzia mają wypróbować.” Tata uciekł, ale już tej nocy nie spał w domu. Następne dni upłynęły w ciągłym strachu i niepewności. Do 1942 r. czterokrotnie ukraińscy banderowcy chcieli nas wymordować, lecz zawsze jakaś Boża ręka nas chroniła.

Zaczęły się pojedyncze morderstwa, a potem palenie polskich wsi i masowe mordy. W nocy dookoła było widać łuny palących się polskich wsi. Najbardziej w pamięci utkwiła mi wieś Ozirca, odległa od nas o około 3 km. Nad ranem było widać ogromną łunę ognia, słyszać było chóralne modlitwy i pieśni religijne. Najpierw

ludzie musieli wykopać ogromny dół, a potem zabijano nad tym dołem. Ten mord trwał przez cały dzień, do późnych godzin. Wśród ponad 300-osobowej grupy ofiar zginął mój wujek Piotr Maligranda z żoną i dwiema córkami. W krótkim czasie po tej tragedii w niedzielę rano mój chrzestny ojciec - wujek Jan Maligranda z kolegą i dwoma dziewczynami pojechali do kościoła, aby pomodlić się za tych, którzy zginęli w Ozircach. Już nie wrócili, zostali bestialsko zamordowani. Druhem koleczastym skrępowano im ręce, usta wypchano ziemią z trawą, 42 razy wbito nóż na piersiach i plecach, a na koniec siekierą rozrąbano głowy na pół. To wszystko moje dziecięce oczy widziały. Nie spaliśmy ani jednej nocy w łóżku. Sypaniśmy wszędzie: w ziemiankach, okopach, rowach, a w ostatnią noc na wrotach stodoły zostaliśmy wepchnięci w szuwały na stawie, gdzie tatuś całą noc stał po szyję w wodzie. W nocy banderowcy chodzili brzegiem stawu i szukali polskich rodzin. Rano, jak tatuś przyплыł po nas, to myśmy byli po pas w wodzie. Po wyprowadzeniu na brzeg i dotarciu do domu, tatuś powiedział: „To już koniec, musimy jak najszybciej uciekać do miasta.” Szybko dogadał się z kilkoma rodzinami, zorganizowali ostre narzędzia i tak ruszyliśmy w świat. Dojeżdżając do pierwszych domów wsi Mrozówka zobaczyliśmy trzech banderowców mających za pasem siekierki i duże noże. Nasi mężczyźni zeskoczyli z wozów. Każdy trzymał w ręku to, co miał i spokojnie szli obok wozów. Banderowcy tylko patrzyli na nas. Widząc uzbrojonych i zorganizowanych Polaków nie śmieli nas wymordować. W ten sposób przekroczyliśmy rzekę Słucz i szczęśliwie dotarliśmy do miasteczka Berezhno.

Masakra wiernych w kaplicy w Chrynowie

Wiesława Danuta Nowacka w chwili opowiadania swojej historii miała 66 lat. Dzisiaj mieszka w Zamościu, ale urodziła się 1 lipca 1937 r. w kolonii Bolesławówka, gm. Mikulicze, pow. Włodzimierz Wołyński, woj. wołyńskie.

Mój tatuś nazywał się Władysław Sadło, jego rodzice to Wawrzyniec Sadło i Marianna z domu Kowalska. Moja mamusia miała na imię Adela i była z domu Palczyńska. Moja babcia ze strony

mamy miała na imię Rozalia, jej mąż zmarł po I wojnie światowej wskutek zatrucia. Właśnie rodzice babci Rozalii, mianowicie Jan i Magdalena Winiarz według historii, którą opowiadał mi tatuś Władysław, przybyli na Wołyń, jeszcze w latach swojej młodości, gdzieś w drugiej połowie XIX w. Dowiedzieli się bowiem, że władze carskie wydały przywilej dla wszystkich, którzy chcieliby pomóc zagospodarować wołyńskie lasy. Na podstawie tego rozporządzenia każdy mógł własnymi środkami zagospodarować pewną część lasu i w nagrodę otrzymywał na własność dużą część z tej ziemi, która została wydarta puszczy. Moi dziadkowie skorzystali z tej oferty, okazali się przy tym ludźmi silnymi, zdrowymi, pracowitymi, tak że po pewnym czasie mieli już podobno nawet 60 morgów ziemi. Nie wiem, ile w tym prawdy, ale to oczywiście, jak na tamte warunki bardzo dużo, a ponieważ ziemia tam była żyzna, szybko doszli do dużego majątku, tak że Jan dokupił jeszcze gruntu. Nie tylko jednak w życiu zawodowym byli szczęśliwi. Także ich życie rodzinne rozkwitało w najlepsze. Bóg im hojnie pobłogosławił i urodziło im się około 10 dzieci, w tym właśnie moja babcia Rozalia.

Ponieważ urodziłam się w roku 1937, zupełnie nie pamiętam pierwszych lat wojny i jedynie czasem jak przez mgłę widzę obrazy naszego rodzinnego domu i gospodarstwa w kolonii Bolesławówka. Niemniej jednak już w roku 1943, a zatem w roku „czerwonych nocy” na Wołyniu, moja pamięć rozwinęła się na tyle dobrze, że zaczęłam zapamiętywać szczególnie mocne dla mnie przeżycia. I tak bardzo dobrze widzę do dziś moje pierwsze lalki, które niestety uległy zniszczeniu na pół roku przed naszą ucieczką z rodzinnego domu. Wydarzenia tamtej doby znam dość dobrze, bowiem o wielu przygodach z tamtych dni często żywo opowiadano w naszym domu jeszcze przez długie lata po wojnie. Zarówno mamusia, jak i tatuś bardzo chętnie wracali do tamtych wspomnień.

Z tego co zapamiętałam nasza kolonia Bolesławówka, choć była mała, bo liczyła tylko 11 numerów, była wybitnie polska. Nie było u nas ani jednej rodziny ukraińskiej czy żydowskiej. Za to już dwa kilometry od nas, znajdowała się duża wieś ukraińska Horyczów. Pomimo sporego wymieszania ludzi w naszej okolicy, nie słyszałam z ust rodziców, aby przed wybuchem II wojny światowej dochodziło w naszych stronach do takich czy innych konfliktów polsko-ukraińskich. Po prostu nie przypominam sobie, aby

Polacy byli w jakikolwiek sposób prześladowani lub dręczeni za swoje polskie pochodzenie. Przeciwnie, z tego, co widziałam jako bardzo małe dziecko wynikało, że ludzie żyli w zgodzie i we wzajemnej życzliwości. Dla przykładu jeden z naszych sąsiadów Piotr Woźniak, jeszcze przed II wojną światową ożenił się z Ukrainką o nazwisku Habka i nigdy potem nie słyszałam, aby ktoś robił im, młodym jakiegokolwiek z tego powodu przykrości, czy prawił jakieś wymówki.

Wymordowanie wiernych

Pamiętam bardzo dobrze, że to była niedziela, moja babcia Rozalia wybrała się jak zwykle do kościoła w Chrynowie. W tym samym czasie do kościoła wybrała się także moja kuzynka Janina Winiarz pochodząca z polskiej kolonii Smołowa. Obie szły przez las. W drodze nieoczekiwanie spotkały grupy uzbrojonych Ukraińców, którzy zdecydowanie nakazywali zawrócić do rodzinnych domów. W przeciwnym razie grozili kobietom natychmiastową śmiercią. Babcia Rozalia, widząc tak rozjuszonych banderowców, wcale się nie opierała i szybko zawróciła do domu. Dlatego zapewne uszła z tej rzezi z życiem. Tymczasem Janina coś próbowała kombinować, może chciała tę wartę bokiem obejść i została postrzelona przez Ukraińców w głowę. Straciła wtedy oko, ale szczęśliwie zachowała życie i zdołała jakoś uciec, gdyż ktoś pomógł jej wydostać się z tej opresji.

I gdy one właśnie szczęśliwie uchodziły z życiem, w katolickim kościele w Chrynowie banderowscy „bohaterowie” rozpoczynali rzeź niewinnej polskiej społeczności, która przybyła na niedzielne nabożeństwa. Oto wierna relacja tych „bohaterskich zapustów”, spisana przez naocznego świadka Zygmunta Abramowskiego, ucznia gimnazjum, wówczas 18-latek, byłego mieszkańca Chrynowa.

Otóż tej pamiętnej „krwawej niedzieli” już z samego rana banderowcy rozstawili gęsto uzbrojone posterunki, wszystkie w niedalekiej okolicy od polskiego kościoła w Chrynowie. Jeszcze nikt nie wiedział, po co to robią i dlaczego, ale już wtedy dobrze to nie wyglądało i ludzie zwyczajnie się bali. Wspomina Zygmunt Abramowski: „Dnia 11 lipca 1943 r. służyłem do mszy świętej o godz. 9.00. Ksiądz Jan Kotwicki, również zaniepokojony zaistniałą sytuacją, bez kazania odprawił szybko mszę świętą i powrócił na

plebanię. Ludność wyszła z kaplicy i niebawem zaczęła powracać strwożona, że posterunki banderowców nie pozwalają jej wrócić do domów. Zawracają z powrotem do kaplicy. Dodatkowo zaczęła jeszcze przybywać następna ludność na sumę na godz. 11.00.

W międzyczasie przybyła na plebanię pani Płońska ze Stasi-
na, której gospodarstwo położone było niedaleko, prosząc księdza o wyspowiadanie jej bardzo chorego męża. Ksiądz wziął wiatyk i we trójkę – ja, ksiądz i pani Płońska, wyszliśmy do chorego. Nie-
daleko kaplicy naprzeciw nam ze zboża wyszli banderowcy i po-
czątkowo nie chcieli nas przepuścić. Jednakże na prośbę pani Płoń-
skiej i moje wytłumaczenie, że zaraz wracamy na nabożeństwo, bo
ludzie czekają, przepuścili nas, obserwując bez przerwy. Po udzie-
leniu choremu komunii świętej, powróciliśmy z księdzem do pleba-
nii nie zatrzymywani już przez liczne ukraińskie posterunki.

Ksiądz rozpoczął sumę. Ja z moim kolegą Jankiem Żebrow-
skim stanęliśmy za drzwiami kaplicy, które otwierały się do we-
wnątrz. W kaplicy, razem z ludnością zawróconą z poprzedniej
mszy świętej, było około 200 osób, przeważnie kobiet i dzieci. Po
podniesieniu zauważyłem, stojąc obok drzwi, podejrzany ruch.
Zobaczyłem, że kilku banderowców ustawiło ręczny karabin ma-
szynowy typu Diechtiarewa i poczęli strzelać do ludzi seriami oraz
z pojedynczych karabinów. Rzucono również dwa granaty, które
jednak nie wybuchły. Schowałem się z kolegą za grube drzwi ka-
pliczne. W świątyni zaś zaczął się popłoch i wrzask rannych. Ludzie
zaczęli uciekać bocznymi drzwiami obok zakrystii i chóru. Kaplica
jednak była otoczona szczelnie i bez przerwy rozlegały się strzały.
W świątyni, ciągle ostrzeliwanej z rkm-u i broni pojedynczej, trwał
krzyk, jęki i rozdzierający uszy wrzask dzieci. Ksiądz od ołtarza,
w szatach liturgicznych, wraz z innymi kobietami uciekał przez za-
krystię, ale na zewnątrz wszyscy zostali zabici. Mój ojciec, który
był organistą, uciekał z ludźmi przez drzwi przy chórze. Banderow-
ski bandyta podbiegł i czterokrotnie strzelił do ojca. Na szczęście
coś zacięło i ojciec zdołał uciec.

Po jakimś czasie w kaplicy pozostali już tylko zabici i ran-
ni. Banderowcy, widocznie czymś spłoszeni, wycofali się do lasu
w pobliżu kaplicy. Skradając się ostrożnie, wyjrzelśmy zza drzwi
i nie widząc już uzbrojonych banderowców, uciekliśmy do poło-
żonej obok kaplicy organistówki. Wokół kaplicy i na ścieżce do
organistówki leżało wiele trupów kobiet i dzieci, ranni czołgali się

w zboża. W organistówce początkowo schowałem się w piwnicy z kolegą Żebrowskim, jednakże po jakimś czasie doszliśmy do przekonania, że Ukraińcy mogą przyjść i odnaleźć nas. Na zewnątrz trwała już martwa cisza. Stwierdziwszy, że w pobliżu nie ma już rezunów, uciekliśmy w zboża, skąd pełzając i biegnąc dotarliśmy do odległego ok. 2 km Oktawina. Mieszkańcy tej polskiej wioski, zaniepokojeni strzałami w Chrynowie nie wiedzieli jeszcze, co tam się stało. Opowiedzieliśmy z kolegą o masakrze kobiet i dzieci, o trupach widzianych na zewnątrz kościoła i zabiciu księdza.

Przypuszczalnie podczas napadu na kaplicę w Chrynowie, zarówno w jej wnętrzu, jak i wokół świątyni oraz w organistówce i plebanii zginęło 150 osób, przeważnie kobiety i dzieci. W tę samą niedzielę 11 lipca 1943 r. wymordowano Polaków w Grzybowicy, Czerniakowie, Niskieniczach, Stasinie, Kałusowie i na kolonii Franopol. Po wymordowaniu ludności polskiej w wymienionych miejscowościach, co nastąpiło w godzinach wczesnorannych, zaatakowana została właśnie kaplica w Chrynowie, probostwo, organistówka, a także położona obok gajówka i okoliczne domy polskie.

Tej samej niedzieli wymordowana została ludność polska przybyła na nabożeństwa w następujących polskich kościołach w okolicach Włodzimierza Wołyńskiego: Zabłoćcach (Zabłotcach) – około 200 osób, Porycku – około 500 osób i Kiesielinie – około 100 osób. Po południu w tymże Stasinie banderowcy zamordowali chorego Płońskiego i jego żonę. Zabity został, również w kaplicy w Chrynowie, dzierżawca majątku Chrynow, pan Salwa. Dlaczego banderowcy nie zaatakowali położonych niedaleko Oktawina i Smołowej? Prawdopodobnie obawiali się, że napotkają tam zbrojny opór, być może zorganizowaną obronę i dlatego zadanie to, odnoszące się i do innych okolicznych kolonii polskich, pozostawili sobie jako cel do zrealizowania w następnym etapie."

Zacytowana powyżej relacja pana Zygmunta Abramowskiego nie została opowiedziana przez panią Wiesławę Nowacką, ale zamieściłam ją w tych wspomnieniach, by ukazać tragiczny przebieg masakry wiernych w kościele w Chrynowie. A właśnie na to nabożeństwo szły i - na szczęście jak się okazuje - nie doszły tej pamiętnej „krwawej niedzieli”, wspomniane przez autorkę, jej babcia Rozalia Palczyńska oraz kuzynka Janina Winiarz. Zatem relacja pana Zygmunta bezpośrednio wiąże się ze wspomnieniami pani Wiesławy i dlatego stało się wielce pożytecznym zamieszczenie jej i w tym opracowaniu.

Uciekaliśmy, a ludzie płakali i w głos rozpaczali

Babcia Rozalia Pałczyńska powróciła spiesznie do domu i zaraz opowiedziała wszystkim, co się stało tego dnia w lesie. Dzięki jej informacjom oraz innym tragicznym świadectwom, które wciąż napływały, mieszkańcy naszej małej kolonii Bolesławówka błyskawicznie zorientowali się o grożącym nam niebezpieczeństwie. Ktoś inny potwierdzał jeszcze, że Ukraińcy rzeczywiście napadli zbrojnie na modlących się w kościele w Chrynowie. Opowiadał dla przykładu o trzech granatach wrzuconych do świątyni, które jednak na szczęście nie wybuchły. Nic dziwnego, że w naszej społeczności wybuchła niemal panika. Wszyscy na łeb na szyję ładowali swoje rzeczy na furmanki i uciekali czym prędzej do miasta Włodzimierz Wołyński. W tym pośpiechu nie było czasu na żadne rzeczy osobiste, nie mówiąc o pozostałym mieniu, częstokroć dorobku całego życia.

Dokładnie pamiętam, jak moi rodzice, moje dwie siostry Henryka i Kazimiera oraz rodziny najbliższych sąsiadów i ja w największym pośpiechu załadowaliśmy się na furmankę naszego sąsiada, a następnie polnymi drogami dotarliśmy do miasta. Choć byłam dzieckiem zaledwie 6-letnim, to niesamowicie, ale naprawdę pamiętam, jak bardzo to wszystko przeżywałam i jak bardzo się wtedy bałam. Dookoła ludzie płakali i w głos rozpaczali. To były naprawdę koszmarnie chwile i godziny. Na domiar złego na wozie byliśmy poukładani jak śledzie i było mi bardzo gorąco. Kiedy wyruszyliśmy z domu na dworze robiło się już ciemno, a gdy znaleźliśmy się na łąkach przylegających do miasta, była już pełna noc. Zeszliśmy z wozu i dalej uciekaliśmy tymi łąkami. Natychmiast poczułam dużą wilgoć podłoża. Właśnie tam na Zarzeczcu poważnie zaziębiłam lewą nogę, tak że już po kilku zaledwie dniach pobytu w mieście rodzice oddali mnie do szpitala. Na razie jednak szczęśliwie brnęliśmy pośród ciemności dalej, aż dotarliśmy do pierwszych zabudowań miasta. Zatrzymaliśmy się u znajomych moich rodziców, w domu pani Czubińskiej, która w tym czasie była już wdową.

Jeszcze was za mało mordują...

Zdaję sobie sprawę, że słowa te są straszne, po prostu makabryczne, ale właśnie taki los na tamten czas zgotował człowiek drugiemu człowiekowi.

Ponieważ moja noga bardzo spuchła i nic nie pomagało, trafiłam w mieście do szpitala. Dyrektorem tej ważnej placówki był Ukrainiec, człowiek wrogo nastawiony do nas - Polaków. Moja mamusia Adela razu pewnego przyszła do mnie, aby mnie raz jeszcze pozdrowić i w mojej chorobie utulić. W tym samym czasie w szpitalu było już bardzo dużo ludzi z licznymi obrażeniami i najróżniejszymi chorobami. Jako jeszcze małe dziecko czułam się tam, pośród nieustannych jęków, tak bardzo zboliałych ludzi, wprost strasznie i nikomu czegoś podobnego nie życzę. Na domiar złego mój stan zapalny okostnej był dość poważny, a ponieważ nie było wtedy antybiotyków, wyniszczał mój organizm.

Szczególnie cierpiałam po przebytych zabiegach, dlatego mamusia przychodziła do mnie często i z wielką miłością podtrzymywała mnie na duchu. Chciała - i tak czyniła - abym w tym tak trudnym dla małego dziecka doświadczeniu bólu i cierpienia nie czuła się sama. I właśnie podczas jednej z takich wizyt, gdy mamusia była przy mnie, przechadzał się po tym oddziale ów Ukrainiec, nie byle kto, bo przecież dyrektor całego szpitala. Widząc tak bardzo sponiewieranych przez los ludzi, a było tam w tych dniach rzeczywiście dużo ofiar ukraińskich rzezi, wielu z głębokimi obrażeniami ciała i kończyn, powiedział dość głośno, wyrażnie i bez ogródek: „Dobrze wam tak Polacy! Jeszcze was za mało mordują!” I choć sama nie słyszałam tych słów, albo już dziś sobie nie przypominam, to jednak wiem o tym bardzo dobrze, bowiem osobiście słyszała to moja mama Adela. Mama niekiedy do tego wracała i zawsze zaznaczała, że słowa te padły na korytarzu szpitalnym, który również był gęsto obłożony cierpiącymi ludźmi.

Nie pamiętam właściwie już dziś, jak długo byłam w szpitalu, ale przypuszczam, że było to około trzech tygodni i z nogą w gipsie wróciłam do domu. Niestety, nie był to koniec mojego bólu i cierpienia, bowiem pod gipsem szybko rozmnożyło się robactwo i znów trzeba było gips z nogi zdejmować, ale i z tego wyszłam z Bożą pomocą. Ledwie trochę doszłam do siebie, a już opatrność Boża zafundowała mi kolejne doświadczenie, jeszcze dużo straszniejsze, niż to poprzednie. Zachorowałam bowiem na coraz bardziej powszechną w mieście, niezwykle groźną epidemię „krwawej dysenterii”. Na początek dostałam biegunki i dużej temperatury, dość powiedzieć na tym, że już po kilku dniach zważyło mnie z nóg i straciłam przytomność. Niestety, nikt nie usiłował nawet wieść mnie

do szpitala, wszyscy wiedzieli dobrze, że z tą chorobą i w tamtym czasie jest to po prostu nieosiągalne. I właściwie do dziś, jeszcze kilkadziesiąt lat po wojnie, nie miałam pojęcia, że we Włodzimierzu Wołyńskim funkcjonował oddział specjalny dla ludzi dotkniętych tym strasznym doświadczeniem. W naszych warunkach mogły przeżyć tylko najsilniejsze dzieci. Niestety, wiele umierało, a miejscowa wspólnota wiernych chowała je z żalem na miejscowym cmentarzu. Ja sama wyszłam cała z tej opresji, dzięki wielkiej troskliwości i zapobiegliwości mojej kochanej mamusi Adeli, która jakimś szczęśliwym trafem dowiedziała się o pewnym skutecznym leku. Nabyła więc zioła, które miały poskutkować, a które nazywają się krwawnik. Codziennie cierpliwie parzyła je i podawała mi do picia. I rzeczywiście nastąpiła widoczna poprawa zdrowia a choroba z czasem ustąpiła całkowicie. Moja męka trwała jednak nadal. Tym razem około miesiąca. Działo się to wszystko w zimie i dzięki łasce dobrego Boga, na wiosnę 1944 r. brykałam już zdrowa.

Ostatnie wołyńskie dni

Nasza kolonia Bolesławówka nie uległa zniszczeniu i stała aż do października roku 1943. I choć dookoła żywym ogniem płonęły całe polskie osady, jak na razie nie było właściwie wiadomo, dlaczego rezuny wciąż oszczędzali to miejsce. Przypuszczam jednak, że to był stary i sprawdzony proceder na naiwnych Lachów, którzy w swej bezgranicznej ślepotie sądzą, że jak już rzeź raz przeszła, to się już więcej nie powtórzy. A przecież z naszej kolonii nikt jak dotąd nie został zamordowany. Jest to oczywiście nie tylko dar Bożej Opatrzności, ale i przytomności ludzi, którzy w czas, tak jak stali, bez niczego pouciekali do miasta, ratując tym samym najcenniejszy dar ludzkiego życia. W tym miejscu pragnę się głośno zastanowić, gdyż nie sposób osądzać, myślę jednak, że wolnostojące chaty polskie na Bolesławówce były właśnie klasycznym przykładem: „rezunowego waba”.

Wczesną wiosną nasz tatuś Władysław Sadło zdecydował, że musimy opuścić miasto i udamy się do bazy polskiej samoobrony na Bielinie. Mieszkali tam nasi kuzyni, w tym stryjeczny brat naszego tatusia Stanisław Sadło, który mieszkał w samym Bielinie, oraz jego rodzona siostra Teofila Sadło. Właśnie w jej domu zatrzymała się tymczasowo nasza rodzina. Pamiętam, jak wielu było tam na-

szych polskich partyzantów, jak wielu z nich przychodziło do domu Teofili, aby umyć się, zjeść i odpocząć nieco. Każdy to przecież wie, że żołnierska dola, a specjalnie frontowa służba, to nie weselna drużba. Byłam tym wszystkim niemal oszołomiona, a na pewno bardzo miło zaskoczona. Patrzyłam jak dziecko i widziałam, że naszych żołnierzy jest aż tylu, taka masa, że było na co popatrzeć.

Zdaje mi się, że byliśmy tam przez całe lato, aż do wczesnej jesieni, kiedy wraz z Niemcami opuściliśmy rodzinny Wołyń. Przeszliśmy wtedy most w Zosinie i tak znaleźliśmy się na Ziemi Zamojskiej. W tej naszej tułaczce na krótko zatrzymaliśmy się w Siatańcu pod Zamościem, a potem w Udryczach, aby w końcu osiąść na stałe we wsi Cześniki. Zajęliśmy dom po rodzinie ukraińskiej, która tak jak wiele innych, wyjechała w ramach wymiany na Ukrainę Sowiecką. Działo się to wszystko w pierwszych dniach wiosny 1945 roku.

Jak już nadmieniałam wcześniej, w naszym domu rodzinnym często powracał temat Wołynia. Moi kochani rodzice Władysław i Adela nigdy nie zapomnieli o naszej rodzimej kolonii Bolestawówka, o ofiarach w kaplicy w Chrynowie i na całym Wołyniu. Naturalnie wybaczam ukraińskim zbrodniarzom ich podłe, nikczemne i nieludzkie czyny, których masowo dopuszczali się na niewinnej ludności polskiej, przeważnie na bezbronnych kobietach i dzieciach. Nie wolno jednak nigdy zapomnieć, nie wolno dopuścić, by ofiara tak wielu niewinnych Polaków na Kresach mogła kiedykolwiek popaść w zapomnienie. Winniśmy wieczną pamięć tym wszystkim, którzy odchodzili w tak strasznych mękach i którzy pozostali tam już na zawsze, jakże często w zupełnie zapomnianych, nieoznakowanych miejscach.

Koniec Chiniówki

Anastazja Paszkowska urodziła się 15 kwietnia 1912 roku we wsi Chiniówka, gm. Nowomalin, pow. Zdobunów, woj. wołyńskie.

W 1939 roku mąż poszedł na wojnę. W 1940 r. urodziłam dziecko. Wojna długo nie trwała, mąż powrócił, ale naszą wolną niepodległą Polskę wrogowie znów rozebrali. Rosjanie weszli ze wschodu, a Niemcy z zachodu. To już był czwarty rozbiór Polski i Polacy znów zostali w niewoli.

W 1942 roku urodziłam drugie dziecko. Była bieda. Rosjanie w 1940 roku zaczęli wywozić na Sybir ludzi bogatych, których nazywali kulakami, ale także policjantów, oficerów polskich i ich rodziny. W 1941 roku Niemcy napadli na Rosjan. Wtedy zrobiło się jeszcze gorzej. Nic nie można było kupić. Ludzie potajemnie mieli zboże na żarnach. Nie wolno było piec chleba, wszystko trzeba było oddać Niemcom. Zaczęto wywozić do Niemiec na roboty młodzież, a nawet dzieci 10-, 15-letnie. Z drugiej strony – Ukraińcy zaczęli napadać na polskie wioski. Mordowali Polaków, palili żywcem, rżnęli nożami, siekierami, kosami, widłami, ucinali języki, oczy wydłubywali, rozpruwali brzuchy ciężarnym kobietom, dzieci brali na widły i krzyczeli: „Dywica Lachi, to wasz polski orzeł tytyt!” Żywcem ludzi wrzucali do studni, a na wierzch kamienie i ziemią zasypywali – od małych niemowląt do starych ludzi. Kto się dostał do ich rąk, to już najczęściej nie wyszedł żywy. Taki rozkaz wydał ich dowódca Stypan Bandera i drugi pomocnik Taras Bulba⁸. Polacy uciekali do miast, ale w miastach Niemcy robili łapanki i wywozili – jednych do Niemiec na roboty, a drugich na zatracenie do Oświęcimia, Brzezinki i innych obozów. To było żywe piekło na ziemi! Niemcy mordowali Żydów, a Ukraińcy Polaków. Ludzie zostawiali ziemie, budynki, cały swój dobytek i uciekali z duszą na ramieniu, gdzie kto mógł.

Jechaliśmy w Wielką Sobotę wozem do Komaszówki (20 km), do rodziny mojego męża. Wzięliśmy tylko to, co mieliśmy na sobie i jedną sukienkę na zmianę, bo to na święto. Wybieraliśmy się całą rodziną (mieliśmy już dwie córki Danutę i Halinę). Moja mama powiedziała: „Zostaw mi chociaż Danuskę (starszą), niech ze mną

zostanie.” A córka w płacz, że też chce jechać. To pojechaliśmy razem. Następnego dnia z Komaszówki zobaczyliśmy dym. Zorientowaliśmy się, że to paliła się nasza Chiniówka, która położona była na górze.

Wieści szybko się rozeszły. Wiedzieliśmy, że Ukraińcy napadli. Potem dowiedziałam się, że zamordowali moją mamę, wszystko zabrali, wieś spalili. Nie pojechałam tam. „Czegoż ja tam pojadę – myślałam – żeby i mnie zamordowali?” Po przemyśleniu pojechałam z jednym takim do Mizocza. On zabrał dwoje dzieci zamordowanych siostry i szwagra, mnie i jeszcze dwie kobiety. Oj, straszne to było, że aż! I czemu to tak?! Przecież Ukraińcy to byli dobrzy ludzie. Żenili się, razem chodziliśmy na zabawy, tańczyliśmy, śpiewaliśmy, a potem jakaś cholera ich napadła, diabeł w nich wstąpił – zaczęli mordować Polaków. Nie wiem, że to rozumu nie mieli? I za co to!? Przecież my byliśmy dobrymi sąsiadami.

W Komaszówce mieszkała tylko matka mojego męża, brat i ojciec już umarli. Miała dziewięć hektarów ziemi i chciała, żebyśmy tam u niej mieszkali, ale ja wołałam na trzech hektarach z moją matką w Chiniówce. Gdyśmy na ten dym patrzyli, to nie wiedzieliśmy co robić czy uciekać, czy zostać. A Ukraińcy byli tacy skryci, nie przyznawali się, że będą mordować. Ale widać było, że jest źle, nie chcieli już z Polakami rozmawiać. Mówili: „Lachy smerdziasze”. Po lasach siedzieli ci z bandy, chowali się. Niektórzy nie chcieli iść do bandy. Tak, jak mój ukraiński kawaler, co go nie chciałam. Mówił dobrze po polsku, ładnie rozmawiał, był dobrym człowiekiem, ale dobrze, żeśmy się nie ożenili. Poszedł więc do Ostroga – tam brali do wojska i Polaków i Ukraińców razem. Z nim poszło jeszcze dwóch, ale tego nie dożyli. Jeszcze zanim włożyli mundury wojskowe, to ich Ukraińcy pobili, pozabijali, bo nie chcieli iść do bandy. A wokoło było strasznie. Nie było takiej polskiej wioski, co by Polaka nie zamordowali, a wiele całych wiosek poszło z dymem i na zatracenie.

Moją mamę, wujaszka, wujenkę i ich dwóch synów to nożami zamordowali. Takimi długimi. Mama dostała osiem razy w plecy. Tuż na targu kiedyś kupiłam taki długi, mocny nóż – na pamiątkę, że takim właśnie zamordowano mi mamę. Moja mama nazywała się Rozalia Wierzbicka.

Kazali wszystkim się położyć i tak ich mordowali nożami. Wuj Piotr nie chciał się położyć to mu brzuch rozpruła i męczył się,

bo mu kiszki wypłynęły. Jego syn Wacek (15 lat) zaczął uciekać. Został postrzelony w nogi, upadł, doskoczyli do niego i podziobali nożami raz przy razie. Drugi syn Jan (12 lat) paśł krowy. Został złapany razem z czwórką innych dzieci – miały poprzebijane piersi bagnetami i powiązali ich drutami kolczastymi. Najstarszy syn Marian przybiegł do domu, chciał ostrzec, żeby się chowali, ale już było za późno. Krwi było po kostki. Moja mama i jego mama jeszcze się trzepały i charchotały, a ojciec ryczał z bólu. Żądali pieniędzy i zegarków, potem kazali się kłaść na podłodze i zadawali ciosy. A później on ich wszystkich pozaciągał i powrzucał do jamy. Była taka głęboka jama, w której na zimę składowaliśmy kartofle. Tam ich wrzucił jak do grobu. Tylko przykrył jamę prześcieradłem. Mój wujaszek, co go pociągnęli nożem przez brzuch, jeszcze żył do niedzieli. Ojciec go zabandażował, wziął na wóz i chciał zawieźć do Mizocza, ale umarł po drodze, więc wrócił do Chiniówki i wrzucił do dołu z resztą rodziny, żeby byli razem. Nawet nie zasypywał, tak zostawił i sam uciekł do Mizocza.

Z Ukraińców porobiły się diabły i my się ich baliśmy. A to wszystko Niemcy porobili. Obiecali im Ukrainę. I co?! W Dubnie służyła taka jedna Niemka z Komaszówki. I ona dowiedziała się od Niemców, że będzie napad ukraiński na Komaszówkę, bo oni wiedzieli, ale nic nie robili. Poszła więc do Niemców i poprosiła: „Tam biedne, dobre ludzie mieszkają, nie mordujcie ich. Nie pozwólcie. Obrońcie.” W nocy pojechało niemieckie wojsko do Komaszówki. Wszyscy ludzie byli tam przestraszeni, pochowali się, niektórzy uciekli na noc na pole. No, ale my z małymi dziećmi nie mieliśmy jak uciekać. Wszyscy z małymi dziećmi, starzy, chorzy zostali w jednym domu. Wszystko pozamykaliśmy. A tu stukanie. Mąż tej Niemki był Polakiem i to on był z tymi Niemcami. Zawołał: „Nie bójcie się, to Niemcy przyjechali z Dubna, żeby was obronić.” Teściowa otworzyła więc drzwi. Na drugi dzień jednak ci wojskowi mówią: „Uciekajcie stąd! Więcej was nie możemy bronić. Dzisiaj darujemy wam życie, ale jutro zabierajcie się, bo będą was mordować.” Niemcy z Ukraińcami to jedna paczka była.

Uciekliśmy więc do Dubna. Tam byliśmy na kwaterze u Ukraińców i baliśmy się. Mój mąż załatwił wagon i uciekliśmy do Brodów. Potem w Brodach całe miasto ewakuowali. Niemcy wywozili do lagru, do Lwowa, a stamtąd jednych na zagładę do obozu, innych na roboty, jednych gdzieś spalali, innych gdzieś tam zabijali. Ginęli

i Polacy, i Ukraińcy, i Ruscy, i Żydzi – wszyscy! Nie wiem jakim cudem my ocaleliśmy, ale przeżyliśmy.

Tak się kończy kresowa opowieść pani Anastazji. Potem wcale nie było jej łatwiej. Po długiej tułaczce osiadła wreszcie po wojnie na Ziemiach Zachodnich, aż wreszcie zamieszkała w Sulechowie.

Straciłam rodzinę, ale czy to ja jedna?

Eugenia Ziembowska z domu Siuda. Ojciec Mieczysław Siuda był murarzem, a matka Aniela Siuda z domu Skrzypczyk – krawcową. Brat pani Eugenii, Ludwik urodził się 14 lutego 1934 r. lub 1935 r. Natomiast bohaterka opowieści urodziła się 30 kwietnia 1932 r. w Brześciu nad Bugiem, gdzie rodzina mieszkała do połowy 1944 r. Przed wojną ojciec otrzymał nieodpłatnie od Piłsudskiego plac pod budowę i postawił dom. Do tego był sad i duży ogród.



Rodzice Mieczysław i Aniela Siuda.

W 1940 roku matkę, gdy wracała od swego brata, NKWD za-
brało na Sybir. W 1941 roku, na tereny, na których mieszkaliśmy
ponownie weszli Niemcy. Ludzie gromadzili się w naszym domu,
gdzie odbywały się narady. Byłam za mała, aby zrozumieć o co
chodziło. W 1942 roku zamieszkała z nami pewna Ukrainka. Na-
zywała się Helena Misiluk. W tym też roku, pewnego dnia przyszli
do nas Niemcy. Pobili ojca. Wybiegłam z drugiego pokoju. Ojciec
siedział na krześle zalany krwią. Podbiegłam i objęłam go za kola-
na, a wtedy Niemiec uderzył mnie z prawej strony w głowę, tak, że
utraciłam słuch w prawym uchu. Ojca zabrano do więzienia, które
w przeszłości budował. Tam został rozstrzelany. Po tym wydarze-
niu pewnego dnia przyszedł do nas młody mężczyzna, Polak i po-
bił Ukrainkę. Później zagroził, że jeżeli jeszcze kogoś wyda, to już
świata oglądać nie będzie. W dniu, w którym Niemcy przyszli po
mojego ojca, jej nie było w domu.

Po tym zdarzeniu Ukrainka wyrzuciła mnie i mojego brata
z domu, bo nie chcieliśmy do niej mówić „mamo”. Spaliśmy więc
na strychu, a jedzenie zdobywaliśmy w przeróżny sposób. W 1942
roku Ukrainka oddała nas do sierocińca. Brata, który był niebiesko-
okim blondynem wytypowano na adopcję do Niemiec.

W sierocińcu przeżyliśmy gehennę. Dzieci stamtąd były sprze-
dawane. Pamiętam bicie i głód. Najgorzej miały te dzieci, które mo-
czyły się w nocy. Nie dawano im spać do północy, później szybko
zasypiały zmarznięte i zmęczone. Gdy się zmoczyły wrywano je
ze snu i bito. Płacz i bicie, istne piekło.

Kiedyś Niemka chwyciła mnie za głowę i uderzyła w kant że-
laznego łóżka. Powstała duża rana, a później w tym miejscu zrobiła
się skorupa. Miałam piękne warkocze, ale wtedy obcięto mi włosy
na jeża. Bardzo płakałam po stracie włosów i chciałam umrzeć.

Wzięła czy wykupiła mnie stamtąd jakaś rodzina. Miałam ka-
tar kiszek i żołądka. Ciągłe chciało mi się jeść cebulę i w niczym nie
czułam smaku. Byłam owrzodzona. Zaczęli mnie kurować, stosując
medycynę naturalną i wyzdrowiałam. Mieszkłam w Brześciu przy
ul. Krzywej. Na rogu z ul. Batorego stał duży, prostokątny budynek
z żółtą elewacją. Przybywali tam wystraszeni, często pokaleczeni
Polacy z Ukrainy, ale przebywali tam krótko, bo Niemcy gdzieś ich
wywozili. Moi opiekunowie pomagali tym ludziom. Gotowali zupy
i dokarmiali po kilkoro dzieci, co dzień inne, a na odchodne dawali
im chleb, aby i starsi mogli się pożywić.

Niemcy wysiedlali mieszkańców całymi ulicami i mówili, że mogą jechać do krewnych lub znajomych w centralnej Polsce. Ludzi wywożono do Auschwitz. W Kielcach kilka rodzin wykupiło się złotem u maszynisty, żandarmerii i w komendanturze miasta, uzyskując pozwolenie na zameldowanie i kartki żywnościowe.

1 maja 1945 roku wraz z opiekunami pojechałam na Ziemie Zachodnie.

W tej zawierusze wojennej rozdzielono mnie i brata, którego szukam do dziś. 22 grudnia 1944 roku brat trafił do Domu Dziecka w Krzemieńcu Podolskim, skąd 10 lutego 1945 roku uciekł. I tu ślad po nim się urywa. W tygodniku „Naj” w 1999 roku był reportaż w tej sprawie. Wierzę i czuję, że przeżył i może jeszcze żyje, ale być może ma inne nazwisko. bo uciekając, nie myślał o dokumentach.

Nie mam też do dziś informacji o mamie, chociaż kilkakrotnie poszukiwałam ją przez Czerwony Krzyż.

Straciłam rodzinę, ale czy to ja jedna?



Eugenia Siuta później Ziębowska z matką i bratem.

Mój „Wybawca”

O bestialskich czynach, rzeziach i morderstwach dokonanych przez banderowców na Polakach żyjących na Wołyniu, wiemy wiele. Świadczą o tym liczne publikacje, wydania książkowe i historyczne, a także relacje i opisy naocznych świadków. Mój przypadek jest nieco odmienny, wyjątkowy, lecz godny opowiedzenia dlatego, że w tych trudnych czasach, w okrucieństwie tam panującym, w tych okrutnych, bezwzględnych ludziach odzywał się czasem również odruch człowieczeństwa. Dlatego postanowiłem go przedstawić w miarę wiernie i prawdziwie, jak mogłem.

Był sierpień 1943 roku, okres żniw. Piękna słoneczna pogoda. Niedzielne popołudnie. Bawiłem się z kuzynem, trzyletnim Frankiem, moim rówieśnikiem na podwórku. Nagle usłyszałem głośnie krzyki, wrzaski i bicie w lemiesz – dzwonienie. Był to umówiony sygnał na wypadek grożącego niebezpieczeństwa lub zagrożenia ze strony banderowców. Pobiegłem do domu i oznajmiłem dziadkowi, co usłyszałem. Dziadek obeznany w tych sprawach szybko zorganizował ewakuację do najbliższego lasu.

Problemem była moja mama, która w tym czasie chorowała na tyfus i nie mogła opuścić swego łóża. Wszelkie próby zabrania ze sobą mamy do lasu się nie powiodły, a wrzaski i krzyki, a nawet strzały dały się słyszeć coraz bliżej naszego domu. Czas naglił, nie było więc czasu na zastanawianie się, co dalej robić.

Wszyscy domownicy, tj. dziadek, babcia, ciocia z dziećmi w wieku 3 i 7 lat i wujek 16-letni, w pośpiechu opuścili dom i uciekli do lasu – budeńskiego lasu; tak nazywano stary pobliski las. Mama zostaje, a jej wolą jest zatrzymanie mnie przy sobie – jak mi później opowiadała – nie chciała, bym został sierotą, aby mną nikt później nie pomiałał. Pragnę dodać, że ojca przy nas nie było, był



Mama i wujek autora, Florianna i Jan Hryniewieccy. Fot. Zakład fotograficzny w Korcu 1938 r.

na wojnie. Został zmobilizowany w Sarnach, przeszedł cały szlak bojowy przez Warszawę, Kołobrzeg, do Berlina.

Po kilku, może kilkunastu minutach wrzawa się wzmogła, dał się słyszeć tętent koni i przed naszym domem, a tuż przy uchylonych oknach stało dwóch banderowców, jeden wysoki, drugi niski. Rozmawiali i rozprawiali o tym, czy jest jeszcze ktoś z Laszków w domu.

– Pewnie uciekli w lis (do lasu) – powiedział niski – bo chliw (chlew) i obora są otwarte, a świnie i krowy chodzą po podwórku.

– Zobaczym zara – powiedział wysoki.

Po chwili obaj wpadli do domu z myślą zapewne więcej o rabunku niż... że w domu kogoś zastaną. Zatrzymali się w progu i stanęli jak wryci, widząc leżącą w łóżku kobietę, a przy niej wystraszone i płaczące dziecko. Ten wyższy podszedł do nas bliżej, wlepił w nas oczy i zdziwiony zapytał:

– Chlorka, to ty? (Mama miała na imię Florianna)

– Tak to ja – odparła mama, poznając w pytającym Iwanka, bo tak go kiedyś nazywano.

– A to je twoje dete (dziecko)? – zapytał.

– Tak, to mój synek – odpowiedziała.

– A muż de (a mąż gdzie)? – pytał Iwanko.

– Na wojnie – odpowiedziała spokojnie mam.

– To zabieraj swoje dziecko (dete) i natychmiast uciekaj (wtykaj)! – rozkazał.

– Ja nie mogę uciekać, przecież jestem bardzo chora – odrzekła mama.

– Na co ty chorujesz? – z zainteresowaniem zapytał Iwanko.

– Na tyfus – odpowiedziała mama.

Banderowcy spojrzeli na siebie znacząco, po czym Iwanko zapytał mamę:

– Owies dla koni u ciebie jest?

– Idź do stodoły, tam znajdziesz – odpowiedziała mama.

Obaj wyszli z domu, my zostaliśmy sami. Mama gorliwie i głośno modliła się do świętego obrazu wiszącego na ścianie naprzeciw. Po jakimś czasie ponownie weszli do domu. Widząc nas wystraszonych i płaczących.

– No, zabijaj, zarzynaj (rizaj), po to tu przyszedłeś! – powiedziała mama do wyższego.

– Oj, nie mów tak. My was rizat nie będziemy, a chcemy pomóc.

– A jak ty chcesz nam pomóc? – zapytała mama.

– My ciebie i chłopca wyniesiemy z chaty do sadu i odjedziemy.

Mama z niedowierzaniem spojrzała na niego, nieco się uspokajając.

– Rób, jak chcesz – powiedziała.

Iwanko szepnął coś drugiemu na ucho, po czym obaj podeszli do łóżka i wynieśli nas do ogrodu, stawiając łóżko pod rozłożystą gruszą z dala od zabudowań. Pomachali nam na odchodne rękami i przystąpili do... podpalania domu i zagrody.

W lesie niedaleko domu, około 300-400 metrów, nasi najbliżsi widząc, co się dzieje, zwłaszcza wujek, siedzący na drzewie i obserwujący dom, nie mieli wątpliwości, co się z nami stało. Płaczom i lamentom nie było końca. Wiedzieli, że zginęliśmy, że zostaliśmy spaleni żywcem.

Pod wieczór, kiedy pożoga ustala, we wsi ucichło, dziadek, babcia i wujek postanowili odwiedzić pogorzelisko w nadziei, że może coś zostało, może coś użytecznego jeszcze znajdą. A może coś ocalało... jakież było ich zdziwienie, zaskoczenie a jednocześnie wielka radość, kiedy niedaleko pogorzeliska zauważyli łóżko, a w nim chorą lecz żywą córkę z wnuczkciem.

Wszyscy byli ciekawi, jak to się stało, że przeżyliśmy pogrom. Mama szczegółowo opowiedziała zdarzenie dziadkom oraz komu zawdzięczamy nasze przeżycie. Jeśli idzie o wspomnianego banderowca o imieniu Iwanko – był to mężczyzna w wieku około 25 lat. Był postawny, mieszkał w miejscowości Ujście, czyli sąsiedniej wsi, oddalonej od Budek Ujściańskich, gdzie mieszkaliśmy, o 3 kilometry. Wieś tę w większości zamieszkiwali Ukraińcy. Moją mamę znał z 4-klasowej szkoły powszechnej, a także z różnych spotkań i zabaw towarzyskich.

Zastanawialiśmy się wszyscy, czy to Opatrzność nad nami czuwała, czy był to cud, czy przypadek, że do naszego domu Bóg skierował akurat Iwanka, a nie na przykład jakiegoś Wasylka. Wówczas finał takiego spotkania byłby wiadomy.

Że nas banderowcy ocalili od śmierci, to fakt, ale że sami się narażali, to ewenement w ich poczynaniach. Przecież za odstępstwo od przyjętych zasad, za niesubordynację groziło im wielkie niebezpieczeństwo, łącznie z karą śmierci, gdyby o tym fakcie dowiedzieli się ich bezwzględni koledzy lub szefowie.

A jednak i w tych ludziach zwyciężył odruch człowieczeństwa. Chwała Bogu! W rezultacie podczas omawianego napadu w Bud-

kach Ujściańskich zamordowanych zostało kilkadziesiąt osób (jedne źródła mówią o 34 ofiarach, inne o 50). Faktem jest, że wielu zginęło w sposób okrutny. Ocalała z pogromu ludność rozproszyła się po całym rozległym terenie, szukając schronienia, gdzie się dało, bo do domu nie było po co wracać. Banderowcy przeważnie po napadzie rabowali domy, a potem je palili. Nasza rodzina znalazła schronienie tymczasowe w Głuszkowie, wsi oddalonej od Budek o około 5 kilometrów, której jeszcze nie dotknęła pożoga banderowska, a później w Korcu. Jednak część uciekinierów z Budek przetrwała trudny okres w tym rejonie w bardzo prymitywnych warunkach, w schronach i ziemiankach w lesie. Ta poniewierka trwała aż do wiosny 1945 roku, kiedy nastąpiła masowa deportacja mieszkańców na Dolny Śląsk i Pomorze Zachodnie.

Wprawdzie w czasie ukraińskiego zagrożenia w 1943 roku powstawały w większych wsiach oddziały samoobrony, m. in. w Budkach Ujściańskich, Dermance, lecz ze względu na jej słabe uzbrojenie i rozczłonowanie wsi na dużym obszarze, nie mogła ona być skuteczna.

Pragnę dodać, że w innych potyczkach z banderowcami, w ramach oddziałów samoobrony, np. w Dermance, gdzie się urodziłem, zamordowanych zostało dwóch moich stryjów – Jan, lat 20 i Franciszek, lat 18 oraz mój chrzestny (wujek) – Jan Hryniewicz, lat 22. Budki Ujściańskie, jak i Dermanka figurowały jako wsie czysto polskie, z ponad 160 zagrodami każda, licząc po ponad 800 mieszkańców. Budki należały do parafii Dermanka, gmina Ludwipol, powiat Kostopol. We wsi funkcjonowała 4-klasowa szkoła powszechna.

65 lat później, we wrześniu 2009 roku wybrałem się z wycieczką na Wołyń, celem odwiedzenia rodzinnych stron, tj. miejsca urodzenia, chrztu, życia i pracy moich rodziców i dziadków, słowem – powrót do swoich korzeni. Odwiedziłem też miejscowość Ujście, skąd pochodził mój „zbawca i wybawca”. Przejeżdżając przez tę długą, zaniedbana wieś, leżącą przy ujściu rzek Słuczy i Korczyka z ładną cerkwią na wzgórzu – pomyślałem sobie w duchu – w którym z tych niezbyt okazałych domów mieszkał lub mieszka Iwanko? Bo wszelki śluch po nim zaginął i nikt z moich bliskich nie znał i nie słyszał nic o dalszych losach tego człowieka. Nie znając jego nazwiska, nie mogłem spotkanych w tej miejscowości ludzi pytać o niego. Może i lepiej...

Florian Kuriata

Znaki na niebie

Kazimiera Kowalczyk z domu Czerwieniec z kolonii Karczunek Wołyński w powiecie Włodzimierz Wołyński na Wołyniu. W chwili, gdy opowiadała swoją historię mieszkała na Ziemi Zamojskiej w woj. lubelskim.

Urodziłam się na Roztoczu, ale jeszcze tego samego roku moi rodzice Magdalena i Kazimierz Czerwieniec sprzedali swoje gospodarstwo i wyjechali na Wołyń. Tam kupili duże gospodarstwo 12-hektarowe z domem 7-izbowym oraz innymi niezbędnymi budynkami gospodarczymi, w tym: stodołą, oborą, chlewnią, stajnią i innymi spichrzami. Nasza rodzina była i jest polska, a zamieszkaliśmy pośród Polaków i Ukraińców w kolonii Karczunek Wołyński, gm. Uściług, powiat Włodzimierz Wołyński. Nasza kolonia oddalona była tylko 3 km od Uściługa, mieszkało w niej około 15 rodzin polskich i kilka ukraińskich. Nie przypominam sobie, abym chodziła tam do szkoły, byłam za mała, a potem wybuchła już II wojna światowa i gdy zrobiło się niebezpiecznie rodzice nigdzie mnie samą nie puszczali. W tym czasie nie przypominam sobie żadnego przykładu wrogiego odnoszenia się Ukraińców do nas Polaków, przeciwnie żyliśmy jak Pan Bóg przykazał, zgodnie i bez konfliktów, bywało nie raz, że wspólnie dużo się modliliśmy. W tym czasie normalną sytuacją było małżeństwo mieszane polsko-ukraińskie i nikt właściwie się temu nie dziwił.

W najbliższej rodzinie wszyscy byliśmy i jesteśmy wyznania rzymsko-katolickiego, więc do kościoła chodziliśmy przez lasek na drugą wieś około 5 km, jednak dziś nie pamiętam już jak się nazywała. Nasz dom stał na wzgórzu, a w koło posadzony był duży piękny sad owocowy, w którym było dużo czereśni i jabłoni. Było też dużo malin. Jako dziecko czułam się tam bardzo szczęśliwa. Na naszym podwórzu była studnia, przy niej rosło drzewko czeremcha, które latem rozsiewało niezwykle piękny zapach, a w dole była sadzawka, w której radośnie taplały się zwykle gęsi. Było u nas naprawdę wesoło, moje starsze siostry Marianna i Apolonia oraz bracia Stanisław, Zdzisław i Marian, którzy byli starsi ode mnie mieli już wtedy wielu kolegów i koleżanek, którzy ich często odwiedzali i urządzali przy tym najróżniejsze zabawy.

Pamiętam, jak do naszej kolonii przyszły wojska sowieckie. Wydaje mi się, że to było już późną jesienią. Żołnierzy było dużo, może nawet 100. Zajęli prawie cały nasz dom dla siebie, a nam zostawili tylko jeden pokój i kuchnię, zaś duży pokój zamienili na zbrojownię, w której na ścianach rzędami wisiały ich karabiny. Sowieci od samego początku byli wobec nas dość przyjaźni, dla przykładu: radzili mojemu tacie jako kułakowi, aby tak, jak większość miejscowych ludzi zapisał się do kołchozu. Była wtedy mała szansa, że uniknęlibyśmy wywózki na Syberię. Znajomy oficer sowiecki mówił tak do niego: „Czerwieniec ty tutaj nie wygrasz, ty się zapisz do kołchozu, bo ty nie wiesz co to znaczy ruski rząd! Jak się zgodzisz sam, to będziesz mógł tu jeszcze zostać i dostaniesz lepszą posadę w kołchozie!“. Przebieg tej rozmowy słyszałam osobiście, a poza tym rodzice często o tym mówili w naszym domu. Jednak pomimo tego ostrzeżenia, nasz tato był uparty i nie zgadzał się na to. Pamiętam, że właśnie od tego czasu bardzo często przychodziło do nas wezwanie, aby płacić coraz to nowe podatki, dochodziło nawet do tego, że ledwie zapłaciliśmy jeden już musieliśmy płacić następny. Taka to była wolność wyboru w Związku Radzieckim, niszczone nas systematycznie, aż do upadku. Na początek sprzedaliśmy nasze bydło, potem wyprzedawaliśmy już wszystko, co przedstawiało sobą jakąkolwiek wartość, doszło nawet do tego, że sprzedaliśmy naszą bryczkę, a i tak zabrali nam z domu piękny duży zegar ścienny za kolejne podatki. Moja mama wtedy płakała, bo to był bardzo piękny zegar. W sowieckim raju, w krótkim czasie, z ludzi dość zamożnych, szybko zostaliśmy dosłownie zrujnowani. W końcu tato widząc, że nie ma już dosłownie za co żyć, poddał się i napisał podanie do kołchozu. Oficer sowiecki jakiś lejtnant, wstał się za tatą i łaskawie przyjął nas do kołchozu, ponieważ tato był wcześniej oporny nowym formom gospodarowania, otrzymał tylko funkcję pastucha i pał konie.

Upór mojego taty spowodował na nas jeszcze inne poważne niebezpieczeństwo. Sowieci postanowili bowiem wywieść całą naszą rodzinę na Syberię. W tym celu przystali do nas, do domu specjalne papiery, w których nas o tym szczęściu informowali, podając nawet konkretny termin wywózki. Bardzo dobrze pamiętam te dni, gdy rodzice gorączkowo szykowali się do długiej i strasznej drogi, robili w tym czasie pakunki oraz suszyli bardzo duże ilości chleba, popularne suchary i pakowali w worki.

Czerwiec 1941 roku

Pamiętam, że gdy mieli nas wywieść, to był już któryś z najbliższych dni po niedzieli, nieoczekiwanie Niemcy hitlerowskie napadły na Związek Radziecki. Tego dnia siedziałam z mamą i moim rodzeństwem w pokoju, nagle wybuchła bomba obok naszego domu, a druga za stodołą. Bardzo się wszyscy przestraszyliśmy i zaraz uciekliśmy do piwnicy pod domem. W tym czasie, w naszym domu nie było już żołnierzy sowieckich, a ponieważ byli jeszcze poprzedniego dnia, sądzę, że opuścili nas nocą i przeszli do dużego bunkra, który znajdował się niedaleko naszego domu, tylko około 400 m. Sowietci te potężne bunkry nazywali „toczki”. W naszej okolicy był tylko jeden taki bunkier. Gdy tak siedzieliśmy w piwnicy, do naszego domu wpadł nasz tato z łąki, złapał jednego konia szybko powsadzał nas na wóz i po chwili wraz z innymi ludźmi uciekaliśmy na łąki, które w naszych stronach nazywano Piatydnie. Wydaje mi się, że to były te łąki, ale już pewności dziś nie mam. Gdy tam przybyliśmy, było już bardzo wielu ludzi, a obok Niemcy prowadzili złapanych jeńców sowieckich. Dokąd ich prowadzili? Nie wiem. Na tych łąkach byliśmy krótko, czekaliśmy aż przejdzie front, a potem spokojnie wróciliśmy do naszego domu. Znowu zaczęło się normalne życie, a następne miesiące były bardzo spokojne. Nikt nas w tym czasie nie atakował, nikt nas nie prześladował, dlatego nie przypominam sobie, aby w tym czasie Ukraińcy wyrządzili nam jakąś krzywdę. Nie wyzywali nas i nie śpiewali wrogich Polakom piosenek. Wydaje mi się jednak, że sytuacja zaczęła ulegać gwałtownemu pogorszeniu od lutego 1943 r., mniej więcej bowiem od tego czasu Polacy w naszej kolonii Karczunek Wołyński zaczęli się bać nocować w swoich domach.

Pamiętam, że w zimie, nie wiem jednak dokładnie w którym roku, do naszego domu przyszło powiadomienie, że moje dwie starsze siostry mają pojechać na roboty do Niemiec. Zarządzenie było przymusowe, a tym którzy mieli odwagę się sprzeciwić groziła za to kara śmierci. Takie pisma przychodziły do bardzo wielu rodzin polskich w naszej kolonii i w naszej okolicy. Dlatego wszędzie był płacz i lament z powodu odjazdu dzieci i naszej najlepszej często młodzieży. Także mój tato płakał i mówił przy tym: „Już ich więcej nie zobaczę!” I rzeczywiście, Apolonia lat ok. 15. wtedy, więcej już taty nie zobaczyła, chociaż sama szczęśliwie przeżyła i wróciła do

wolnej Polski, była już jednak chora i szybko umarła. Przed śmiercią zdążyła mi jeszcze osobiście opowiedzieć, że Niemcy bardzo źle się z nimi obchodzili i źle ich traktowali. Mścili się na pracujących tam przymusowo Polakach i mówili: „Jak przyjechałeś na ochotnika, to teraz rób i nie licz na nic więcej!”. Starsza siostra wróciła ze stacji kolejowej, bo się za nią wstawili ludzie, była bowiem nauczycielką.

W słonecznej światłości

To było chyba latem 1943 r. Pamiętam bardzo dobrze, że moja najstarsza siostra Maria, zauważyła na niebieskim, pięknym niebie duży napis białymi literami. Było właśnie bezchmurne południe i świeciło piękne słońce, a napis umieszczony był pod słońcem, które świeciło nad nim. Kiedy więc po chwili, wszyscy już z wielkim przejęciem, patrzyliśmy na te litery, to widzieliśmy je w słonecznej światłości. Napis był bardzo wyraźny, Maria zaczęła więc czytać z wielkim zainteresowaniem. W tym czasie moja mama i pozostałe moje rodzeństwo, w tym także i ja, wybiegliśmy na schody naszego domu i widząc ten napis, niektórzy zaczęli głośno płakać i lamentować. To musiało przeszkodzić naszej siostrze, musiało ją rozproszyć tak, że nie zdążyła przeczytać całego napisu i nie zrozumiała o co chodziło w tej informacji, bowiem po chwili napis znikł tak nagle, jakby ktoś gąbką starł tablicę szkolną. Moja siostra miała potem do nas wszystkich pretensje z tego powodu i mówiła tak: „Czegoście tak lamentowali, byłabym wszystko przeczytała i wam potem opowiedziała, a tak ja nie wiem sama do końca, o co chodziło i wy też się teraz nie dowiecie.” Nie wszyscy jednak widzieli ten napis, dla przykładu nasza sąsiadka pani Miszczakowa, która była Polką. Ja osobiście też bardzo dobrze widziałam ten napis i potwierdzam, że było to dwie duże linijki, a litery wyrazów były grube. Wydaje mi się także, że litery były drukowane. Nie pamiętam jednak w jakim języku był napis i nie zdołałam też poznać treści zawartej w tych zdaniach. Następnego dnia ponownie wszyscy obserwowaliśmy niebo, mieliśmy bowiem nadzieję, że to zjawisko, że ten znak na niebie się powtórzy, ale niestety już więcej takich napisów nie zauważyliśmy. Maria miała wtedy około 20 lat, skończone przedwojenne polskie gimnazjum, tak że uczyła w szkole w Uściługu, ale nie wiem, czy знаła wtedy jakiś obcy język.

Inne znaki na niebie

Inne znaki, które pojawiły się na niebie przed rzezią w naszej wiosce i okolicy były jesienią tego samego roku, co napis na niebie. Pamiętam, jak pewnego dnia, gdy już było po zachodzie słońca, moja rodzina i ja sama również oraz wszyscy sąsiedzi z naszej kolonii zobaczyliśmy na niebie „Duży słup ognisty!” Spróbuję go teraz opisać tak, jak go zapamiętałam. To był bardzo dobrze widoczny, ciemno czerwony, po prostu ognisty słup w kształcie długiego, grubego prostokąta. Wyglądał jak belka w stodole, z tym że bardzo krwista. Ten słup świecił bardzo wyraźnie na tle czarnego nieba. Słup był pionowy i tkwił w miejscu, nie przemieszczał się, pokazał się, ale nie spalał. Ten słup ukazał się w innym miejscu niż wcześniejszy napis, całkiem innym. Dziś nie pamiętam, czy słup łączył się z ziemią. Pamiętam, że ten słup trwał na niebie około 10 minut od momentu, kiedy ja go zobaczyłam. Mogę powiedzieć z całym przekonaniem i wiarą, że zarówno wcześniejszy napis na niebie złożony z dwóch linijek, a potem ten krwisty słup, to nie było złudzenie, ja widziałam to naprawdę. Poza tym znak ten oglądała cała moja rodzina oraz wielu ludzi z naszej wioski, słyszałam na przykład rozmowy, podczas których nasi niektórzy sąsiedzi pytani w tej sprawie, zapewniali nas, że także wyraźnie widzieli ten krwisty słup na niebie. Jestem dla przykładu prawie pewna, że widziała to rodzina Miszczaków.

Pamiętam, że niedługo później po tym słupie, na niebie znów ukazał się kolejny, niezwykle znak. To było tak: Kiedy dzień się kończył i robiło się już ciemno, zapadał zmrok a ja byłam w domu, nagle usłyszałam, jak woła nas nasza mama: „Chodźcie prędko dzieci, chodźcie! Zobaczcie, znowu znak nie niebie się pojawił!” Wybiegłam zaraz z domu wraz z całą moją rodziną i pobiegłyśmy do naszej mamy, która właśnie była w ogrodzie, tuż obok domu i robiła chyba w truskawkach. Gdy spojrzałam w niebo zobaczyłam na własne oczy ten znak. Był to duży, czerwony sierp. W środku niego znajdował się również czerwony młot. Można spokojnie powiedzieć: „po prostu znany powszechnie symbol. jeszcze nie dawno istniejącego Związku Radzieckiego”. Chcę podkreślić, że ten znak był bardzo dobrze widoczny i znajdował się na niebie około 10 minut, od momentu kiedy go zobaczyłam. Moja mama medytowała wtedy i załamując ręce mówiła tak: „Co to teraz z nami będzie,

te znaki które się pokazują na niebie, zapowiadają coś niedobrego. To będzie jakaś wojna!” Ale właściwie nikt z nas tak naprawdę do końca nie wiedział, co miał oznaczać z zamyśle samego Boga, owy znak sierpa i młota na niebie.

Mniej więcej w tym samym czasie, w każdym razie jeszcze przed rzezią w naszej kolonii Karczunek Wołyński, na niebie ukazała się duża miotła ognista z różek. Pamiętam, jak ktoś mi wtedy powiedział, że znów pokazał się jakiś znak na niebie. Natychmiast ja i inni z mojej rodziny pobiegliśmy do naszego ogrodu i rzeczywiście na własne oczy zobaczyliśmy. To była miotła z ognia, ale nie tak krwistego, jak poprzedni słup, była jaśniejsza. Pamiętam, że mama powiedziała wtedy do nas wszystkich tak: „Módlcie się dzieci, bo ta miotła nas wszystkich wymiecie. To już będzie nasz koniec, to bardzo niedobry znak.” Wygląd tej miotły był następujący: szeroka u góry, zwieriała się do dołu, by na końcu być już wąska, nie miała jednak drewnianego trzonka. To była po prostu typowa miotła zrobiona z różek brzoźowych. Chcę podkreślić, że różgi widziałam bardzo wyraźnie. Widziałam tę miotłę około 5 minut, a potem nagle znikła bez śladu. Jej żywy obraz wyrzył się jednak na długo w naszych kresowych sercach.

Znak trawiącego ognia

Był jeszcze jeden niezwykle znak szybkimi krokami zbliżającej się tragedii do naszej kolonii, naszych domów i naszych rodzin. W niedługi czas po opisanych wyżej znakach, znów późnym wieczorem, gdy na dworze było już ciemno, moi rodzice zauważyli, że wybuchł pożar w gospodarstwie mojej ciotki Anieli Weneny i jej męża Ignacego. Osobiście tego nie widziałam, ale znam tę sprawę od moich rodziców, którzy wielokrotnie opowiadali o tym, także mnie, ponieważ bardzo głęboko przejęli się tym kolejnym znakiem z Nieba. Mówili: „Widzieliśmy, że bardzo pali się „zagatka” (ściany domu mieszkalnego obłożone grubą warstwą suchej słomy bądź liści i usztywnione deskami i kołkami). Natychmiast wszczęliśmy alarm wśród najbliższych sąsiadów i jak mogliśmy najszybciej, pobiegliśmy w stronę płonącego domu, aby ratować ludzi i budynek. Baliśmy się, że wujek i ciocia nie jeszcze nie wiedzą o grożącym im niebezpieczeństwie. Usnęli bowiem pierwszym, twardym snem i mogą nie zdążyć opuścić mieszkania i tak zginą. Gdy tak pędzi-

liśmy z wiaderkami, byliśmy już w połowie drogi do nich (trzeba było przebiec na przelaj, przez pola około 500 metrów) nagle, dosłownie nagle, ogień zginął, zapadł się pod ziemię, a wszystko wróciło do normalnego porządku. A my przejęci, właściwie przerażeni tak niezwykłym zjawiskiem, wróciliśmy wszyscy do swoich domów.” Czuję się w obowiązku podkreślić, że to nie mogło być zbiorowe złudzenie, mój tato bowiem nie był wtedy sam. Pamiętam, że gdy mi potem o tym opowiadał i gdy rozmyślał o tym z naszymi sąsiadami w naszym domu, to najczęściej powtarzał wtedy tak: „Żeby był sam, to bym różnie mógł to sobie tłumaczyć, że mi się przywidziało, ale przecież wszyscyśmy widzieli i wszyscyśmy biegli ile sił w nogach, aby pomóc ugasić ten pożar. Było nas przecież kilkanaście osób!”. Na drugi dzień, gdy rodzice poszli rano oglądać dom, nie znaleźli żadnego śladu po pożarze. Wszystko było w najlepszym porządku.

Moi rodzice pytali także następnego dnia ciocię i wuja, czy zauważyli coś szczególnego tej nocy, czy widzieli jakiś ogień, ale oni o niczym nic nie wiedzieli i mówili tak: „Nic nie widzieliśmy, żadnego ognia, spaliśmy tej nocy spokojnie do rana.” Nawet nie chcieli wierzyć w to, co moi rodzice i inni sąsiedzi im opowiadali, przyjęli to z niedowierzaniem mówiąc: „To jest niemożliwe! Coś się wam przedstawiło!” Kiedy jednak coraz więcej osób opowiadało to samo, byli tym wszystkim coraz bardziej przerażeni i w końcu zaczęli wierzyć, że jednak coś się działo. Pamiętam bardzo dobrze, że ten pożar był już zimową porą i właściwie tuż przed napadem bandy Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA) na naszą kolonię.

Rozruchy w terenie

Pamiętam, że także nasi rodzice, zabierali nas wszystkich na noc w pole i chowali w dziesiątki (kopy zboża). Gdy pytaliśmy, dlaczego nie możemy nocować w swoim domu, odpowiadali nam zwykle tak: „Teraz są rozruchy, bandy ukraińskie napadają i zabijają, dlatego musimy się ukrywać. A jak by was kto znalazł, to nic nie wolno mówić i najlepiej się wcale nie odzywać. Macie siedzieć cicho.” Już w tym czasie zdarzały się napady na polskie rodziny i jak już na kogoś napadli, wtedy prawie zawsze wszystkich domowników wymordowywali co do jednego. Pierwszą rodziną napadniętą w naszej kolonii była rodzina Józefa Garbatego.

Pewnego dnia od rana ludzie w naszej wsi opowiadali sobie, że zamordowano Józefa Garbatego, lat ok. 45. W nocy do jego domu przyszedli Ukraińcy i dostali się do środka, zaraz potem zarąbali go siekierą, uderzając w głowę. Część mózgu była na ścianie, widziałam to osobiście jako dziecko, ponieważ moi rodzice poszli tam z innymi ludźmi, aby coś z tym ciałem zrobić, a ja pobiegłam za nimi. To był pierwszy raz w moim życiu, kiedy widziałam zabitego człowieka i to tak tragicznie. Ciało leżało na łóżku, głowa była rozłupana. Mama mówiła, że pozbierali ją do kupy. Ja sama gdy zobaczyłam ciało i krew na ścianie, zaraz stamtąd uciekłam. Od tego dnia bałam się takich obrazów i już nie miałam ochoty chodzić w takie miejsca. Rodzina pana Józefa nie została wówczas wymordowana, widocznie ich tam wtedy nie było, a może po prostu zdążyli uciec albo byli schowani w jakimś schronie? Nie wiem, co się z nimi stało. Pamiętam, że zabity był człowiekiem odważnym i silnym, nie obawiał się Ukraińców i nie krył się z tym wcale, powtarzał dla przykładu, że potrafi się obronić, ale jak widać, tym razem mu się nie udało.

Druga rodzina polska wymordowana w naszych okolicach mieszkała niedaleko naszej kolonii, ale dziś już niestety, nie pamiętam dokładnie gdzie, nie pamiętam też nazwiska tej rodziny. W naszym domu rodzice opowiadali, że dom tej pobitej rodziny został napadnięty przez jakąś bandę ukraińską w nocy. W czasie tego najścia w domu była tylko matka, chyba z czwórką małych dzieci. W każdym razie tych dzieci było kilkoro. Gdy Ukraińcy dostali się do środka mąż był ukryty na „górze” (chyba na strychu ich obory) i wszystko osobiście widział i słyszał, a choć strasznie cierpiał nie był w stanie im pomóc. Tymczasem bandyci wszystkich w domu okrutnie pomordowali, nie wiem jednak w jaki sposób. Byłam za to na pogrzebie ofiar, który był w kościele. Przybyło na to żałobne nabożeństwo dużo ludzi. Słysząc było płacz i lament, wszyscy wkoło powtarzali, że zabili niewinną matkę z małymi dziećmi. Osobiście widziałam trumny, a wśród nich także małe. Jedna była taka malutka. Ludzie bardzo przejęci tym co się stało, wciąż powtarzali między sobą tak: „Co te dzieci były im winne, nawet to maleństwo?!” I dodawali przy tym: „Teraz musimy wszyscy się mieć na baczności, uciekać na noc z domu, do Uściługa, do ziemlanek, bo to czeka każdego z nas.”. Ten pogrzeb był chyba latem 1943 r. w kościele, który znajdował się w sąsiedniej wsi, położonej za lasem. Całe lato

mieszkaliśmy w swoim domu, także podczas żniw, a na noc wyjeżdżaliśmy do miasta Uściług i tam nocowaliśmy w opuszczonych już kamienicach pożydowskich. Pamiętam, że nie byliśmy sami. Tak jak nasza rodzina postępowało wiele innych polskich rodzin z okolic Uściługa. Ludzie bali się już napadów ukraińskich na potęgę. My i inni myśleliśmy, że ponieważ tu stacjonują Niemcy to atak ukraińskich band jest mało możliwy. Cały nasz dobytek był tymczasem pozostawiony w domu, łącznie ze zwierzętami domowymi.

W 1943 r. Niemcy nie przepuszczali już ludzi przez rzekę Bug. Mój tato, ja i moje rodzeństwo chcieliśmy uciekać na spokojniejszą Zamojszczyznę, ale nasza mama zdecydowanie się temu sprzeciwiając, ciągle powtarzała: „Nie możemy tego wszystkiego zostawić”. Argumentując przekonywała nas: „My nic nikomu nie winni, to do nas nie przyjdą. Z naszej rodziny i kolonii nie ma mężczyzn w lesie, to do nas nie przyjdą bić.”. A kiedy, chyba to było jesienią 1943 r., sytuacja się zaostriżyła, też już chciała uciekać na zachód, tylko że wtedy Niemcy nie przepuszczali już na drugą stronę Bugu. W tej sytuacji musieliśmy pozostać w naszym domu. W tym czasie moja mama i tato pakowali wiele żywności i wiele innych potrzebnych w przyszłości rzeczy, dla przykładu sprzętu gospodarczego i domowego, jak maszyna do szycia i zakopywali w obrębie naszego podwórka. Ciągłe mieli żywą nadzieję, że tu jeszcze kiedyś wrócą. Mama chciała się chociaż dostać do Hordła, gdzie miała brata Wojciecha Kupca. Tam chciała się zatrzymać na jakiś czas, a potem wrócić na swoje. Kiedy jednak okazało się to niemożliwe zaczęliśmy wszyscy odczuwać narastający lęk przed tym, co się miało w przyszłości wydarzyć. Dodatkowo ostatnie niezwykle znaki na niebie, które opisałam powyżej, budziły w nas trwogę i napawały żywym lękiem o naszą niepewną przyszłość.

Napad rezunów na Karczunek Wołyński

Jeszcze przed rzezią do naszego domu przysłała nasza sąsiadka Ukrainka, niestety nie pamiętam dziś jak miała na imię i nazwisko. Wiem jednak, że jej dom oddalony był od naszego o około 500 metrów, a jej syn miał na imię Wołodia i wiele razy był w naszym domu, bo zalecał się do mojej starszej siostry Marii. Ta dobra kobieta ukraińska tak ostrzegła moich rodziców: „Miewam złe sny,

w których naszą kolonię i innych Polaków w okolicy, Ukraińcy też pomordują i nie zostawiają was żywych. Lepiej gdzieś uciekajcie.”

19 lutego 1944 r. z samego rana banda UPA zaatakowała naszą kolonię i jej polskich mieszkańców. Atak rozpoczął się od domu Wenenów. Tato krzyknął do mamy: „Szybko zbieraj dzieci, bo napadła nas banda! Już pali się dom Anielfi i Ignacego!” Mama zaraz zabrała nas na wóz, tam dała nam pierzyny i pędem, co koń wyskoczy uciekaliśmy do miasta Uściług. Gdy wyjeżdżaliśmy z naszego podwórka, dopiero wtedy na własne oczy zobaczyłam ten ogień, który już objął cały dom mojej cioci Anielfi. Stamtąd też dochodził straszny pisk, okrutnie męczonego człowieka, jeszcze nie wiedzieliśmy, że właśnie mordują naszego wujka Ignacego, choć oczywiście domysłaliśmy się tego, ale i tak nie byliśmy im wtedy w stanie pomóc. Pamiętam, jak gwałtownie tato poganiał konia i jak szybko uciekaliśmy. Ten głęboki ślad w sercu, który towarzyszy mi już kilkadziesiąt lat, to prezent od ukraińskich siepaczy, niech im ziemia lekką będzie. Ponieważ konie niemal cwałowały i to przez cały czas, szybko dojechaliśmy do rogatek, wydawałoby się bezpiecznego dla nas miasta. Gdy obejrzałam się, to nad naszą kolonią, widziałam już bardzo dużą lunę ognia, wszystko się paliło, słyszałam też strzały karabinowe.

Moja ciocia Anielfa Wenena, która przeżyła napad na ich dom, po wojnie w naszym domu opowiadała mi osobiście, jak Ukraińcy oprawcy napadli na nich, a było to tak: „Ukraińcy o świcie podpalili nasz dom, gdy zobaczyłam ogień, zdołałam się ukryć w ziemiance. To był taki prowizoryczny schron, tymczasem mój mąż Ignacy nie zdążył się tam schronić, ponieważ był kaleką i miał jedną nogę drewnianą. Kiedy Ukraińcy go złapali, od razu zaczęli ostro przesłuchiwać. Wszystko dokładnie słyszałam, bo moje schronienie było niedaleko nich. Ukraińcy bandyci widząc, że jest w domu sam, zaczęli krzyczeć do niego wyraźnie zdenerwowani: „Gdzie reszta rodziny, gdzie są twoi synowie?”. A wtedy mój mąż wyraźnie wystraszony też krzyczał do nich rozpaczliwie: „Nie mam rodziny, nie mam synów. Jestem sam.”. Oni jednak widać mu nie uwierzyli, bo strasznie zaczęli się na nim mścić, najpierw połamali mu ręce a potem obie nogi. Tak umęczonego, na wpół żywego wrzucili do ognia. Mój mąż, a twój wujek, Kaziu, zginął wtedy w płomieniach w strasznych męczarniach. Ja tymczasem siedziałam w ukryciu przez dwa dni i bardzo cierpiałam po stracie mojego ukochanego

męża Ignasia. Po pewnym czasie wyszłam na zewnątrz i zobaczyłam, że wszystko zostało spalone, a po moim mężu nie było nawet śladu.” Nie pamiętam jednak, co się działo dalej z moją ciocią, po tym jak wyszła ze schronu, pewnie w jakiś szczęśliwy sposób dostała się do Polski.

Koszmar w Uściługu

Tymczasem ja i moja rodzina, gdy tylko dojechaliśmy do rogatki miasta Uściług, utknęliśmy w długim korku furmanek pełnych uciekających ludzi, zupełnie tak jak my. Okazało się, że na drewnianym moście stoją Niemcy i sprawdzają wszystkich wjeżdżających do miasta. W tym czasie za nami ustawił się już długi korek, może nawet taki, jaki był jeszcze przed nami. Gdy zbliżyliśmy się już do tego mostka, do naszej furmanki podeszło dwóch uzbrojonych chłopów ukraińskich i szli dalej z nami, prowadząc nas tam, gdzie mieli rozkaz nas odprowadzić. W ten sam sposób eskortowane były wszystkie furmanki z uciekinierami. Zanim to się jednak stało do naszej furmanki podeszła niezauważona nasza znajoma sąsiadka Ukrainka, która wzięła za rękę mojego starszego brata Mariana i powiedziała do niego cicho: „Chodź szybko i nie się nie odzywaj! To ci uratuję życie!” Marian zaufał jej i poszedł, a ona odprowadziła go gdzieś na bok, a potem wróciła jeszcze raz, tym razem po mnie. Złapała mnie za rękę i powiedziała tak: „Chodź szybko, uciekaj, bo was wybiją!”. Jednak ja się wyrwałam i krzyczałam przy tym: „Ja chcę być z mamą, jak mamę zabiją, to i niech mnie zabiją!”. Mama moja też mnie gorąco namawiała, abym uciekała z tą Ukrainką, mówiła tak: „Uciekaj tam do Mańka, bo zginiesz!” Gdy ja upierałam się, że nie chcę iść, że nie odejdę od mojej mamy, zauważył te targi jeden z ukraińskich żołnierzy, natychmiast podleciał do tej Ukrainki i uderzył mnie kolbą po rękach, a potem brutalnie odepchnął w stronę naszej furmanki. Żołnierze Ukraińscy chcieli chłopca zabrać z powrotem do naszej fury, ale ta Ukrainka ochroniła go, mówiąc, że to jej syn. Marian po wojnie opowiadał mi to osobiście, mówił tak: „Kiedy banderowcy chcieli mnie wrócić na naszą furmankę, nie pozwoliła na to, upierała się, że jestem jej dzieckiem.”. Nie są to jedyne dowody na to, że eskortowali nas Ukraińcy i że to oni planowali straszną masową rzeź, setek niewinnych Polaków. Poznałam ich także po ich mowie, mówili bowiem bardzo dobrze i swobodnie po ukraińsku.

Pamiętam, że eskortujący nas partyzanci – bandziory przyprowadzili nas na jakiś plac miasta, przy jakiejś drodze i tam ustawili nas wszystkich w szeregu, furmanka przy furmance, a następnie uważnie nas pilnowali. Zebrało się nas około 40 furmanek, a może nawet więcej. Na każdej z nich całe polskie rodziny, starsi, młodszy i dzieci. Ludzie musieli być nie tylko z naszej kolonii, ale z całej najbliższej okolicy, a przecież to byli już tylko ci, co zdołali uciec z życiem spod rezurowej siekiery. Siedzieliśmy cały dzień i nigdzie się nie ruszaliśmy, a przecież to była zima, na dworze był duży mróz, przynajmniej kilkanaście stopni poniżej zera. Mieliśmy pewność, że pilnujący nas chłopcy to Ukraińcy, dlatego ludzie byli coraz bardziej niespokojni w oczekiwaniu na to, co ma się wydarzyć. Niektórzy, widząc przechodzących Niemców, starali się z nimi rozmawiać i prosili, aby nas wzięli pod swoją ochronę, kiedy jednak zauważyli, że żołnierze niemieccy w ogóle nie reagują na ich prośby, mówili między sobą zatrwożeni tak: „Oni nic nam nie pomagają, ale jeszcze nas pilnują, abyśmy czasem stąd nie puciekali. Oni muszą być w zmoście z Ukraińcami.”. Nasza sytuacja była więc bardzo dramatyczna, ludzie obawiali się, że nas tu Ukraińcy za zgodą Niemców wszystkich wybiją, ludzie gorzko powiadali: „Tutaj już nikt nie uratuje, bo Niemcy są w zmoście z Ukraińcami i nas tutaj dziś wybiją!”. Ludzie byli wyraźnie zrezygnowani, opuszczali ich siły, bardzo się przy tym bali i coraz bardziej żarliwie się modlili, oczekując już właściwie zbiorowej egzekucji.

Gdy na dworze powoli zaczęło robić się szarawo, na środek placu wyszedł jeden z tych pilnujących nas upowców i wydał rozkaz, aby wszyscy zeszli z furmanek i stanęli rzędem obok swoich wozów. Ja i cała moja rodzina posłusznie ustawiliśmy się rzędem przy naszej furmance. Moją dwuletnią siostrzyczkę Leokadię, moja mama trzymała na rękach. Wtedy dwóch, do tej pory stojących przy naszym wozie Ukraińców, przystąpiło do sprawdzania naszych furmanek, czy czasem nikt się nie ukrył w pościeli i między innymi rzeczami. Ludzie już bardzo płakali i jeszcze żarliwiej modlili się o zmiłowanie i życie dla nich i ich rodzin, wołali do Boga, aby ich ocalał od niechybnej śmierci z rąk ukraińskich siepaczy. W tym czasie czterech Ukraińców wytoczyło duży karabin, to było coś na kółkach, z dużą lufą, długą na dwa metry, a następnie ustawili na placu, dosłownie naprzeciwko nas, lufą wprost do naszego, długiego rzędu ludzi. Po chwili wystrzelili z tego karabinu, jakby na po-

kaz. Może chcieli nas w ten sposób jeszcze bardziej przestraszyć. kosztem „Polaczków” nieco się zabawić, albo po prostu próbowali broń, czy w odpowiednim momencie się nie zatnie. Po chwili jeden z tych Ukraińców przejechał tą straszną lufą karabinową, po całym naszym rzędzie ludzi, zupełnie tak, jak by do nas celował. Pamiętam, że robił to dokładnie i powoli, niejako wcelowywał się w nas, a przecież patrzyły na to takie dzieci, jak ja i wiele młodszych. To było potworne, naprawdę trudno wyrazić, co człowiek czuje w takim momencie, przecież ta długa lufa wymierzona wprost naszych serc i twarzy, właściwie w każdej chwili, mogła zacząć wyrzucać w naszym kierunku ukraińskie „pocałunki, kwiaty i prezenty”, na naszą ostatnią drogę. W tym momencie ludzie i my wszyscy byliśmy już przekonani, że zaraz przyjdzie po nas śmierć, aby zabrać nas z tego, bez wątpienia, łez padółu. Wciąż było słychać płacz i potężniejącą z każdą chwilą modlitwę. Mój tato zdjął czapkę, a ja bardzo błada, kurczowo trzymałam się spódnicy mojej mamy. Ta katorga trwała przynajmniej kilka minut. Nie przypominam sobie, czy zabrali nam wtedy konie. I właśnie wtedy, w szalonym pędzie wjechał na plac konno, jeszcze inny ukraiński partyzant i zaczął głośno krzyżeć: „Na pomoc, na pomoc!” W tym momencie zrobił się duży popłoch między pilnującymi nas banderowcami-bandziorami, szybko zostawili nasze furmanki, ciężki karabin załadowali na wóz i odjechali w kierunku naszej wsi Karczunek Wołyński, gdzie właśnie toczyła się ostra bitwa partyzancka. Jak się później dowiedziałam, nasi wspaniali AK-owcy przyszli z pomocą mordowanym sąsiadom, dając wtedy atakującym Ukraińcom ciężkie baty.

Dowiedziałam się o tym już po wojnie, w naszym domu w Siedliskach od Polaka, Józefa Szewca, który osobiście opowiadał mojej mamie, jak on sam i jego towarzysze broni z oddziału Armii Krajowej przyszli nam ze zbawienną pomocą. Pan Józef mówił wtedy tak: „Jakby nie nasza partyzantka, to nikt by z was nie przeżył, bo by was tam w Karczunku, a potem na tym placu w Uściługu wszystkich wybili.”. Opowiadał przy tym, że tego dnia o mało całkowicie nie zlikwidowali atakującego ukraińskiego oddziału, w każdym razie sporo tego dnia banderowców wybili. „Z naszego oddziału zginęło tylko parę żołnierzy, natomiast zrobiliśmy wtedy dobrą robotę, dużo ich żeśmy natłukli i gdyby nie ta pomoc z Uściługa, to bylibyśmy wszystkich ich tam wybili.”. Po wojnie Józef Szewc także osiadł w naszej wsi Siedliska pod Zamościem i tu założył rodzi-

nę, niestety już nie żyje. Zanim jednak zmarł poinformował nas, że jego oddział Armii Krajowej atakował od strony lasów, położonych w okolicy Piatyndi.

Mord w parku

Kiedy już Ukraińcy zostawili nas samych na tym miejskim placu Uściługa, zapadł zmrok. Mimo to wszyscy pośpiesznie rozjeżdżali się, gdzie kto mógł, każdy w inną stronę. Szukaliśmy sobie bezpiecznego schronienia, a ponieważ Niemcy zamknęli most na rzece Bug, nie mogliśmy dostać się na drugą stronę. Jednak ludzie czuli, że nie mają nic do stracenia, że Ukraińcy prawie na pewno jeszcze po nich wrócą, a wtedy nic ich nie uratuje przed niechybną śmiercią, dlatego wiele rodzin przeprawiało się przez wodę wpław, jak kto umiał. Gdzie było płytko ludzie przechodzili na drugi brzeg cali i zdrowi, jednak większość z uciekinierów nie знаła rzeki, dlatego wielu ludzi potopiło się, wiem o tym, bo mówiła mi o tym moja mama. Tymczasem ja i moi rodzice oraz pozostałe rodzeństwo, schroniliśmy się w mieście, blisko parku w pożydowskiej kamienicy. Rodzice planowali przenocować jakoś do rana, a potem ruszyć gdzieś dalej w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia. W tej kamienicy, oprócz nas, mieszkała już wcześniej, jedna rodzina ukraińska oraz jedna polska, której ci Ukraińcy obiecali, że będą ich ochraniać, podając w razie czego za swoich. Ci Polacy byli nam bardzo dobrze znani, ponieważ byli naszymi sąsiadami z kolonii Karcunek, to był pan Kazimierz Miszczak i jego żona.

Gdy tylko tam zamieszkaliśmy, ukraińska gospodyni od razu ostrzegła nas, że nie może nam w niczym pomóc, ponieważ już jest nas za dużo, a ona już jednej rodzinie polskiej obiecała pomoc. Tłumaczyła się, że już więcej nie może nas przyjąć, aby się nie narażać i abyśmy czasem wszyscy nie zginęli. Nie wygnała nas jednak, powiedziała tak: „Jeśli chcecie zostać, możecie. Musicie jednak radzić sobie sami.” Ledwie godzinę później do tej kamienicy przyszło dwóch uzbrojonych banderowców i weszli do pokoju, w którym przebywała cała nasza rodzina. Pamiętam bardzo dobrze, że gdy tylko weszli ogarnął nas straszny lęk, ja sama czułam, że zbliża się nasza śmierć i chociaż byłam jeszcze dzieckiem, domyślałam się, że nas tutaj wybiją. Po chwili usłyszałam głos naszego taty, który jeszcze w pokoju, zaczął prosić tych bandytów tak: „Darujcie nam

życie, my nikomu nic nie winni.”. Wtedy jeden z tych partyzantów ukraińskich tak powiedział w języku ukraińskim: „Paszo! Ty z dziećmi tutaj, a syn twój w lesie!”. Zaraz po tych słowach jeden z nich chwycił tatę za ramię, skierował w jego stronę karabin i kazał mu iść bez sprzeciwu naprzód, w tym czasie drugi wziął z kolei moją mamę i poszli za nimi, wychodząc gdzieś z kamienicy. W tym momencie mój starszy brat Zdzisław szybko wybiegł z tego pokoju i kamienicy na dwór, a ja instynktownie pobiegłam zaraz za nim. Zdzisław uciekł do drewnutni, która stała obok kamienicy, oddalona o około 50 metrów i zaczął zakopywać się w drzewie. Widząc co on robi, także i ja zaczęłam się okładać porąbanymi kawałkami drzewa, to były takie zwykłe polana, jakimi się pali w piecu, a ostatnio coraz częściej w kominkach.

Z tej kupy drzewa mogliśmy swobodnie obserwować przez szpary w ścianie szopy park i dlatego jesteśmy naocznymi świadkami tego wszystkiego, co się tam wydarzyło. Zobaczyliśmy, że na brzegu parku, około 200 m od szopy, w której byliśmy ukryci, stało tych dwóch Ukraińców, a z nimi nasi rodzice. Gdy Ukrainiec szykował się strzelać do naszego taty ten poprosił: „Chcę się przeżegnać.” Widziałam jak zdjął czapkę i włożył pod pachę i w tym momencie bandyta strzelił mu w tył głowy, a tato od razu upadł. Nie zdążył się nawet przeżegnać. W tym samym momencie drugi Ukrainiec strzelił w tył głowy mojej mamie i ona też padła martwa. Gdy już zabili naszych rodziców, zobaczyliśmy z bratem, że kaci wracają z powrotem do kamienicy, z której my już zdążyliśmy uciec. Jednak teraz dopiero zaczęliśmy się bać jeszcze bardziej, obawialiśmy się bowiem, że widząc naszą ucieczkę, zaczną nas szukać, a gdy nas tu znajdą, niechybnie zginiemy tak jak nasi rodzice. Gdy tak przeżywaliśmy, drżąc o własne życie, zobaczyliśmy jak prowadzą naszego brata Stanisława, lat ok. 15, w to samo miejsce kaźni. Gdy ci dwaj prowadzili go, słyszałam jak brat prosił ich: „Darujcie mi życie, oddam wam wszystko co mam, mój złoty zegarek.” Bandyci nic się jednak nie odzywali i kiedy przyprowadzili go do ciał zabitych rodziców, w ten sam sposób, co wcześniej strzelili mu w tył głowy.

Gdy tak siedzieliśmy z bratem przez noc w tej drewnutni, widzieliśmy jeszcze wiele, w taki sam sposób wykonywanych egzekucji na Polakach przez ukraińskich rezunów. Właściwie, co chwilę, inni Ukraińcy-upowcy, przyprowadzali nowe ofiary i z zimną krwią strzelali im w tył głowy. Zabijani Polacy nie wrywali się, a oni od-

chodzili i przyprowadzali wciąż nowych. Po pewnym czasie zrobiło się trochę ciszej i już tylko od czasu do czasu słychać było po kilka wystrzałów, dochodzących z tego samego parku, gdzieś tam z wnętrza. To ginęły prawdopodobnie ostatnie polskie ofiary, tej strasznej uścিলudzkiej rzezi. Gdy jeszcze była ciemna noc, a wszystko ucichło zupełnie, mój brat Zdzisław tak do mnie powiedział: „Uciekajmy stąd, bo jeszcze nas znajdą.”. Wtedy uciekliśmy do ubikacji, która stała trochę dalej od parku i tam w strasznym mrozie siedzieliśmy do rana. Pamiętam, że tak zmarzłam w nogi, szczególnie w palce i stopy, że nie byłam w stanie iść już sama. Tymczasem brat Zdzisław, jak tylko zrobił się dzień, wyszedł z ubikacji, aby zobaczyć co się dzieje dokoła i gdzie można dalej bezpiecznie uciekać. Najpierw udał się jednak do parku, tam gdzie zostali zastrzeleni nasi kochani rodzice. Zobaczył wtedy ciało naszego taty i brata oraz ciała wielu innych ludzi. Moja mama opowiadała mi po wojnie osobiście, że jacyś ludzie wykopali niedługo po masakrze dół, zaraz obok miejsca ich kaźni i wszystkie ofiary tam właśnie zostały zakopane. Tymczasem mój brat tam też spotkał naszą niedawną sąsiadkę z pochodzenia Ukrainkę, która zapytała go przyjaźnie: „Czy tylko ty przeżyłeś, czy może jeszcze ktoś się uratował?”. Wtedy powiedział o mnie oraz dodał, że nie jestem w stanie już iść o własnych nogach. Wtedy ona dała mu sanki, aby mnie przywiózł. Gdy znalazłam się w jej domu, tam zobaczyłam moją mamę, żyła jeszcze, ale jej stan był bardzo poważny. Kula weszła w tył głowy, nie naruszyła jednak cudownie mózgu oraz rdzenia kręgowego, ale wychodząc przodem rozerwała mamie szczękę oraz mocno poszarpała lewą stronę twarzy, krótko mówiąc, jej twarz była straszliwie okaleczona, prawie zmasakrowana. Okazało się także, że przeżyła także moja siostra Maria oraz malutka Leokadia.

Teraz napiszę parę słów o tym co się właśnie działo z pozostałymi członkami naszej rodziny, jak to się stało, że przeżyli i mogliśmy się znów spotkać. Moja najmłodsza siostra Leokadia, która miała zaledwie dwa latka, po wyprowadzeniu mamy przez Upowców z pokoju, pozostawiona sama dzięki Opatrzności Bożej weszła za piec. Może dlatego, że tam było po prostu ciepło i usnęła spokojnie aż do samego rana. Nawet pozostali mieszkańcy domu nie wiedzieli o jej obecności, dopiero rano gdy dziecko zgłodniało, zaczęło płakać i wtedy zostało odnalezione. W ten sposób, wręcz cudownie zostało przy życiu. Straszne chwile natomiast przeżyła druga moja

siostra, Maria, lat ok. 21. Po mojej i brata ucieczce, ona została w pokoju tylko ze Staszkiem, a kiedy przyszli i po nich, brata wzięli ze sobą, a ona podała się za Ukrainkę. W tym momencie miała przy sobie wyrobione papiery ukraińskie, które załatwił jej nasz sąsiad Wołodia, starający się o jej rękę. Gdy Ukraińcy zobaczyli dokumenty, zaczęli ją długo badać i wypytywać na wszystkie strony, chcieli sprawdzić, czy rzeczywiście jest ukraińską dziewczyną. Przebieg tego strasznego przesłuchania opowiadała mi osobiście i to nie raz, już po tej stronie rzeki Bug, mówiła tak: „Musiałam im opowiadać jak wyglądają i przebiegają wszystkie najważniejsze uroczystości w cerkwi ukraińskiej, takie jak śluby, chrzty i pogrzeby. Oprócz tego musiałam się przeżegnać po ukraińsku, powiedzieć pacierz oraz zaśpiewać pieśni ukraińskie.” W każdym razie, na podstawie tego co opowiadała, poznałam, że to badanie było długie i straszne, w końcu ją zostawili, ale zapowiedzieli, że jeszcze ktoś tu może do niej wpaść. Maria ukryła się więc na strychu tej nieszczęsnej kamienicy, a ponieważ była przecież zima, mrozy, poważnie się przeziębiła. Oprócz tego była bardzo zastraszona, a to co przeszła naruszyło poważnie jej serce. Gdy potem w końcu przedostaliśmy się na drugą stronę Bugu, żyła jeszcze tylko dwa może trzy miesiące i zmarła w szpitalu w Hrubieszowie, tam na cmentarzu została też pochowana.

Przeprowa przez Bug

Zanim jednak znaleźliśmy się we wschodniej Zamojszczyźnie czekały na nas jeszcze różne przygody. Byliśmy pod opieką Ukrainki, która okazała się naprawdę dobrym człowiekiem. Wciąż jednak groziło nam śmiertelne niebezpieczeństwo ze strony ukraińskich nacjonalistów. I choć Ukrainka pomagała nam, jak mogła, byliśmy u niej tylko jeden dzień, ponieważ już wieczorem nasza dobrodziejka powiedziała tak: „Idźcie dzieci, gdzie chcecie, bo ja już nie mogę się wami dłużej opiekować, bowiem w szóstym domu od nas, Ukraińcy też ochraniaли jakąś polską rodzinę i ktoś się o tym dowiedział. Zaraz potem był napad na ten dom. Ktoś, prawie na pewno Ukraińcy Bandery, wrzucili do środka domu granat, od którego wybuchu zginęli wszyscy, którzy byli właśnie w domu i Polacy, i cała rodzina ukraińska, która ich przyjęła.”

Nie mieliśmy pretensji do tej ukraińskiej kobiety, ani teraz do niej nie mamy. Rozumieliśmy, że w tak trudnych i niebezpiecznych czasach, ma obowiązek chronić przede wszystkim swoją najbliższą rodzinę. Tym bardziej, że mimo wszystko pozwoliła zostać w swoim domu naszej ciężko rannej mamie, nas tym czasem odprowadziła, aż po samą rzekę Bug. Tam przenocowaliśmy w jednej z pożydowskich kamienic do samego rana, a ona była z nami przez całą noc. Radziła nam przy tym, że gdyby nas ktoś znalazł tutaj i pytał o cokolwiek, to najlepiej nic nie mówić, nic się nie odzywać. Jednak nikt nas tej nocy nie niepokoił. Rankiem zaś dobra Ukrainka poszła pod most i tam umówiła się z furmanami, którzy przewozili piach z jednej strony rzeki na drugi, aby przewieźli i nas ukrytych na wozach. Zgodzili się. Zagrzebano nas w piachu i dodatkowo przykryto nas gałęziami i tak zamaskowanych przewieźli nas odważni, dobrzy ludzie do Zosina. Tam zatrzymaliśmy się u jakiś dobrych gospodarzy i przebywaliśmy u nich przez pewien czas.

Po około dwóch tygodniach gospodarze dowiedzieli się, że mamy rodzinę w okolicach Hrubieszowa i dali im znać. Zaraz mój wujek Wojciech Kupiec przyjechał po nas furmanką i zabrał do swojej wsi Strzyżów. W końcu zebrało się nas tam 11 dzieci, a prawie wszystkie to sieroty. Tam przezimowaliśmy do wiosny 1944 r. Tymczasem ta sama Ukrainka, tak jak nas przerzuciła przez Bug, tak i naszej mamie pomogła, a stamtąd ktoś zaraz odwiózł ją do szpitala w Hrubieszowie. Nasza mama była już nieprzytomna, a rana zagrożona była poważnie gangreną. Dopiero po pół roku dowiedziała się przez kogoś, że my, jej dzieci, jesteśmy w Strzyżowie, u jej rodzonego brata i bezpiecznie czekamy na jakieś wieści o jej losie. Prosiła wtedy lekarza, aby mogła się z nami zobaczyć i karetka pogotowia przywiozła ją do nas do Strzyżowa na jedną godzinę. Cóż to było za spotkanie, radości i szczęściu ze spotkania po takim koszmarze nie było końca, ale niedługo znowu mamę zabrali do szpitala, bo wciąż potrzebowała opieki lekarskiej. Na razie więc byliśmy pod czułą opieką naszego wujka, aż do jesieni 1944 r., kiedy to mama wypisała się już silniejsza ze szpitala i zabrała nas dalej na zachód do wsi Niedzieliska koło Zamościa. Tam zamieszkaliśmy w naszym dawnym domu, jako komornicy.

Tej pierwszej zimy bardzo głodowaliśmy i ledwie co mogliśmy przeżyć z dnia na dzień. To były dni, kiedy musieliśmy bardzo ciężko pracować, aby móc przeżyć. Było już tak ciężko, że mo-

jej mamie przyśniło się, że jeśli nie poprosi o chleb dobrych ludzi, zginiemy z głodu i nie ostaniemy się żywi. Nie było rady, poszliśmy po proszonym i dobrzy ludzie pomogli, tak że przeżyliśmy i nie pomarliśmy. Tymczasem wiosną 1945 r., jako repatrianci zza Bugu otrzymaliśmy gospodarstwo we wsi Siedliska koło Zamościa i tam zamieszkaliśmy. Na wschodzie zostawiliśmy 12 ha ziemi oraz duży dom i piękne zabudowania gospodarcze, tu otrzymaliśmy 6 ha ziemi oraz stary, drewniany dom. Jednak dzięki Bożemu błogosławieństwu żyjemy szczęśliwie do dziś i pracujemy jak Pan Bóg przykazał zagospodarowując tę ziemię, z pożytkiem dla nas wszystkich.

Dziś mam już 68 lat (opowieść została spisana w 2003 roku) i moje życie powoli zbliża się ku zasłużonej starości. Moim ogromnym pragnieniem jest, aby jeśli to będzie tylko w przyszłości możliwe, przenieść szczątki mojego umiłowanego taty Kazimierza Czerwieniec i brata Stanisława oraz pozostałe ofiary tej strasznej rzezi Uściłudzkiej na poświęconą ziemię, na katolicki cmentarz. Razem z moją mamą z serca przebaczymy tym, którzy wymordowali bestialsko naszych mężów i nasze rodziny, jednak gorąco prosimy, aby ogromne męczeństwo naszych bliskich i szeroko rozlana danina ich krwi nie zostały zapomniane i zmarnowane przez nowe, młode pokolenia naszych rodaków. Niech to ogromne cierpienie będzie przestrogą dla wszystkich, szczególnie dla Polaków i Ukraińców, aby nie powtórzyły się znów Kainowe dni, gdy historia ponownie zatoczy się kołem.

Kresy Wschodnie – życie codzienne

Gorączka płynnego „złota” Kresowego

Dawne ziemie polskie zagarnięte w rozbiórce przez Austro-Węgry zwane Galicją obejmowały również rejon Podkarpacia, niezwykle bogaty w złoża ropy naftowej w województwach Stanisławowskim, Lwowskim aż po rejon Krosna, Jasła i Limanową.

Właśnie na Podkarpaciu w pierwszych latach XIX wieku zaczęto interesować się dziwnymi zjawiskami, wówczas nie zrozumiałymi dla przeciętnego człowieka. Chodziło o ropę – ciemną gęstawą ciecz, która pojawiała się w zagłębieniach, szczelinach, a nawet płynęła strumykami. Wydobywała się z głębi ziemi, tworzyła kałuże, mieszała się z ziemią tworząc błoto na druzkach czy ścieżkach. Wokół czuło się jej silny zapach. Nocami na mokradłach widywano płomyki palącego się gazu. To dziwne, nie wszystkim znane zjawisko, tłumaczono sobie niejednokrotnie jako złe duchy albo dzieło szatana. Kto bywał w Iwoniczu Zdroju z pewnością oglądał takie zjawisko na zboczu Góry Przedziwnej, gdzie występuje ono do dziś. Wydobywający się gaz pali się stale nad powierzchnią wody w źródelku zwanym Belkotka.

Pierwszymi, którzy zaczęli wykorzystywać ten dar natury byli biedni chłopci nazywani łebakami. Uzbrojeni w koromysła, czyli nosidła na barkach, dwa wiadra i najważniejsze, coś w rodzaju końskiego ogona, który zanurzali w ropy występującej w zagłębieniach lub dołkach specjalnie kopanych, wykręcali do wiader. Ten urobek sprzedawali po wsiach kowalom, chłopom, furmanom. Zawód łebaka, pomimo postępującego rozwoju górnictwa naftowego, dotrwał do II wojny światowej.

W Boryslawiu, w dwudziestych latach XIX w. poszukując złoża ropy naftowej odkryto złoża ozokerytu, czyli wosku ziemnego. Jest to związek węgla i wodoru, pochodny ropy naftowej, o temperaturze topnienia około 55 °C, kolorze żółtym do czarnego. Ozokeryt miał szerokie zastosowanie w przemyśle farmaceutycznym, spożywczym, elektronicznym, przy wyrobie świec, past, smarów, kalki i wielu innych dziedzinach. W latach pięćdziesiątych XIX w. kopalnie wosku ziemnego przynosiły olbrzymie i szybkie zyski, kilkakrotnie większe od wydobycia ropy naftowej. Wieść o możliwości szybkiego i wielkiego bogacenia się ściągała amatorów z różnych

stron kraju i z zagranicy. Kupowano pola, parcele, małe poletka, w zależności na ile stać było kupującego. Ceny gruntów stale rosły, żądano nawet do 60% z zysku z urobku górniczego, a zyski i tak były spore. Wydobycie 1 cetnara ropy, czyli 56 kg, kosztowało 2 zł reńskie, a płacono za ropę 3,5 do 5 zł reńskich. Natomiast koszt eksploatacji wosku był podobny, ale cena wosku była trzy razy wyższa od ceny ropy. Na budowę szybu do wydobycia wosku nie trzeba było wielkich pieniędzy, wystarczyło nad wykopem postawić kołowrót i kopać studnię, ściany rozpierając deskami. Takie szyby kopano na głębokość 30 do 60 m. Kopacz zarabiał 1,5 zł reńskich dziennie, a ten, który wyciągał urobek - do 60 centów, natomiast nawiewający powietrze kopiącemu - 40 centów. Właściciele nabytych parcel starali się wykorzystać je maksymalnie. Bardzo gęsto kopano szyby. Często były oddalone od siebie zaledwie o trzy metry. Kończąc dniówkę zakrywano szyb deskami. W następnym dniu czerpano wiadrami ropę, która napłynęła przez noc i kopano dalej wosk ziemny, czyli ozokeryt. Bywały przypadki, że wosk lub ropa w czasie kopania zaczynały napływać bardzo szybko pod własnym ciśnieniem, zagrażając życiu kopiącego, którego w wielkim pośpiechu wyciągano w ostatniej chwili.



Tustanowica kopalnia.

Wszędzie było widać usypiska urobku, zapadliny po wcześniejszych wyrobiskach i mazidło błotne. Chodniki w mieście robiono z desek często na wbijanych w ziemię palach. Wszędzie czuło się woń występującej tu nafty. Pola naftowe tworzyły ciekawy widok niezliczonej liczby szybów wiertniczych kończący się gdzieś na horyzoncie. Natomiast w nocy niekończące się wieże z gazowymi lampami na szczycie stwarzały obraz drugiego błyszczącego gwiazdami nieba. Największe wydobycie wosku ziemnego uzyska-

no w roku 1885, w którym wydobyto ponad 123.000 cetnarów. Była to jednak rabunkowa gospodarka austriackiego zaborcy. Prymitywny sprzęt, słabe zabezpieczenie przeciw wypadkom stwarzały wielkie zagrożenie życia. Zdarzało się wiele wypadków śmiertelnych i ciężkich zranień. Pojawiały się niekontrolowane wybuchy ropy pod wielkim ciśnieniem i ich pożary grożące życiu ludzkiemu. Taka była cena robienia szybkiego majątku, dlatego rejon ten nazywano piekłem galicyjskim.

Ignacy Łukasiewicz związany z Towarzystwem Demokratycznym Polaków na Rzeszowszczyźnie, aresztowany w 1846 r., po roku zwolniony, dostał nakaz zamieszkania we Lwowie. Jako farmaceuta w Lwowskiej aptece w 1852 r. wykonał pierwszą na świecie destylację ropy naftowej, a w następnym roku oświetlił w lwowskim szpitalu na Łyczakowie salę operacyjną lampami naftowymi, których był wynalazcą, zapoczątkowując rozwój ery naftowej w Polsce, Europie i na świecie. W 1854 r. Łukasiewicz zbudował w Bóbrce koło Krosna pierwszą w Polsce, choć jeszcze w zaborze, i pierwszą na świecie kopalnię ropy naftowej. Następnie w 1856 r. według własnego projektu pierwszą rafinerię ropy naftowej w Ulaszowicach pod Jasłem. Jako drugi szyb naftowy na świecie powstał w Ameryce cztery lata później. Należy przyjąć, że Ignacy Łukasiewicz był nie tylko wynalazcą lampy naftowej, ale też ojcem górnictwa naftowego.



Drugim wielce zasłużonym w rozwoju górnictwa naftowego w Galicji był inż. Stanisław Szczepanowski, poseł do parlamentu austriackiego, a przede wszystkim wielki przemysłowiec naftowy, człowiek o wielu osiągnięciach nowatorskich w dziedzinie wydobywania i przerobu ropy naftowej. Wszystkie te wielkie ówczesne odkrycia, osiągnięcia i wynalazki były w większości zasługą wybitnych naukowców znanych w Polsce i Europie, wspaniałych lwowskich uczelni. Z satysfakcją zauważam, że i moi przodkowie po kądzieli mieli skromny udział w rozwoju przemysłu naftowego. Antoni Kloc w II połowie XIX wieku pełnił kierownicze stanowiska w kopalniach krośnieńskich, a następnie w rafinerii Drohobycz. W pierwszych latach XX wieku syn Antoniego, Józef Kloc, również kierownik szybu w Boryslawiu. przedstawił swoją siostrę Franciszkę Kloc swojemu przyjacielowi, kierownikowi innych szybów, Janowi Pustelakowi i ta znajomość przerodziła się w małżeństwo. Z tego małżeństwa trzecia córka Genowefa wyszła za Józefa Bienia. To byli nasi wspaniali i ukochani rodzice – Zdzisława i Edwarda Bienia. A więc udział w rozwoju przemysłu naftowego, choć może w niewielkim stopniu, mieli również i moi przodkowie.

W pierwszych latach XX wieku, w okresie największego wydobywania ropy naftowej, sięgało ono do 200.000 cystern, a zapotrzebowanie krajowe wynosiło zaledwie 50.000 cystern. Boryslaw po dołączeniu sąsiadujących miejscowości, jako największe zagłębie naftowe stał się obszarowo niemal trzecim miastem po Łodzi i Warszawie. Ale tereny naftowe to nie tylko Boryslaw. Były kolejne zagłębia: Kosmacz na Bukowinie, Kołomyja, Nadwórna, Dolina, Truskawiec, Drohobycz, Krosno, Jasło, aż po Limanową. Blisko 1.200 km, a szerokość pasma od 50 do 100 km. Niezliczona liczba szybów naftowych pokrywała gęstą siecią południową część ówczesnej Galicji. W samym Boryslawiu w latach 80. XIX w. naliczono około 12.000 szybów, z których wydobywano ozokeryt. W niepodległej Polsce w zagłębiu Boryslawskim pracowało ponad 500 firm górnictwa naftowego tworzących spółki wydobywcze i działało około 2.000 szybów naftowych. W zagłębiu Jasła działały również setki firm krajowych i zagranicznych, wydobywano ropę z około 1.600 szybów naftowych. Na całym obszarze naftowym działało ponad 5.000 szybów, które wydobywały ropę naftową. W 1920 r. w niepodległej II RP było jeszcze 29 rafinerii, w tym największa w Polsce i Europie rafineria w Drohobyczu w województwie lwowskim.

W okresie zaboru zaborca prowadził gospodarkę rabunkową, nie dbano o bezpieczeństwo pracy, o nowe technologie. Istotne było jedynie jak największe wydobycie. Po odzyskaniu niepodległości w latach 20. i 30. XX w. produkcja zmalała, ale poprawiły się warunki pracy. Weszły nowe technologie, nowoczesny sprzęt i pojawiły się wyższe zarobki. Poprawiła się estetyka miast. Mieszkania zaczęły być wyposażane w instalację wodną, ogrzewanie, oświetlenie gazowe. Cały Lwów był ogrzewany gazem. Wielkie dochody z kopalń pozwalały na inwestowanie w poprawę estetyki miast i warunków bytowych społeczeństwa.

Niestety, znowu nie dane nam było czerpać zysków z własnych źródeł. Z wybuchem II wojny światowej Niemcy i Związek Radziecki zagarnęły pola naftowe. W ten sposób zabezpieczyły sobie bazę paliwową. Ponownie rabunkowa eksploatacja ropy dla celów wojskowych zubożyła Polskie złoża. W 1941 r. sowieci uciekli w popłochu przed Niemcami. Polskie zagłębia naftowe w całości stały się bazą zaopatrzeniową niemieckich czołgów i samolotów walczących w ZSRR. Po zakończeniu wojny Związek Radziecki, za zgodą koalicji antyhitlerowskiej zagarnął 58% ziem polskich, w tym południowo-wschodnie zagłębia naftowe, tworząc Ukraińską Republikę Związku Radzieckiego, a Polaków - odwiecznych mieszkańców tych ziem, których nie zdążono wywieźć do sowieckich syberyjskich łagrów zagłady i tych, którzy przeżyli barbarzyńskie ludobójstwo ukraińskich nacjonalistów z OUN i UPA - wywieziono w okropnych warunkach z Polski do Polski nazywając nas, wygnanych repatriantami ze Związku Radzieckiego.



Kopalnia ropy w Potoku koło Krosna.

Powróćmy jeszcze do wieku XIX, kiedy zaczęło się wydobywanie naturalnych bogactw, takich jak wosk ziemny – ozokeryt, ropa naftowa i inne przy tym występujące związki. Odkryto wówczas, iż niektóre z nich mają właściwości lecznicze. Aby wykorzystać te właściwości, w miejscach występowania powstały pierwsze uzdrowiska, inaczej z niemieckiego kurorty. Na polskich ziemiach zyskały wielki rozgłos uzdrowiska w Truskawcu, Krynicy i nieco później w Ciechocinku, Worochoć i Jaremczu.

Truskawiec leży przy największym dawnym polskim zagłębiu naftowym w województwie lwowskim na Podkarpaciu. Borysław, Drohobycz i Truskawiec to leżące obok siebie miasta. W Truskawcu w roku 1820 Józef Hecker ze Stebnika odkrył źródła wód z dużą ilością siarczanów, którą zaczęto używać do kąpieli leczniczych. Jednak dopiero po dokładnych badaniach Teodora Torosiewicza powstały pierwsze uzdrowiska wodolecznicze, pierwsze łaźnie i kąpieliska z wykorzystaniem wód zdrojowych. Torosiewicz był ojcem polskiej balneologii. Wyniki badań wskazujące na wielostronne możliwości lecznicze występujących



źródeł w Truskawcu, zachęcały inwestorów do budowy pierwszych łaźni. Sprzyjały temu okoliczności, bogactwo pobliskiego zagłębia naftowego w Borysławiu. Właściciele spółek naftowych budowali wille, pensjonaty, domy wypoczynkowe. Powstały bardzo eleganckie budowle o bogatym wystroju, w stylu zakopiańskim w otoczeniu trawników, klombów z barwnych kwiatów, ozdobnych krzewów, gustownych spacerowych alei, obrosniętych powojem altan, pięknych pagórkowatych, zalesionych okolic. Do największego rozwoju miasta-uzdrowiska przyczynił się Rajmund Jarosz, młody prawnik, który początkiem XX w. przyjechał z Kalwarii Zebrzydowskiej szukać szczęścia w tym słynącym z bogactwa zagłębiu naftowym. Rajmund Jarosz założył spółkę ubezpieczeniową, która stała się jego kopalnią złota. Po ośmiu latach w 1911 r., jako bogaty człowiek został prezesem spółki, która była właścicielem uzdrowisk Truskawca. W 1928 roku Rajmund Jarosz był już właścicielem

zdrojowisk i w końcu prezydentem Drohobycza. Zmarł w 1937 r.

Na ścianie willi Goplana, jednej z kilku posiadłości Rajmunda Jarosza, w 2003 r. po wielkich trudach udało się Eugeniuszowi Dąbrowskiemu umieścić pamiątkową tablicę po polsku i ukraińsku z napisem „Rajmund Jarosz 1875-1937 prezes Spółki Akcyjnej Zdroje Truskawieckie”. Strona ukraińska nie zgodziła się na słowo „właściciel”. Zasługi dla Truskawca tego bardzo lubianego i szanowanego człowieka były olbrzymie. W okresie międzywojennym wybudowano wielkie kąpielisko solno-siarkowe według jego projektu, z piasków z plaż Bałtyku usypano piękne plaże. Przygotowano sprzęt do treningów dla wioślarzy i gimnastyków, łodzie, kajaki, rowery wodne, kabiny, prysznice, toalety. Powstało wiele gabinetów lekarskich, pomieszczeń zabiegowych, kąpielowych, okładów parafinowych i borowinowych. Działało także wiele pijalni wód mineralnych o różnych właściwościach zdrowotnych i smakowych o nazwach Naftusi, Broni, Józi i Marysi. Były również wystawy malarskie, kluby, kasyna i piękne muzeum niezwykłych zbiorów przyrodniczych.

Do Truskawca na wypoczynek i leczenie z kraju i zagranicy w latach trzydziestych rocznie przyjeżdżało od 17 do 20 tysięcy kurasjuszy. Wspaniały rozkwit Truskawca w okresie międzywojennym, jego kultura, elegancja i wielkie walory lecznicze, przyniosły miastu sławę europejskiego kurortu. Jednak i tu odnotowano tragiczne karty historii. W 1931 r. ukraiński nacjonalista zamordował senatora RP Tadeusza Hołówkę, a w latach II wojny światowej bandy nacjonalistów ukraińskich z OUN i UPA mordowały na Kresach tysiące bezbronnych i niewinnych ludzi tylko za to, że byli Polakami. Takie ludobójstwo nie ominęło również Truskawca, gdzie zginęło wielu wspaniałych mieszkańców tego pięknego kresowego miasta. Tak skończył się złoty wiek polskich pól naftowych, wspaniałych polskich kurortów i utraconych ziem kresowych II Rzeczypospolitej. To w wielkim skrócie część naszej polskiej historii, historia którą przez dziesiątki lat obłudnie zakłamywano. Utracone Kresy przedstawiano jako biedne, zacofane, nie mające większego znaczenia rejonu.

Po przyłączeniu polskich ziem do ZSSR władze sowieckie poniszczyły wiele pięknych budowli. Pobudowano potężne betonowe gmachy, zdewastowano baseny, kąpieliska. Powstał potężny „kołchoz” leczniczy, gdzie w okresie ZSSR rocznie podobno leczono do

400.000 ludzi, a jednorazowo przebywało do 36.000 osób. Obecnie Truskawec, jako ukraiński ośrodek leczniczy przyjmuje nadal pacjentów, również z Polski, ale na ten przedwojenny szyk i elegancję liczyć nie można.

Edward Bień



Radość i zabawy, ale i ciężka praca

Jest takie znane ukraińskie powiedzenie: „Maja chata z kraju, ja niczego ne znaju” (moja chata na krańcu wsi, ja nic nie wiem). I tak to się właśnie działo w międzywojennych wioskach wołyńskich. Nikt za bardzo nie interesował się polityką, nieważne były narodowości, bo na tych krańcach Rzeczypospolitej, w rejonie przygranicznym była istna mieszanek nacji. Ludzie razem żyli, kochali się, kłócili, żenili i rozstawali – jak to zwykle bywa – i nie zważali na różnice kultury czy religii. Nie znaczy to, że nie mieli świadomości narodowej. Nie! Wiedzieli kto Polak, kto Ukraińiec, kto Żyd. Zнали historię, ale nie przeszkadzało im to we wzajemnych kontaktach. Żyli w zgodzie, współlístnieli pokojowo. Do czasu...

Chata z kraju

Anastazja Paszkowska z Sulechowa często opowiada każdemu, kto chce słuchać o tym ich życiu na Kresach. Pomimo stu lat pamięć ma dobrą i nieraz opowiada kilka razy tymi samymi słowami, dokładnie tak samo, choć w różnym czasie. Zawsze podkreśla, że żyli w zgodzie z Ukraińcami, a to co się stało w 1943 roku – mord w wiosce – określa jako podszept szatana, albo mówi: „Diabeł w nich wstąpił.”

Pani Anastazja jednym tchem wymienia pobliskie wioski: Eliaszówka, Daniłówka, Przemorówka, Chiniówka, Posywa, Butki, Kudryń, Hurwy i Zielony Dąb. Wioski były rozmieszczone w górach, na kiepskich ziemiach – kamienie, lasy i piach, kamieniołomy. W dodatku trudno było o wodę. Trzeba było ją nosić z rzeki i niektórzy musieli wozami i beczkami przyjeżdżać, jak mieszkali wysoko.

Tej pierwszej wojny my nie widziały, tylko głód cierpiały – wspomina. – Pamiętam, nie było nic do jedzenia, ani chleba, cukru. Cukier to były czasem takie białe tabletki, nazywali sacharyną. Herbata to był kwiat lipowy, rumianek albo mięta. Kawa to był palony jęczmień i żołądzie. Światła też nie było, były lampy naftowe, ale nafty nie było. Ludzie kopali pnie sosnowe smolne. rąbali, suszyli i przy takim ogniu przędli, darli pierze, łatali swoje ubrania. Zapalek też nie było, robili sobie ogień krzesiwem i hubką – dmuchali zanim

ta mała iskierka dała ogień. Cieszyli się, kiedy ogień się palił i tak go pilnowali, żeby nie zgasł. A kiedy komuś zgasł, to patrzali na kominy, gdzie się pali i posyłali tam kogoś: „Idź do sąsiadów pożycz ognia.” Ani mydła, ani proszku nie było – brud, smród i wszawica.

No i przyszedł rok 1918. Wojna niby się skończyła. Uchwalono, że Polska ma być niepodległa. U nas jednak dalej bieda była i głód. Polska była 123 lata w niewoli w zaborze austriackim, pruskim i rosyjskim. Oskubali ją z piór i obdarli ze skóry – tak to ludzie mówili. Mieliśmy wolność, ale spokoju jeszcze nie było i wielka bieda panowała. Ludzie chodzili latem boso, ciągle łatali jedyne ubrania i buty. Często nie było chleba, a jak był to ciemny razowy lub jęczmienny. Nie było wtedy radia ani telewizorów, ani światła elektrycznego, ani telefonów, ani samochodów. Ludzie chodzili pieszo lub jeździli furmankami, jak mieli. Dzieci całe lato do szkoły chodziły boso, a i zimą nie wszystkie miały buty. Ubierali rzeczy starszych sióstr czy braci – chodzili na zmianę i te młodsze wyglądały śmiesznie, tak jak teraz w filmie „Pipi” albo „Kot w butach”.

Potem Polska dostała pomoc z Ameryki dla biednych dzieci – odzież i buty. Ja dostałam ładne, sznurowane buciki i rękawiczki, i szalik, i bardzo się cieszyłam. No i były obiady dla tych dzieci, co chodziły do szkoły. Jakie to były obiady! Zupa grochowa, ryżowa lub fasolowa z kluskami – bardzo smaczne. A w niedziele to zawsze było kakao i dwie bułeczki – jakie to było dobre! Nie macie pojęcia! Małym dzieciom dawali mleko kokosowe w puszkach, bardzo dobre, słodkie. Niestety, ta pomoc długo nie trwała. Może rok albo więcej, nie pamiętam już tego, ale ludzie już byli wolni w swojej Ojczyźnie. Pracowali, starali się, no i coraz było lepiej.

W 1921 roku we wszystkich wioskach powstały już szkoły 4-klasowe. Dzieci uczęszczały z rana, a starsi wieczorami uczyli się podpisywać. Jak nie było Polski 123 lata, to i nie było polskich szkół, nikt nie umiał pisać ani czytać. Po wojnie państwo dbało o swój naród, nawet zeszyty i podręczniki były za darmo. W 1926 roku to już szkoły 7-klasowe budowali i kościoły na wioskach, bo jak nie było Polski, to nikt nie dbał ani o szkołę, ani o kościół. Od 1923-1924 roku ustały już na naszym terenie złodziejstwa i rozbójnictwo. Wszystkie narodowości żyły ze sobą w zgodzie.

Było u nas dużo Żydów, mieszkali przeważnie w miastach i zajmowali się handlem. Było też dużo Ukraińców, którzy zajmowali się głównie rolnictwem. Były też czeskie i niemieckie kolo-

nie. Polacy mieszkali przeważnie na mniej urodzajnej ziemi pośród wzgórz, lasów. Mieszkali na tych terenach jeszcze od czasów, kiedy Polska była w niewoli i Polaków osiedlali na tych gorszych ziemiach. W domu Polacy rozmawiali sobie często po ukraińsku, tak też mówili do starszych dzieci a do młodszych po polsku. Byli jedni dobrzy i drudzy dobrzy. Śpiewali razem na zabawie po polsku, rusku, ukraińsku. Nie było różnicy czy to Ukrainiec, czy Polak.

Chiniówka była porozrzucana po górach, to polska wieś położona na wysokiej górze, dookoła były skały, kamienie i lasy. Nie było we wsi wody. trzeba ją było wozić beczkami ze strumyka na dole. Ludzie żyli tu biednie, ale wesoło. W 1926 roku rozpoczęła tu pracę fabryka leśna. Przyjechało dużo pracowników z rodzinami z Kieleckiego, Lubelszczyzny i Warszawy. Wieś zaczęła się rozwijać.

W 1927 roku chodziłam do szkoły w Kudryniu, do 6 klasy. Potem mama powiedziała, że mogę chodzić na wieczorówkę, bo tam chodziły chłopaki i dziewczyny, a nawet dorośli. Zaczęłam więc i ja chodzić do wieczorówki. Rano pracowałam na budowie, a wieczorem do szkoły. Ale to już nie była nauka, bo tam chodzili 18-, 20-letni ludzie, to gdzie im nauka była w głowie. Oni myśleli, marzyli już o miłości, śpiewali, tańczyli. Nauczycielka powiedziała do kierownika szkoły, że nie może już nas uczyć, ale robi taki zespół teatralny dla młodzieży. No i my zaczęliśmy się uczyć do przedstawienia. Urządzaliśmy zabawy, jeździliśmy po sąsiednich wioskach. Podobało mi się to. Nauczycielka mówiła, że jestem pierwszorzędną artystką i dawała mi zawsze najdłuższą i najtrudniejszą rolę.

Chodziłam też do pracy przy budowie szkoły i kościoła. No i w 1936 roku została wybudowana szkoła 7-klasowa w naszej wiosce. Wybudowało ją państwo, Dyrekcja Kolejowa Radom. Ładna była ta szkoła – piętrowa, powszechna, z dużą salą i sceną. Gdy przyjechał zespół „Śląsk” z występami, to nadziwić się nie mogli, że w takiej zabitej dechami wiosce znajduje się nowa szkoła i taka scena. Ja właśnie chodziłam do roboty przy budowie tej szkoły. Płacili robotnikom dniówkę 2 zł, a to były dawniej duże pieniądze. Cō soboty była wypłata. Przyjeżdżał kapitan z wojska pogranicza, z Nowomalina z jeszcze jakimś panem i wypłacali pieniądze. Ciężka tam była praca. Trzeba było na takich noszach nosić kamień, cegłę, wapno po rusztowaniach. Wydarzyło się też tak, że dwie dziewczyny niosły wapno i akuratnie przed kapitanem i wójtem

upuściły z rąk nosiłki i wylały na tych panów wapno. Zaraz zostały zwolnione, że są za słabe do tak ciężkiej pracy. Zdarzyło się też, że jedna dziewczyna wleciała do jamy z wapnem zalasowanym, a innym razem dziewczyny cegły wypuściły z nositek, co niosły dla murarza. No ja jakoś wytrzymałam i chodziłam do samego końca. Zarobiłam wtedy 100 zł.

Przyjeżdżało też do nas wojsko z pogranicza i urządziło zabawy taneczne, robili przedstawienia. Był we wsi Związek Strzelecki. Przyjechały ze Zdołbunowa instruktorki z inspektorem i założyły Koło Gospodyń Wiejskich. Z każdym rokiem żyło się coraz lepiej, weselej i ludzie zapominali o biedzie. W sąsiedniej wiosce Kudryń także wybudowano 7-klasową szkołę. Tam uczyła się wspólnie młodzież polska i ukraińska, razem też wszyscy bawili się i śpiewali swoje piosenki. Polacy przypominali sobie język polski, ponauczali się. W gminie Nowomalin był wójt i policjanci. Ludzie się kochali, zalecali jeden do drugiego, była miłość. Tańczyli, bawili się, wszystkie razem. Śpiewali rozmaite ukraińskie piosenki. Do mojej chrzestnej Benderskiej zaczął zalecać się Ukrainiec Dymitruk, chciał się z nią żenić. Wyszła za niego za mąż, wychrzczyła się w cerkwi, przyjęła prawosławną wiarę. Już jej nie było Aniela Benderska a Anna. Mieli trzech synów i dwójkę małych dziewcząt. Mama tam chodziła, szyła, mieli piękny dom.

Na Komaszówce mieszkał bogaty Taras, jego syn chciał się ze mną żenić. Zakochał się we mnie Przewłocki. Byli Wierzbiccy, Sokołowcy. Był Lombardo, który miał na Chiniówce dużo pola, las, kaczki, świnie, kury. Potrzebował wodę i szukał ją, ale nie mógł znaleźć. Wreszcie sprzedał majątek i wyjechał, ale nie wiem gdzie. Wielu było chłopaków, co mnie chcieli, a ja wyszłam za mąż nie z miłości – tak rodzice chcieli.

Na wsi był jeden Ruski, matka była Polka. Synowie byli w cerkwi chrzczone, dziewczęta były w kościele. W jednej rodzinie, to byli bracia, to były siostry, ale te byli Ukraińcy, a te Polacy. Był Ukrainiec Bondarczuk, jego siostra wyszła za mąż za Zacharewicza, za Polaka, dzieci były chrzczone w kościele i dzieci były już Polakami. Była taka mieszanina. Po ukraińsku, po polsku gadali. Tam, gdzie była polska wioska, nie było cerkwi. Cerkwie były tam, gdzie były ukraińskie wioski w Buszcza, Nowomalin, Noworodczyce. Szli do kościoła, pomodlili się, wracali i szli do cerkwi i też się pomodlili. Co niedzielę była zabawa. Nabożeństwo było

w Noworodczycach, po nim już pod wieczór harmoszka grała. Było i u nas, w Chiniówce dużo muzykantów. Najmanowicz miał muzykalną rodzinę, tańczyli, śpiewali, harmoszka była, bęben był, skrzypce były, gitara, klarnet. Chłopacy chodzili po kilkanaście kilometrów i organizowali zabawy. Na Chiniówce było z pięciu muzykantów. Najwięcej zabawy było u Wojciechowskiego, dom mieli duży z podłogą, u innych były klepiska. On był Polak, a ona była Ukrainka. Pokochali się i pożenili. Chłopaki były u ojca w wierze, dziewczynki u matki. Jeden syn Paweł pojechał w Amerykę, drugi syn Piotr ożenił się z Marią Tylicką z Posywy. U nas tam nie było, czy to Ukrainiec czy to Polak, nie pytali się, żenili się.

Z Nowomalina miałam kawalera Ukrainca, Włodzimierza Izierskiego, matka Ukrainka. Jego ojciec Polak zginął na wojnie, został z matką, to wiadomo, że ona go na swoją stronę przerabiała. Ale on tak chciał Polakiem być, jak tylko usłyszał, że jest Polka na Chiniówce, to trzy lata do mnie chodził. Coś między nami nie poszło, nie chciałam go. Ożenił się z dziewczyną z Nowomalina.

Do Daniłówki też chodziłam na zabawy. Jedni do drugich chodzili. Świetne zabawy. Była harmoszka, nie było radia. Tańce były „odbijane”. Każdy chłopak chciał potańczyć, żadnych bójek między chłopakami nie było.

Młodzi urządzali przedstawienia teatralne. Sportu nie było, była za to ciężka praca od dzieciństwa. No, ale co dobre, to długo nie trwa. Dla mnie skończyła się wszystka radość, bo w 1938 roku wyszłam za mąż, a w 1939 roku wybuchła wojna. Niemcy napadli na Polskę z zachodu, a ze wschodu przyszli Rosjanie. Męża zabrali na wojnę, ja zostałam z matką, byłam w ciąży. Polska znów zginęła, ale Polacy pozostali. Ciężko było i smutno, ucichły śpiewy, tańce i teatry.

Anna Małgorzata Budzińska

Poezja kresowa

Gdy będziesz kiedyś opowiadał dzieciom
O tej okrutnej najstraszniejszej z wojen
Przekaż jak wici płomienne stuleciom
Prawdę tej wojny z mocą i spokojem

Opisz im boje, tułaczkę i męki
I stwierz to z dumą, że był taki naród,
Co padłszy, broni nie wypuścił z ręki
Siebie nie spodlił i Boga nie zawiódł

I to wtłocz w duszę swych dzieci po latach
Kiedy już wyschną łzy morza, krwi rzeki,
Że naród, który natchnieniem był świata
Skazan jest słusznie na wielkość po wieki

Niech jak testament w serca im zapada
Tą prawdą tchnące każde słowo twoje
Gdy będziesz kiedyś dzieciom opowiadał
O tej przeklętej a najświętszej z wojen

Adam Kowalski

Pamiętnik z młodych lat

Och jak szybko lata lecą, siły opuszczają
Bolą ręce, bołą nogi, głowy osiwiają, ludzie się zmieniają
Gdy spojrzę do lustra, moja twarz się zmienia
Lecz w pamięci pozostają z młodych lat wspomnienia
Chiniowieckie góry lasy, i ta biała chatka
Gdzie mieszkała razem ze mną rodzina i matka
Tam w dolinie strumyk płynie, i ta łączka mała
Gdzie poilałam swoje krówki, latem je pasala
Jak byliśmy jeszcze dziećmi, do szkoły chodziliśmy
- Chociaż było kawał drogi, lecz my się spieszyliśmy
Bo tam czytać, pisać po polsku uczyli
I piosenek i zabawy, tośmy się cieszyli
W te zimowe wielkie mrozy i drogi zawiane
Chodziłyśmy tak codziennie do szkoły kochanej

Chociaż było wręcz zimno nosy zasmarkane
Ale myśmy się cieszyły lepiły bałwany
Kiedy przyszła wiosna, była to radosna
Bo pszczołki brzęczały, ptaszęta śpiewały.
Dzieci pasły gęsi krowy, starzy pracowali
Wszędzie było zieloniutko i kwiaty pachniały.
Gdy słońko wschodziło, ptaszęta śpiewały
I ludzi do pracy śpiewem zachęcały.
Pracowali ludzie pilnie, od świtu do nocy
I kończyli swoją pracę przy Bożej pomocy.
A w niedzielę do kościoła piechotą chodzili
Chociaż było tak daleko, lecz się nie męczyli
Chociaż do kościoła było kawał drogi
To nie narzekali, że ich bolą nogi.
A w niedzielę po kościele, młodzi się zbierali
I wesoło się bawili tańczyli śpiewali
Jak się dobrze roztańczyli dobrze rozśpiewali
To często nad ranem do domu wracali
Nie grały nam wtedy radia, nie telewizory
No skowronki z nieba, a żaby z bajory.
Chociaż była bieda ludzie jej nie znali
że chodzili latem boso, buty szanowali
I choć była bieda, to nie narzekali
Ciężko pracowali wesoło śpiewali
że nadejdzie straszna wojna
O tem nie wiedzieli.
I nadeszła straszna chwila, szatan zawojował
I co było polskie to wszystko zrujnował.
Wszystko prysło i zginęło jak bańka mydlana
I to była nasza Polska, ojczyzna kochana
Prawie sześć lat tu królował, niszczył palił i mordował
Aż ze wschodu przyszła siła, wroga z kraju wygoniła
Polska znowu powróciła, choć była rozbita
Spalona zniszczona, lecz sercu miła
Tylko nasza młodość to już nie wróciła
My się co dzień starzejemy, co dzień gorzej się czujemy,
lata płyną jakby woda, a lat młodych jednak szkoda
Więc cóż robić woła nieba, że umierać nam wszystkim trzeba
Starzy się usuwają i dla młodych miejsce dają
Ale my się nie smucimy, że umierać wnet musimy –
tam się w niebie zobaczymy.

Anastazja Paszkowska

Tęsknota za Matką i rodziną

Często mi się smutno robi
Gdy przypomnę Wołyń sobie
Tę rodzinną wioskę, (Chiniówkę)
Swoją białą chatkę
I zamordowaną moją drogą Matkę.

Gdy w 43 roku ich opuściłam
To już nigdy tam nie byłam
Tego miejsca nie widziałam
Chociażbym tego chciała.

I tak nieraz myślę sobie:
Gdybym ja tak skrzydła miała
Zaraz bym tam poleciała

I znów się zastanawiam
I znów myślę sobie:
Gdybym tam poleciała
Czyżbym te miejsca poznała?
Nie ma przecież tam już ludzi
Ani naszej wioski
Ani jednej chatki
Tylko las tam duży porósł.

A w tym lesie, blisko drogi
Po ziemniakach jamie
Leżą kości wuja, cioci i ich syna
I rodzonej mojej Mamy!
Bandziory ukraińskie ich pomordowali
I do tej jamy po ziemniakach
Wszystkich razem powrzucali,
ziemią przysypali.
Nie ma tam mogiły
Ni krzyża małego
Trudno by tam było poznać miejsca tego.

I znów myślę sobie, smutno mi się robi:
A gdybym tam poleciała
I miejsca te odszukała
To bym tam mogiłę zaraz usypała

I krzyż mały postawiła
Wianek z kwiatów bym uwiła
I na krzyżu zawiesiła
Na mogile kwiatów bym nasadziła
I świece bym zapaliła.
Uklękałbym przy mogile
Za ich dusze męczenników
Anioł Pański bym zmówiła...

Lecz ja już tam nie polecę
Tego miejsca nie zobaczę!
Lecz gdy wspomnę straszną śmierć ich
Serce moje z bólu płacze.
I wspominam tych szakali
Jak Polaków mordowali.
I za co?! Co im złego Polacy zrobili
Przecież w zgodzie z nimi żyli
Lecz napadła ich choroba
I się w diabły zamienili –
Bili, rżnęli i rąbali, żywcem palili
I na polskiej krwi
I na polskich trupach
Samostyjną Ukrainę budowali!

Żal mi biednych ludzi, co w tej ziemi leżą
Bez krzyży, bez mogiły jakby dzikie zwierze.
Te wszystkie dusze męczenników
Dziś na swe groby spoglądają
I do Pana Boga, do ludzi o pamięć wołają

Anastazja Paszkowska

Trzy ziemie

Od lat jakże długich i trudnych
wciąż ta sama na sercu troska,
że tam gdzieś zostały trzy ziemie:
wileńska, wołyńska i lwowska.

Jak w nowych księgach pielgrzymstwa
genezis naszego tułactwa,
trzy ziemie, trzy ofiary
największego na świecie łajdactwa.

Wymazali, skreślili z mapy
oddzielili drutów zasiekami,
nie mieli kruszyny litości
nad ziemią i nad człowiekiem.

Człowieka wygnali z ziemi,
ziemię człowiekowi wydarli;
zostali w ziemi ci tylko,
którzy kiedyś wolnymi tu zmarli.

Kara ludzka ich nie dosięgła,
nie ułękli się przeto i boskiej.
i plądrują, i chodzą po ziemi
wileńskiej, wołyńskiej i lwowskiej,

Wykarczować by chcieli korzenie,
przeorali by ziemię do spodu,
żeby nic tu nie mogło przypomnieć
jej przeszłości i tego narodu.

Który w ziemię tę wrósł od prawieków,
który żył tu od dziadów, pradziadów.
żeby nikt nie odnalazł już więcej
raz na zawsze zatartych śladów.

Przesiedlili, przegnali, wywieźli,
oddzielili duszę od ciała,
zapomnieli tylko o jednym
przeoczyli, że ziemia została.

Ziemia, której ni wywieźć ni wygnać,
z której nadal z nadejściem wiosny
zielonością w górę strzelają
klony, buki, topole i sosny.

I już gaj się rozszumiał, rozgadał
po dawnemu, wileńską brzoza
łatwo było wywieźć człowieka,
ale brzóz – wszystkich nie wywiozą.

A tu las się po lwowsku rozśpiewał
po człowieku została scheda,
łatwo było wysiedlić człowieka,
ale lasu wysiedlić się nie da.

A tam chabry, wśród łąk modrookie,
ubarwiły tę ziemię żalosem,
łatwo było wypłenić człowieka,
ale chabry na nowo wyrosną.

Ani słońca nikt przegnać nie zdoła,
ani wiatru nie wyrzuci.
bo i słońce na nowo zaświeci,
bo i wiatr na nowo powróci.

Miasto da się przemieścić, przestawić,
można z każdą uporać się troską,
ale ziemia wciąż ziemią zostanie,
ta ziemia wileńska, wołyńska i lwowska.

I zostaną w tej ziemi mogiły,
i te prochy zostaną i kości,
jako symbol dawnego dziedzictwa,
jako prawo odwiecznej własności.

I gdy człowiek po latach tułactwa,
wróci tu z własnym synem lub wnukiem,
i usiądzie znudzony wędrówką,
pod modrzewiem, topolą czy bukiem

Na tej ziemi żyjącej i żywej.
wtedy nagle usłyszysz z daleka,
jak doń las po wołyńsku zagada,
jak po lwowsku zaszumi mi rzeka.

Jak mu las po wileńsku zaśpiewa
o przeszłości tej ziemi upartej,
która burze najgorsze przetrwała
o tej Polsce na części rozdartej.

Z mapy świata zmazanej, a przecież
znowu całej i wtedy zrozumie,
że to ziemia go wita najmiłsza,
i usłyszysz w gałęzi poszumie

jak raduje się jego powrotem
czekająca na niego – ojcowska
jego ziemia, za którą tak tęsknił
ta wileńska, wołyńska i lwowska.

Feliks Konarski

Rozpacz

Rozległy skłon wzniesienia pagórków Podola
Wtula się, ufny puszczy, w ramiona dąbrowy,
Gdzie w busz stepu na koniu wyruszał Polak,
Pilnując przed księżycem swej wiary i mowy.

Gdzie zapuścił korzenie, i ciała, i duszy,
Gdzie nauczył skowronki swoją mową śpiewać,
Gdzie pierwszy barć w pniu dłużał w mrocznej leśnej głuszy,
Gdzie stawiał liczne chramy, wycinając drzewa.

On tu modły zanosił w licach Światowida.
Tutaj także chrzest przyjął, chociaż z oporami,
Tutaj sochą less orał i zrab chaty dźwigał,
Tutaj braci przyjmował znad Dniestru i Kamy.

Żył w symbiozie z naturą i odwiecznym czasem,
Kochał miedzie i pola, nie myśląc o świecie,
Każdy człowiek był dla niego przyrodnim bratem,
A kościół by go chronić, czuwał na widecie.

Tutaj zrywał wciąż pęta wszelakiej niewoli,
Tu najazdy ze wschodu dzielnością odpierał.
Tu polował na żubry i trzymał się roli,
Tu rodził, pracował i tutaj umierał.

Trwał lat tysiąc z okładem opoką wierności
I od morza do morza sławił Lachów imię,
Aż się zawiódł zdradzony przez przybyłych gości,
Jeden z nich się okazał okrutnym Kainem.

Tym okrutnym Kainem, jak się łatwo domyśleć, był ów szowinista,
Który wieś wymordował, ograbiał i spalił.
Ten poemat powinien przeczytać premier, prezydent i każdy polski
parlamentarzysta.
Dopiero wtedy będą w stanie pojąć gorycz modlitwy garstki
ocalałych z pogromu
Mieszkańców Huty Pieniackiej, którzy klęcząc na śniegu pośród
mnogości
trupów i dogorywających chat wołali:

Panie, jeśli tu jesteś,
Spójrz na dzieło oprawców, spójrz na ich ofiary.
Świat przez Ciebie stworzony choć chromy za kary,
Do tak potwornej zbrodni nie dopuścił nigdy.

Czy dotychczas wbijano nóż, kosę lub widły w niewinny brzusek
dziecka?
Czy ktoś może z podłości pchać innych do piekła?
Czy ktoś może wyrywać płód z ciała kobiety?
Tu się właśnie to stało, chyba nie zaprzeczysz?

Bytujemy czasowo w powłoce człowieka,
Który często bez podstaw na swój los narzeka,
A co ma począć człowiek z rzezi ocalały,
Co swe dzieci przykrywał w dole wiechem słomy?

Dlatego Królu Świata i Wszechmocny Panie
Przyjmij nasze do Ciebie o pomsty wołanie:
Niech rezuni z potomstwem, z setnym pokoleniem,
Mają w oczach swe dzieło lub stracą istnienie.

Niech krew za sprawą katów przez dzieci przelana
Sprawi by nacja zbójów została zmazana.
Cośmy się bili o to całymi wiekami,
By kościoły nie pozostały nagle meczetami,
Cośmy ciągle bronili tak stopy jak lasy,
By Ruskimi nie były na Krym brane w jasyr,
Cośmy się opierali azjatyckiej chmurze,
Teraz przez bronionych paleni i bici,
Prosimy Cię nasz Panie, abyś ich rozliczył.
Że o to Cię prosimy? Nas stać tylko na to,
Chyba, że tamci w dole zmażą winę katom.
A dopóki żyjemy, to im przysięgamy,
Że naszego Podola nigdy nie oddamy.
Nie oddamy nikomu ich skrwawionej ziemi.
Z popiołów w jej obronie razem powstaniemy.
A jeśli kat spróbuje zamataczyć długi,
Z krwi hartowany kamień do świata przemówi.
Choćby potop nastąpił, to dopniemy celu.
Pomóż nam, fiat iustitia, ruat coleum.
Po łacińskiej maksymie zaległo milczenie.
A wszyscy w mroku zmierzchu klęczeli jak cienie.
Naraz ruski głos lecąc, nad kośćmi się uniósł
Mówiąc: fiat iustitia, pereat mundus.

Poemat ten kończy się dedykacją.
Pamięci pomordowanych przez ukraińskie bandy
w Małopolsce i na Wołyniu

prezes Zarządu Fundacji „Kresy” Z.M. Ko-
walski

SŁOWNICZEK

1. **Oblast** – obwód, dzielnica kraju w Rosji.
2. **Artel**, (ros. Артель) – początkowo w carskiej Rosji, następnie w ZSRR – zrzeszenie drobnotowarowych producentów (spółdzielnia wytwórcza). Artel istnieje do dziś w krajach byłego ZSRR. W Rosji zagadnienia tej formy zrzeszenia reguluje Kodeks ziemski.
3. **UNRRA** (ang. United Nations Relief and Rehabilitation Administration – Organizacja Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy) – organizacja międzynarodowa powstała w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej w 1943 r. dla niesienia natychmiastowej pomocy krajom alianckim zniszczonym w wyniku II wojny światowej. Rozwiązana w 1947 r.
4. **PUR (Państwowy Urząd Repatriacyjny)** – został powołany na mocy dekretu PKWN z 7 października 1944. Jego zadaniem była początkowo organizacja „repatriacji” (jak ówczesznie nazywaną depatriację, czyli przymusowe wysiedlenie ludności z rodzinnych stron) ludności na pojałańskim terytorium Polski (następnie zakres zadań został poszerzony). W wyniku reorganizacji dokonywanych w ciągu 1945 r. rola PUR uległa zmianie, gdyż dekret z 7 maja 1945 rozszerzył zakres działania o migracje wewnątrz terytorium państwa, nakazując jego kierownictwu organizowanie „powrotu wysiedlonych przez niemieckiego okupanta do poprzednich miejsc zamieszkania” oraz „przesiedlenia na tereny odzyskane ludności z innych okręgów państwa polskiego” jednocześnie podporządkowując go Ministerstwu Administracji Publicznej.
5. **Wojenkomaty** – wojskowe komendy uzupełnień Armii Czerwonej. W okresie od 1942 r. weszły w skład dywizji NKWD.
6. **UON** – Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów, organizacja polityczno-wojskowa założona w 1929 r. w Wiedniu. UON kierowała się ideologią integralnego ukraińskiego nacjonalizmu, dążąc do zbudowania na ziemiach uznawanych przez nią za ukraińskie niepodległego państwa o ustroju zbliżonym do faszyzmu. W praktyce działała konspiracyjnie, głównie w II Rzeczypospolitej, prowadząc działalność terrorystyczną, dywersyjną, szkoleniową i propagandowo-oświatową. W 1940 r. doszło do rozłamu UON na dwie frakcje, następnie organizacje: OUN-B

(banderowców pod przywództwem Stepana Bandery) oraz OUN -M (melnykowców pod przywództwem Andrija Melnyka).

7. **Tryzub** – (ukr. trójząb), oficjalne godło Ukrainy (złoty tryzub na niebieskim tle). Używany od starożytności jako emblemat militarny, religijny, heraldyczny oraz jako znak dekoracyjny na terenie cesarstwa rzymskiego, w greckich koloniach nad Morzem Czarnym, w Bizancjum i Skandynawii. Najstarsze archeologiczne zabytki z przedstawieniami tryzuba znalezione na terytorium Ukrainy pochodzą z I w.
8. **Taras Bulba** – taki pseudonim przyjął Taras Borowець ur. w 1908 r. w osadzie Bystrzyce k. Ludwipola na Wołyniu. Był właścicielem zakładu kamieniarskiego w miejscowości Duże Siedliszcze k. Ludwipola pow. kostopolskim. W 1933 r. założył tajną wojskowo-rewolucyjną organizację Ukraińskie Odrodzenie Narodowe. Jako program przyjęła ona walkę przeciw „polskiemu okupantowi” i „komuno-moskiewskiemu kolonializmowi” oraz ich agenturom, czyli miejscowym komunistom i funkcjonariuszom państwa polskiego. Za działalność antypaństwową został osadzony w obozie w Berezie Kartuskiej do września 1939 r. Po agresji III Rzeszy i ZSRR na Polskę organizował w latach 1940-1941 na terenie północnego województwa wołyńskiego (okupowanego przez ZSRR) ukraińskie podziemie zbrojne w postaci Siczy Poleskiej UPA. Po rozbiciu oddziałów Siczy Poleskiej UPA i przyłączeniu jej resztek do Ukraińskiej Powstańczej Armii, T. Borowець został podstępem aresztowany przez Niemców i umieszczony w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen w tzw. Zellenbau - oddziale dla więźniów specjalnych. Uwolniono go we wrześniu 1944 r., w związku z koncepcją utworzenia Ukraińskiej Armii Narodowej. Został wówczas awansowany do stopnia generała UNA i mianowany dowódcą nowo tworzonej Brygady Spadochronowej „Gruppe B” (od lutego do kwietnia 1945 r.). Od 1948 r. przebywał na emigracji w Kanadzie, gdzie zmarł w Toronto 15 maja 1981 r.

Posłowie

Szanowny Czytelniku, spieszmy z informacją, że I i II część „Studni bez dna” została wydana przez Stowarzyszenie Kresowian w Dzierżoniowie, dzięki pracy wolontariuszy oraz dzięki sponsorom i funduszom pozyskanym ze Starostwa Powiatowego w Dzierżoniowie, z Funduszu Regionu Wałbrzyskiego, jak też panom Stanisławowi Miazdze i Tomaszowi Ligięzie.

Składamy serdeczne podziękowania wszystkim bohaterom historii zamieszczonych w „Studni bez dna” za to, że zechcieli opowiedzieć nam swoje tragiczne przeżycia oraz powierzyć stare rodzinne fotografie. Dziękujemy tym z Państwa, którzy owe opowieści zebrali i spisali oraz tym, którzy je zredagowali i opracowali zdjęcia.

Szczególne słowa podziękowania kierujemy do Stanisława Srokowskiego, za bezcenny wysiłek w dokonaniu recenzji tej książki, napisanej przez Kresowian, a nie profesjonalnych historyków czy pisarzy. Bardzo serdecznie dziękujemy sponsorom i instytucjom wyżej wymienionym za pomoc finansową. Serdeczne słowa podziękowania kierujemy także do dwóch pań, które bezinteresownie dokonały korekty książki.

Informujemy również, że kilka opowieści zamieszczonych w II części „Studni bez dna” było już wcześniej publikowanych.

Zarząd Stowarzyszenia Kresowian w Dzierżoniowie

Spis treści

198



STUDIO
edytor

ISBN: 978-83-89818-63-8